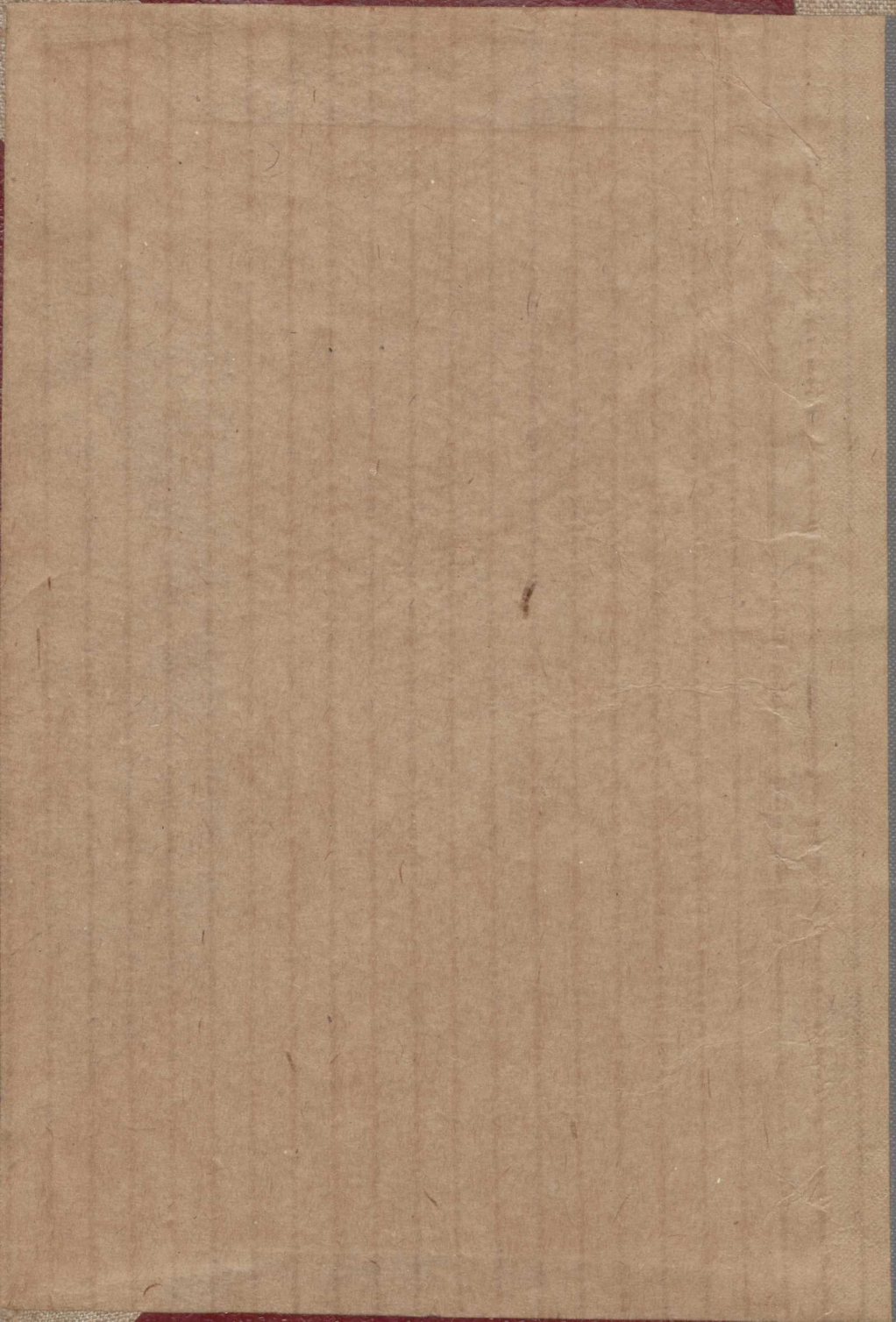








gummi ka.



St. Wasylewski
Na Dworze Króla
STASJA



NA DWORZE KRÓLA STASIA.

7 — 12 TYSIĄC

STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO:

U KSIĘŻNEJ PANI. (wydanie szóste w druku).

W SREBRNYM DWORKU Z MODRZEWIA.

ROMANS PRABABKI.

O MIŁOŚCI ROMANTYCZNEJ.

SZAMBELANOWA Z WALEWIC.

HISTORJE LWOWSKIE. (w druku).

STANISŁAW WASYLEWSKI

NA DWORZE
KRÓLA STASIA

WYDANIE DRUGIE

LWÓW — POZNAŃ 1921.
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO.

Sągucka No. Gumnicka.



SDh-1854

*Okladka rysunku Władysława Witwickiego, inicjały
i przerywniki w tekście Stanisława Matusiaka.*



Tłocznia Wydawnictwa Polskiego we Lwowie.

P/191/2019

MATCE SWOJEJ

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Stanislaus Augustus rex	3
Dusze w stylu rokoko	21
O pięciu braciach i o pani krakowskiej	41
Dzień króla polskiego	65
Wśród dworaków i dworek	113
1. W urzędzie marszałkowskim. 2. Pan Ryx i pan Tremo. 3. Faworyci, wielmoże i łuszczybochenki. 4. W pętach in- trygi. 5. Suwereni króla. 6. Gala albo asambła.	
W malarni króla Jegomości	157
O cudzoziemskiej szarańczy	173
Obiady czwartkowe	187
Sa majesté l'amour	211
1. Mąż wszystkich żon. 2. Przekleństwo życia. 3. Amory gratyskowe i ekspensowane. 4. Żona.	
Zmierzch rokoka	237
Przypisy	245

SPIS ILUSTRACYJ.

1. Lampi: Król Stanisław August (wedle sztychu w Muzeum XX. Lubomirskich we Lwowie).
 2. Norblin: Szlichtada na Wiśle (oryginał w Muzeum XX. Lubomirskich we Lwowie).
 3. Marcello Bacciarelli: Ks. prymas Poniatowski (j. w.).
 4. Marcello Bacciarelli: Pani krakowska (j. w.).
 5. Chodowiecki Daniel: Uczta weselna (sztych w Muzeum Czapskich w Krakowie).
 6. Belloto Canaletto: Taras zamku warszawskiego przed pożarem (Gemäldegalerie, Dresden).
 7. Pokój Salomona w Łazienkach.
 8. Sypialnia królewska w Łazienkach.
 9. Zygmunt Vogel: Widok Łazienek (Galerja Narodowa miasta Lwowa).
 10. Marcello Bacciarelli: Ks. marszałkowa Lubomirska (wedle dzieła Fournier-Sarloveza).
 11. Marteau Ludwik: Madame Geoffrin (j. w.).
 12. Marcello Bacciarelli: Portret własny (wedle Rastawieckiego).
 13. Peszke: Portret Smuglewicza (oryginał w Muzeum XX. Lubomirskich).
 14. Lesseur W.: Portret własny (wedle Rastawieckiego).
 15. Porwanie króla przez konfederatów (wedle ryciny współczesnej)
 16. Marteau Ludwik: Pani Grabowska (wedle rysunku w Muzeum Czapskich.)
-

STANISLAUS AUGUSTUS REX.

*„Królować, o Panie,
A kto inny władał!”*

Naruszewicz.



powiada Swetonjusz, że boski Oktawjan, umierając, wyrzec miał słowa: *Latericiam Romam accepi marmoream vobis relinquo*. Kazimierzowi Wielkiemu dziękuje legenda za Polskę murowaną, Stanisław August ma też swój tytuł świetny. Gdy nieszczęśliwca przy podpisywaniu aktu abdykacji „chwyciły bole i konwulsje“, przyznać sobie mógł przynajmniej tę jedną zasługę niestartą i jasną: wziął na polu elekcyjnem Polskę z rąk Sasów ciemną — zostawił oświeconą. Niby obmierzły druk z typografii poczajowskiej była dotąd. Na szorstkiej i nieforemnej bibule podawały czcionki grube treść plugawą i myśl równie upodloną jak kadencję. A ostała się, jak tom wzorzysty, przez Imć Pana Grella na Marywillu pieczołowicie imprymowany, na holenderskim papierze, w sztychów obramieniu i otoku światła! Jenó, że los zły kartki z pięknej książki powydzierał i na trzy strony świata rozrzucił...

„Gdyby król Poniatowski — woła z zapalem ówczesny pisarz cudzoziemski — stał na czele państwa niezależnego, zaliczylibyśmy go pewnie do najczynniejszych, najrozumniejszych, najmiłszych ludzkości monarchów!“ Gdyby w zygmontowskiej Rzeczypospolitej rządził, wielbilibyśmy go wśród najpierwszych pomazańców Polski. Szkoda też wielka, że się nie urodził we Florencji lub Rzymie renesansowym. Tomy wielkie wydawanoby wtedy o najpiękniejszym typie „*l'uomo universale*“. Wypisał był ten król na swej tarczy parol bojowy Monteskjusza: „*Écrasez l'infâme*“ i przez trzydzieści troje lat królowania dusił nędzę ciemnoty. Mówiono i mówi się, że tłukła się w nim jedna tylko pasja: pasja utrzymania korony za każdą cenę i każde upodlenie. Lecz nie! Najpierwszą u Poniatowskiego była zawsze inna namietność: mnożenia cywilizacji w Polsce. Ktoś nazwał go wychowawcą pięciu pokoleń szlachty polskiej. Nie dużo w tem przesady. Albowiem w testamencie króla Stasia wiele pokoleń znalazło legaty dla siebie. Że stał się najnieszczęśliwszym z królów polskich, to ciągle słyszymy, ale że był i najuczeńszym, o tem mówi się za mało.

Niepoczytalnym i śmiesznym wydaje się zrazu ten Pan Najjaśniejszy, uganiający za Rembrandtami, gdy dach mu zwala się na głowę; zbierający rzadkie kamee, gemmy, czy rękopisy iluminowane, wśród huku piorunów rozbioru; zajęty w najcięższych chwilach podziału projektem klamek o syrenim kształcie, oraz reformami w sposobie katalogowania sztychów. Wszelako nie z bezmyślności płynęły te upodobania. Rozumiał ostatni król Rzeczypospolitej, że uleczy ginącą Rzeczpospolitą światłem i mądrością, a płynęło

to rozumienie z sedna filozofji wieku. Z Wolterem, Turgot'em i Condorcet'em wierzył w powszechną władzę rozumu na świecie, w bezwzględny rząd intelektu, obdarzający ludzkość prawdą, szczęściem i spokojem. Mocno przekonany o „szczęśliwości państw, w których mędrcy królują“ — z głębin swej słabej duszy przytakiwał słowom jednego ze swych wieszczów nadwornych:

Kocham Polskę, a gdyby mieszkał w niej Horacy,
Ustaćby mogła wszelka podłość...*

Nieznużony szafarz światła wierzył do końca w skuteczność swoich leków, choc szatan historii pękał ze śmiechu. Bo oto, gdy z hukiem zapadają się kolumny i bierzmo pęka po bierzmie, ten król, w marzenia i poszepty sztuki swojej zasłuchany, rozmyśla nad zdobieniem fryzów, nad polichromją fresków na frontonie barwistych i baczy, by linja rozumnego piękna niepokalana została we wszystkim: w temacie wierszyka, poddanego Naruszewiczowi, w uciechach festynu, urządzonego w Łazienkach, w reglemencie dla komisji edukacyjnej i — w najnowszej toalecie pani Grabowskiej.

Istnieje list, jeden z ostatnich listów Stanisława Augusta, który niechaj zawsze czytany będzie, ilekroć sąd nad królem się czyni, list, pisany już z Petersburga, z pod ogromu dopustów, upokorzeń i bólu. O czemże myślał król w chwili, w której zaborcy śpiesznie lutowali sarkofag Rzeczypospolitej? „*Caro Marcello* — pisze do ukochanego malarza Bacciarelli'ego — donieś mi zaraz, czy statua i biust Tytusa zostały umieszczone w Łazienkach. Czy imiona królów wypisane, jak trzeba? Czy Kraft naprawił nisze? Czy

rusztowania zdjęte z Rotundy? Czy się wnet drzewa zazielenią w Łazienkach i u Pana w ogrodzie? Czy Pan i cała rodzina zdrowi jesteście? *E Dio Te benediga!* Stanislaus Augustus Rex“.

Ten list zastąpi obszerne charakterystyki. I niechaj nikt nie rzuca kamieniem przeto, że tu nad wszystkie bole wydzwignęła się troska artefeksa, co przedewszystkiem sztuce polskiej chciał królować i tylko w swoich Łazienkach, na obiedzie czwartkowym i w pracowni malarskiej był władcą udzielnym, a suwerenem mocnym. *Non tali defensore tempus egebat.* Polsce ginącej trzeba było Fryderyka, Cromwella i Batorego na tronie równocześnie. Jakże zaś żądać tego od suwerena, który miał pachnącą i najmniejszą w Polsce rękę, a jedwabną wytworność życia nad wszystko ukochał?

Był równie subtelnym artystą życia, jak irytująco miękkim człowiekiem. A w Polsce czuł się samotny. Tak on, jak i cała przebujna, kohorta umysłów oświeconych. Daremnie próbowali zasypać przepaść, dzielącą ich od szarej Rzeczypospolitej, od zgietkliwego tłumu masy szlacheckiej, najpoczcowszej i głupawej, upartej w błędzie i zarazem gwałtownie ogłędającej się za ratunkiem. Bo cóż mogło łączyć króla Stasia z dziesięcią milionami jego poddanych? Przypomina się odrazu historia z panem Glinką. W pamiętnikach swoich opowiada Stanisław August, jak to młodzieńcem u progu kariery ubiegał się o godność poselską i tygodniami całemi musiał się uśmiechać do cizby szlacheckiej na sejmikach. Najciężej było przecież, gdy razem z panem Glinką pojechali do starosty Makowskiego. Tknięty paraliżem pan starosta pił już tylko siedząco, a gwoli rozweselenia musieli mu przed oczyma pan Glinka z Poniatowskim

tańcować do upadłego. Musieli, bo wpływowy był bardzo. Panna Kunegunda, tancerka przyszłego króla, mało umyta, a jeszcze mniej uczesana, ustroiła się w czarny aksamit z pluszem różowym, mimo upału. Pan Glinka spełniał kielich za kielichem, zrzucał po kolei wszystką odzież ze siebie i tańczył od szóstej wieczorem do szóstej rano. Stanisław Poniatowski, choć nic nie pił i odzieży nie zrzucił, tańczyć musiał także na przegniłej podłodze starego lamusa z panną Kunegundą, która miała brudne ręce i czarny aksamit z pluszem różowym, pomimo upału...

Zabawa u starosty Makowskiego trwać miała i później, przez trzy dziesiątki lat z okładem. Cały stosunek króla oświeconego do szerokich mas Rzeczypospolitej był jakby jej dalszym ciągiem. W tańcu z panną Kunegundą zawarto się dużo siły symbolicznej...



Z trzech aktów składa się tragedia rządów Stanisława Augusta, a w każdym odmieniało się oblicze protagonisty. Zrazu błyszczy wspaniale majestat szczęśliwca, który tron otrzymał z ręki kochanki. Ten młody król wierzy w siebie tak, jak wierzy weń cała *l'Europe*

galante, uradowana, że tam na tronie warszawskim zasiada suweren „z głową bogato umeblowaną“, jej z krwi i kości zaprzysięgły. „My, w Paryżu, mamy tylko opery komiczne, mądrość zamieszkała na północy“ — zawoła Wolter, ten sam, który potem sławić będzie zaborców za genialny czyn rozbiorów.

Dwa pierwsze lata odkrywają w Poniatowskim talent znakomitego reformatora. Rozpęd wzięty doskonale. W poszumie koronacyjnych uroczystości cichnie na chwilę chichot zjadliwy i kryje chytrze głowę hydra dziejów polskich. Król wierzy w swą siłę imperatorską, jest pewny, że potrafi być lekarzem Rzeczypospolitej. Nie przeraża go wcale straszliwe memento, które idzie raz po raz to z obozu rycerzy barskich, to z Zimowego pałacu w Petersburgu, to wreszcie z jego własnej duszy. Idylla trwa krótko. Jakże szybko po zdjęciu strojnej szaty koronacyjnej, która oburzyła Sarmatów podobieństwem do „maszkarę śpiwaków na teatrum“, prysną iluzje! „Ledwoś pierwsze założył — napisze po latach Naruszewicz — lepszego rządu zasady, gdy wzniosła oczy swoje zazdrość i poruszyła piekielne skrzydła swoje“. Najgorsze moce sprzysięgną się na zamęt w Rzeczypospolitej. Wiotką duszę Poniatowskiego powalą gromy rozczarowań. Obudzony ze snu słodkiego, widzi się bezsilną marjonetką w ręku wujów, wydaną na łup ich wielmożnej pomsty. („Siedm ósmych części Polski jest w ich rękach, jedna ósma stara się o połączenie ze mną, ale... za ich pośrednictwem“, 1768). Głucha scysja z rodziną trwać będzie zawsze „napozór prawie niewidzialna, a przecie ciągle skuteczna i dotkliwa“. Czartoryscy zachowają aż do końca tę zawistną minę, z którą nazajutrz po elekcji „w tym samym audjencjonalnym pokoju ks.



LAMPI: KRÓL STANISŁAW AUGUST

August, wojewoda ruski, przy piecu, zaparłszy syna i przybliżywszy mu ściśnioną pięść do gęby, z popędliwością rzekł do niego:

— A cóż, durniu, nie chciałeś korony, kiedyś mógł ją mieć. Widzisz teraz, jak tamtemu piękniej w niej...

A gdy Poczdam i Petersburg z rozkoszą zarzucają smycze coraz to nowych intryg — rozumieć poczyną stolnik z przerażeniem, że przeciw potędze mocarstw nic nie wskóra: ich siła wspólna — widzi mu się — wystarczałaby do podbicia całej kuli ziemskiej. Przerażony i bezsilny łamie wtedy ręce przed swą powiernicą: „Mamusiu! Jakże smutnem i bolesnem przeznaczeniem jest być królem polskim!“ U obcych ludzi litość budzi ten wpędzony w matnię człowiek, nie wiedzący, czego się bardziej obawiać: zamachu na życie ze strony konfederatów, grożącej katastrofy podziału, czy knowań familji. „Jeżeli możesz — pisze gen. Kokcej do Mitchella w r. 1769 — oddaj usługę mojemu nieszczęśliwemu królowi, zaklinam cię! Położenie jego jest okropne, ale nieszczęście nie pognębia go, przeciwnie: czyni go codzień droższym i szanowniejszym“.

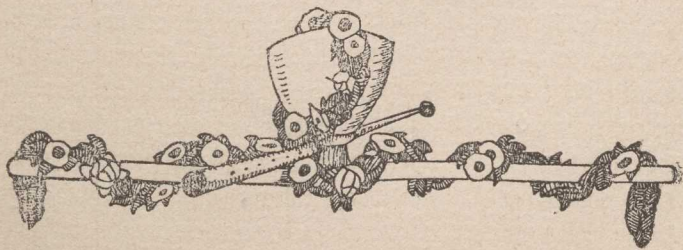
Pierwszy rozbiór nie jest bynajmniej największem nieszczęściem w oczach króla. Więcej gnębi go — własna niemoc i przepaść jutra. Trzeba czytać korespondencję z panią Geoffrin, aby zrozumieć dzieje pierwszego pięciolecia rządów, w których osiwił i zrozumiał syzyfowość swych naiwnie ambitnych zamierzeń. Praktyczna „maman“, która ze wstydu radaby głowę w worek schować, gdy słyszy, co na jej salonach mówią o Polsce, radzi mu trzeźwo: niechaj abdykuje co prędzej i jedzie do Rzymu, gdzie może

przynajmniej zostać kardynałem. Nie pojechał król Staś do Rzymu i nie został kardynałem, ale abdykacja dokonała się sama przez się. *Mortuus est Imperator, natus est maecenas*. To, co miało być ozdobą i renesansową ramą królowania, stało się jego celem.

Odtąd uspokoi się w Polsce na kilka dziesiątków lat. Wokół zrujnowanej i zmordowanej Rzeczypospolitej zaciśnie się żelazna obręcz zaborców. Rosja narzuci Polsce najwygodniejszy dla siebie rząd oligarchiczny, Radę Nieustającą, a siedm ósmych części kraju zmieni właściciela i zamiast familji władać będą ambasadorzy. Ani się spostrzeże Król Najjaśniejszy, że spadł w tym czasie do roli marszałka dworu królewskiego w swoim własnem państwie. Albowiem będą to najszcześniejsze lata panowania. Jakie najszcześniejsze? Przecież zaprowadzi swe państwo pod obuch drugiego rozbioru i zniszczy docna jego suwerenność. Tak, ale odkupi choć w części swą winę światłem pracy cywilizacyjnej. Błyśnie i spali się w tym okresie niejedna rakietą nadziei. Przyjdzie lumen Sejmu Wielkiego i klejnot Ustawy Majowej i hańba Targowicy. Będzie król rósł i wraz malał w naszych oczach, będzie się trzymał krawędzi tronu za wszelką cenę, cenę wysoką. Uczyni ze siebie bolesne widowisko, zaprzeda godność własną, której nigdy nie miał za wiele. Oswoi się z koniecznością szukania „tajemnych subsydjów“, gdzie tylko można. „Szukałem podpór dla mojego tronu, ale te, jak trzcina, łamały się pod ciężarem“, powie raz na sejmie. Chciał być zawsze królem spokojnym, a stanie się królem trwożliwym. „Rządząc“ oglądać się będzie bojaźliwie, albo co na to powie pani Krakowska, albo pani Gra-

bowska, to znowu zadrży na myśl, że się o tem dowie księżna marszałkowa. Będzie królem, ale poza ple-
cyma księcia prymasa. Albo: w najgłębszej tajemnicy
przed Repninem. Będzie królem zawsze, ilekroć po-
zwoli Bułhakow, Sievers, czy Stackelberg. Tych wszyst-
kich pokornie usłucha i połknie w milczeniu aro-
ganckie dowcipy przy stole, jakichby nie zniósł naj-
pospolitszy szlachetka. Zawsze był od kogoś zależny,
wobec kogoś bezsilny. Repnina i Stackelberga zastąpi
na chwilę w czasie Wielkiego Sejmu *le serpent italien*,
Lucchesini, familię nienawistną zluzuje Branicki z opo-
zycją. Corazto inni adwersarze i w imię hasła naj-
przeróżniejszych! Obok księżny marszałkowej Tadeusz
Kościuszko, po Kaźmierzu Pułaskim Szczesny Potocki,
Hugo Kołłątaj i Adam Czartoryski, Stanisław Staszic
i pani Dogrumowa. A wreszcie cała zdrowa większość
narodu ławą przeciw nieszczęśnikowi! Targowica roz-
pocznie trzeci okres królowych rządów. W miękkiej i zgnę-
bionej duszy nie starczy sił i odwagi na tyle, by stanąć
quand même na nowej opoce, którą tymczasem dobre du-
chy narodu budowały. Odartemu z zewnętrznych nawet
pozorów majestatowi, nieszczęsnemu więźniowi Pe-
tersburga, pozostanie już tylko do końca topielczy
kurcz i żądza utrzymania korony.

Cierpki, jakże bardzo surowy i cierpki osąd po-
tomności osiągnie za to Jego Królewską Mość!



Trzeba na króla Stasia patrzeć przez pryzmat jego wieku. Ilekroć wytyka mu się duszę bez głębi i dna, ilekroć wyrok się wydaje na „wygodnisia politycznego, który w powietrzu, przejętem nawałnicą, tęsknił do pogodnych szczęśliwości dyrektora muzeum“, wtedy trzeba zawsze pamiętać o czasach, które go wydały. Nie wolno osądzać go, nie przesłuchawszy studium jego przedtem. Stał się król u szczytu i posiadał wszystkie tajemnice wieku oświecenia. Rozsiewał jego wspaniałości i jego występki na polskim ugorze. Nie miał godności własnej i mocnych podstaw etycznych, ale kochał Szekspira i Horacego, malarstwo florenckie i rzeźbę grecką, kochał wśród narosłej pleśni barbarzyństwa, w czasach, w których wielebny ks. Wichept za „opłatą bitego talara“, pokazywał w Warszawie „szpony orła, jednego z tych, które ciała św. Stanisława pilnowały“, „partykułkę gnoju, na którym leżał Hiob“, „kroplę wody, którą Mieczysława ochrzczono“, oraz „ampułkę wiatru, w stajence betleemskiej wiejącego“.

Ten dziwny król, który za największy tragizm swego życia uważał to przedewszystkiem, że nie mógł do Włoch pojechać, ten król nie postarał się ani o jednego porządnego ambasadora zagranicą, a zato zwerbował dla siebie w stolicach świata wszystkich najlepszych agentów dzieł sztuki.

Aksamitny pięknoduch pochodził z tej samej rodziny, co Lorenzo Medici i Ludwik Bawarski, co Juliusz II. i Ercole I. I niedarmo stwierdzała legenda, że ród Ciołków-Torelli'ch zaczął się kiedyś w Ferrarze. W prężących się ku słonecznym zawołaniom renesansu ramionach Poniatowskiego płynęła krew Me-

dyceuszów. *Medicea stella ravissavano in Te!* — mógł i o nim powiedzieć poeta włoski.

Kultura umysłowa Stanisława Augusta była raczej szeroka, niż głęboka. Tkwił w nim ten sam dyletantyzm, który wszystkich ludzi oświecenia znamionuje, ta sama łatwość i lekkomyślność syntezy, wraz z pasją ogarniania jak najszerszych horyzontów. Imał się wszystkiego i na wszystkiem rozumiał. Było to przecież w wieku, w którym Ludwik XIV., otrzymawszy od pewnego krawca rozprawę, traktującą o powinnościach monarchy, zawołał z rozpaczą: „zawołajcie kanclerza, ażeby mi zrobił spodnie“. A przecież cała przepaść różnicy dzieliła go od współczesnych i poddanych, przerastał ich, posłusznych dworaków o głowę i zdumiewał „nauką obszerną i gustem“. Jakże znamienity jest wykrzyk Trembeckiego: „Łatwiej pisać dla piętnastu Ludwików, niż dla jednego Stanisława Augusta!“ Był mądrzejszy od wszystkich swoich filozofów, lotniejszy od poetów, lepiej barwę i kształt czujący od malarzy i architektów. Ludzie wokół niego używali życia *à tout prix*. Król używał go także, ale inaczej, bo — pięknie. Oni często byli rozpustnikami tylko, on zaś był *viveurem* oświeconym. Tamtych gnała tępa żądza używania, gdy w jego radości życia błyszczały jasno twórcze zamysły artysty.

Aż dziw bierze, gdy ogarnąć skalę jego wrażliwości i zainteresowań. Zaprzętał się fabrykacją powozów i grą na wiolonczeli, zajmował się wykopaliskami archeologicznymi, fauną i mineralogją. Znał politykę i historję, kształcił się w matematyce i w sztuce wojskowej, tańczył menueta i umiał przepysznie uwodzić kobiety. Był w stanie pisać listy równie obszerne na temat konstrukcji świecznika w pokoju

marmurowym, jak organizacji komisji edukacyjnej. Interesował się zarówno fabrykacją wosku, pochodni i świec, jak maszyn do prasowania i bielników płótna, rozumiał potrzebę poszukiwania kruszców, soli, miedzi i marmuru, jak z drugiej strony zastanawiał się głęboko nad najtrafniejszym sposobem katalogowania druków i rękopisów. Mówcą był wspa-
niałym, a jego oracje sejmowe uchodziły za wzory krasomówstwa. Francuzów zadziwiał akcentem i znajomością stosunków towarzyskich i politycznych nad Sekwaną, Anglika, Coxe'a wprowadził w zdumienie ową „*extraordinary knowledge*“, wyjątkową znajomością stosunków ustroju praw i historii Anglii, oraz entuzjastycznym podziwem dla Szekspira, którego wszystkie edycje posiadał, a Juljusza Cezara, jeszcze jako młodzieniec, na francuskie tłumaczył.

Jako wielbiciel kultury angielskiej, przoduje wraz z Wolterem całemu kontynentowi. W tym samym czasie, gdy twórca „*Pucelle d'Orléans*“ propagowa we Francji nieśmiało Szekspira i Addisona, czynił to, może odważniej nawet, Stanisław August w Polsce. Entuzjasta dzieł Swifta i dramatów królewskich łabędzia z Awonu, w odniesieniu do Francji nie krył się z pewnem lekceważeniem, Anglię zaś ubóstwiał nad wszystko. „Król mówił mi — pisze lady Craven — że ludzie, zwierzęta, drzewa i wogóle wszystko, co Anglja wydaje, jest o wiele doskonalsze, niż w innych krajach. Klimat i słońce są zapewne przyczyną tej różnicy. On Anglię wyłącznie kocha...”

W pracy cywilizacyjnej Stanisława Augusta były błędy liczne. Mylił się, nie doceniając kulturalnego polskiego wczoraj, nie wiedział, że gdyby popiół wierzchni odgarnąć, to pod skorupą ciemnoty saskiej

znajdą się jeszcze niewygasłe żary humanizmu i bogatej kultury renesansowej, przywołał chmarę ludzi obcych do Polski, haftował jej szatę odrodzoną na krosnach cudzoziemskich, ale stworzył wiele. Im mocniej utrwala się w marmurze kontur jego dzieła, tem i tragiczniejsza wyda się dola monarchy, który w tak bardzo nieodpowiednim dla się czasie tron posiadał. Jakkolwiek jednak ostro osądzimy lekkomyślność i miękkość, nieumiejętność sztuki rządzenia państwem u Stanisława Augusta, to przecież pozostanie na zawsze czysty blask jego działalności kulturalnej i budzicielskiej.

Lecz strzeżmy się znowu przesady. Byłoby krzywdzącem i jednostronnem przyznać królowi Stanisławowi Augustowi wyłączne kierownictwo w epoce oświecenia i oddać mu niepodzielną buławę hetmańską i rząd absolutny nad epoką. Pokrzywdzony czułby się przez to ks. Stanisław Konarski, który przecie pierwszy odważył się być mądrym, i arcyświatły generał ziem podolskich, i Stanisław Staszic, i ks. biskup Krasicki, poszłyby w zapomnienie Puławy, które jakże szlachetnie rywalizowały na polu kulturalnem z Warszawą!

Ale mimo wszystko przyznać trzeba, że z rozkazu J. K. Mości stało się wiele ważnych rzeczy w cywilizacji polskiej, że pisarze polscy w wieku oświecenia byli uczniami nowatorskiej szkoły króla, że pod oświeconą, w koronkowy haft zdobną ręką mistrza „Polski wytwornej“ z czeladników wyrastali artyści i rodziły się talenty literackie i malarskie. Skromniejsze, niż pragnął, nie tak wielkie, jak zamierzał.

Z rozkazu J. K. Mości wstała z martwych literatura polska, przybrała nową szatę strojną poezja,

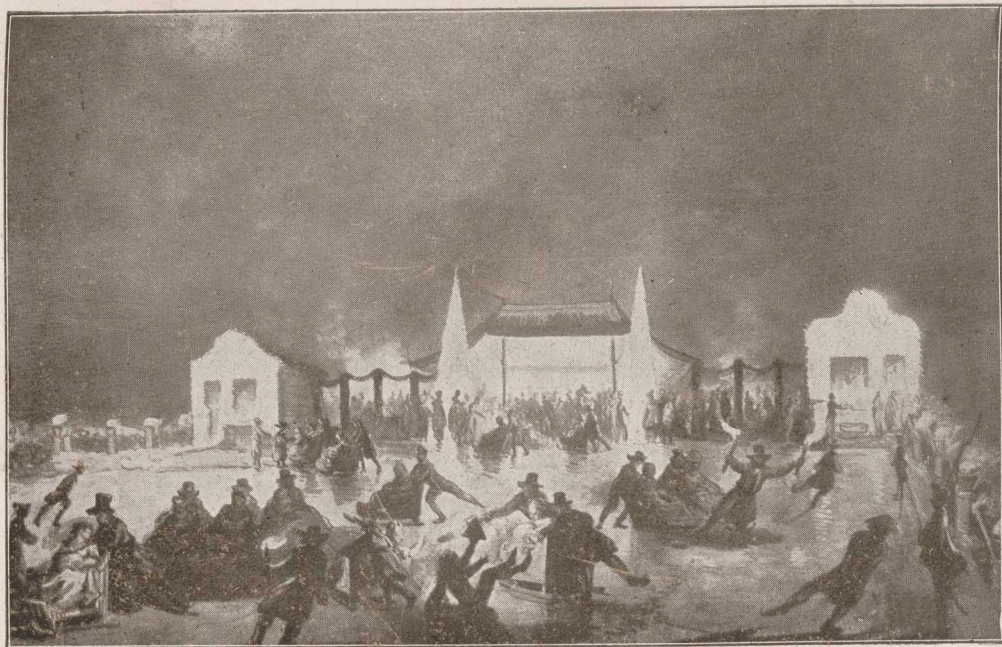
odrodziła się nauka prawa, medycyna, istnieć poczęło nowożytne dziejopisarstwo. Z rozkazu J. K. Mości urodziło się malarstwo polskie i żyć rozpoczął teatr polski w Warszawie, odnowiono Zamek królewski i stworzono Łazienki. Warszawa stała się duchową macierzą odrodzonej Polski, a byłaby jedną z najpiękniejszych stolic Europy; gdyby danem było temu suwerenowi panować spokojnie.

Z rozkazu J. K. Mości powstało pierwsze w Europie ministerjum oświaty: komisja edukacyjna, położono pierwsze bruki w Warszawie i pierwsze latarnie na ulicach zapalono. Zniesiono karę *regestrum Arianismi* i bezkarność morderców, postawiono przed sejmem projekt reform żydowskich. Z rozkazu J. K. Mości powiększyła się w trójnasób liczba drukarni, otwarto biblioteki publiczne i obserwatorja, ogrody botaniczne i kanały, fabryki i zakłady przemysłowe...

I tylko na jedną sprawę brakło najjaśniejszego rozkazu. Nie umiał rozkazać Stanisław August, iżby mocną stała się Rzeczpospolita i oparła się naporowi wrogów, nie umiał sprawić, iżby podniosła się z pod obuchu drugiego rozbioru i uniknęła szlachtuza trzeciego.

Bez niego odrodziła się i przeciw niemu.

Nie umiał Stanisław August sobie samemu rozkazać, iżby siłę piorunów miał jego majestat i wstrząsał posadami złej woli, nie umiał znaleźć w sobie mocy do przeprowadzenia nawy państwa pośród burzy dziejów, nie zdołał ustrzec tronu swego przed despektem i upodleniem. Taka już była tragiczna dwoistość natury ostatniego pomazańca „królującego, gdy kto inny władał“.



NORBLIN: SZLICHTADA NA WIŚLE

Non poenitebil vos fecisse me regem — tak przysiągł stolnik Poniatowski, biorąc w r. 1764 koronę Piastów. Nie pożałujecie tego, żeście mię królem uczynili.

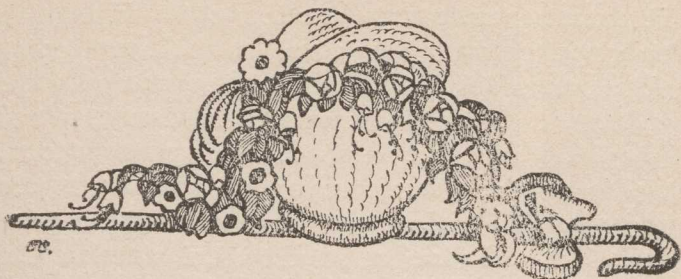
Czy miała żałować Rzeczpospolita ?...



DUSZE W STYLU ROKOKO.

*Człowiek był przedtem prosty dziki jak zwierzę.
Dziś jest szkoła rozumna, ale jak rozumna.
Z szkół, z obozu, z warsztatu, nawet i od gumna
Wszystko tchnie wytwornością..*

Krasicki.



a szybą gabloty muzealnej błysz-
czy jeszcze wiśniowy aksamit
fraka, złotem szamerowanego
i wzbudza podziw różowa ko-
karda pantofelka, lśni biały pu-
kiel peruki i każdy milutki dro-
biazg z tego królestwa, które
kochało się w barwie naiwnie krzykliwej i kształcie
nazewnątrz efektownym, a zwało się epoką ro-
koko. Królestwo istniejące do dziś, tylko uśpione
w akordach Mozartowskiego menueta. Niech jeno
rozdzwoni się rytm aksamitnej muzyki, a ujrzycie tych
ludzi barwistych i rozplacze się na konsoli markiza
z sewrskiej porcelany. Wskrzeszeni suną rzędem ku
fortepianowi...

Wsluchajcie się w rytm menueta, usłyszycie zaś
odgłosy może kroków miękkich... Idą, „pachnąc won-
nemi spirytusy“. Zalotny fircyk Zabłockiego, Papkin

Fredrowski z artemizją i markiz z obrazu Fragonarda, podglądający wdzięki bujającej na huśtawce *grande damy*; marszałek Rzewuski pyszni się pierwszą w Polsce *manicurą*, szambelan Kownacki ma sto par pantalonów, a zasię imć Poniński, ten sam, który upodlił się do ostatka, pudruje smycz chartów swoich przed wyjazdem do kniei... I wiele, wiele nazwisk z dworu króla Stasia. Ludzie ze sztychów Le Prince'a i Chodowieckiego zesзли z obrazu. Orzechowe peruki i watowane biusty senatorskie, malowane brwi i minjaturowe zarękawki labusiów. Bohaterowie satyr Krasickiego, ozdobni, jak książka safjanowa, misterni, jak mahoniowy kantorek prababki, gładcy, wonni i uśmiechnięci proszą — o przebaczenie. Albowiem nie wiedzieli, co czynią.

Nie wiedziałaś-że istotnie, co czynisz, księżniczko w jasno papuziej robie, białonóżko w pończoszkach z przeźroczystej pokrzywki? Śnieżyście pukle piętrzą się na fryzurze, fale morza naśladowującej, wśród których płynie okręcik z koralu i złota, kunsztownie wyrabiany. A czemże uniewinni swą ptasią etykę i motylą moralność — pan szambelan, zapobiegliwy, bo na noc twarz okładał cielęcina, dumny, bo sprowadził do Polski pierwszą kamizelkę z deseniem zielonych małpek, trzymających w ręku parasolki. Wypadło wam wszystkim wypełniać posłusznie nakazy wieku, któremu przecież polecił lord Chesterfield: „Proszę was: pamiętajcie przede wszystkim o przyjemnem poruszaniu ramion, bo to, wraz ze sztuką wdziwania kapelusza i podawania ręki, jest wszystko, co umieć winien człowiek wytworny“. Umieście sobie bujnie życie urządzić, doskonale posiadłszy sztukę marnowania czasu, a święte pozostało dla was tylko jedno

hasło: *Après nous le déluge*. Możliwy was nawet i lubić za lekkomyślną, barwistą linję hedonizmu, gdyby nie to, żeście w złym, bardzo złym czasie do Rzeczypospolitej zjechali. I gdyby nie zarzut Katarzyny, że za tanio Polskę sprzedaliście...

* * *

Rdza pokrywała już nad Sekwaną białe róże epoki rokoka, kiedy pierwsze ich szczepy przyjęły się w Polsce, kiedy na golonych łbach braci szlacheckiej ujrano pierwsze „harbajtle“, a pałace magnackie ślubowały wierność dekalogowi *Louis quinze*.

Chyba humanista, przywożący w dobie renesansu pierwsze rękopisy Cicerona nad Wisłę, gorzał tak wielkim zapalem reformatorskim, z jakim ci pierwsi, wróceni z wojażu apostołowie rokoka, poprzysięgli wojnę świętą polskiej rubaszności i wszystkiemu, co się zasadom perfumowanej wytworności sprzeciwia. Ludzie tego pokolenia, które przyjdzie do rządów za króla Stasia, spędzili, tak jak on, młodość w Londynie i Paryżu, chłonęli w siebie wszystkie zarazki *de la vie galante* i brali wzory u źródła. Pamiętacie chyba, jak to do cichych zaścianków Pana Tadeuszowej Litwy „przyjechał pan podczaszc na francuskim wózku, pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku“; wiadomo też, jak wielkie zgorszenie budził w lubelskim świecie pan Eligjusz Prażmowski, ta przepyszna figura z pamiętników Koźmiana. Hreczko-sieje mieli z nich uciechę i czynili porównania: nogi w pończochach wydały im się tykami od chmielu, po których poly fraka aksamitnego skakały niby brona po roli.

A stara Rzeczpospolita, której pieśnią łabędzią był hymn konfederatów barskich, powtarzała ze zgrozą słowa poety starożytnego: *Et quae antea crimina fuerunt, mores sunt*, albo też ręce łamała w wierszu elegijnym: W zbytkach, niemeńskich strojach rozkochany, cóż znaczy teraz Lach perfumowany?

Reforma obyczaju dokonała się gwałtownie. Niemal na oczach zmieniał się wygląd człowieka, domu, otoczenia. „Wszystko zmodniało w Polsce począwszy od serca, sukni, aż do ostatniej pogranicznej wioski“ — zapłacz w r. 1791 „Polak w czui prawdą podszytej“. Już około r. 1776 najnieszcześniejszymi ludźmi w Warszawie byli krawcy, gdyż musieli tysiące starych, odwiecznego kroju żupanów, na nowomodne przykrawywać fraki. Lecz już wcześniej, bo zaraz po elekcji Stanisława Augusta, zarysowały się przeciwieństwa. Otwarto właśnie teatr narodowy w r. 1765. Bielawski w prologu do „Natrętów“ pozwolił sobie na kąśliwą wycieczkę przeciw sarmatyzmowi. Modnisie uderzyli w głośnie brawa, kontuszowcy zaś, posłyszawszy, że ich świętości w poniżeniu, zaczęli głośno szemrać i gdyby nie to, że król z senorem Casonovą przytomny był w łoży, do krwawej przyszłoby awantury.

Już wtedy stanęły przeciw sobie dwa światy, które odtąd przez pół wieku walczyć z sobą będą: Sarmaci i Gallo-Polacy. Dość spojrzeć na oba typy, aby ogarnąć przepaść różnicy. Po jednej stronie spsobowi się do boju, w obronie zagrożonego obyczaju wygolony brat-szlachcic, przy szabli z furdymementem, w bufiastym kontuszu i zawieszistych szarawarach, ten, co to od dwu wieków z górą „je, pije i popuszcza

pasa". Nosi zawsze w pokrowcu łyżkę, nóż i grabki drewniane i wie, co to najwyższa wytworność: wychylić duszkiem garniec węgryzna, albo też podzielić w powietrzu kapłona upieczonego. Brudnymi palcami sięga co chwila po tabakę z obcych tabakierek, nie uznaje żadnych „*mouchoirów*", a teatr uważa za niemieckie figle, na które przemocą zapędzał ludzi August II. Zapomniał dawno o dostojnym splendorze swych przodków. Ciemny i oślepiany od stu lat Alwarem kończy ucztę każdą pod ławą, jest śmierzdzący i butny, pobożny i pocziwy, sypia na łosiowej skórze, a koszulę z samodziału zmienia bardzo rzadko.

A Gallo-Polak? Fircykiem zwano go powszechnie. „Fircyk jest przyjacielem u całego świata, fircyk wszystkiego świadom i wszystkich rozpląta". W nocy sypia w rękawiczkach, używa nieraz sześciu kołder odrazu, które oddalają się lub zbliżają do łóżka, zależnie od temperatury. Kosteczki ma kruche, niby z porcelany. Z duszy i ciała składał się człowiek dawniej, on zaś stworzon jest z pudru i bawełny. Pudrem przysypuje włosy i szyję, bawełną uzupełnia kształty. Loki srebrne bujają wokół uszu, włosy z tyłu zawija i w czarną, jedwabną kitajkę chowa. Nie staropolskiej czapki używa, ale jakiegoś — kapelusza. Ma sto kamizelek i tyleż fraków do wyboru, na sześćset fryzur przeróżnych pozwala mu edykt Ludwika XVI. Wszystko, co nie ma stempla zagranicznego, nazywa sarmatyzmem i w zjadliwej trzymą pogardzie. W bajecznej polichromji prześcignął wszystkie mody świata. Ma frak kanarkowy, niebieski albo moregowały, zależnie od pory i ochoty, westę koloru wiśni lub kremu, kuloty żółte, białe, jedwabne lub czarne, aksamitne, modnie w galon szachowane. Długie manszety koronkowe,

czyli pleureusy sięgają aż po palce. Poznać pana po koronkach. Bielizna może pozostać bez zmiany, byleby koronki były modnie odmienione. Rząd szklących guzików u fraka jest małym gabinetem historii naturalnej, bo widać w nich pod szkłem robaczki najrozmaitsze: gąsienice, motyle, żabki i jaszczurki. Rękojeść szpady, która, niby mały rożenek, zwisa u poły fraka, zdobią klejnoty, łańcuszki przeróżne i trzęsidlą z brylantowej stali — oto on, uwodzicielski i pachnący kawaler *à la* Watteau.

Dwa typy, obok fircyka, są wyłączną własnością tej epoki: oświecony labuś i kobieta oświecona. Młodzieniec, który chciał żyć wygodnie, mieć jak najmniej obowiązków, a jak najwięcej przywilejów, wdziawał suknię duchowną. Jeśli był sprytny i dobrze urodzony, jeśli umiał podobać się kobietom i łatwo zginał kark pudrowany, zostawał biskupem. Wtedy ów piżmem woniejący pieszczoszek we fioletach, „woźny najlepszy bogini świegotki“, władał epoką i ciągnął z niej najśłodsze korzyści. „Najzabawniejszą rzeczą było — mówi, opisując Sejm polski Bernoulli — patrzeć na biskupów. Przeważnie są to elegancy, modni i zalotni młodzieńcy z arystokracji, którzy zdają się rywalizować między sobą wykwintnością i kosztownością fioletów, obszytych najprzedniejszymi koronkami i przesadzają się we fryzurach najdziwniej strzyżonych“. Jeszcze dokładniej objaśni sprawę złośliwy czterowersz Zabłockiego:

Spójrz pod ten dom! Czy widzisz? Kanonik czy *l'abbé*
Gorliwie coś wbrew jakiejś grzesznicy wymiata,
Ale ta, mając serce, czy twarde, czy słabe,
Póty się nie nawróci aż nie da — dukata!...

Uwijał się labuś po Warszawie *à l'abbé*, t. z. kuso, „okryty różnego koloru suknem i bławatem, bez najmniejszego duchowieństwa” a, co gorsza, „w odległych ulicach trzymał sobie na duchownym obroku nieskromne matrony”. Do rzadkości należało spotkać księdza modnego w sutannie. Nawet mszę św. w peruce odprawiać przywykli. Załuski rozchorował się w Kałudze z braku peruki, a ks. Hugona Kołłątaja upomina ostro w r. 1781 konsystorz krakowski, że nosi ubranie świeckie, pończochy kolorowe i biały kapelusz ceratowy.

Wpływ kobiety dominuje nad życiem i odmienia z gruntu oblicze epoki. Nie sejmy i sejmiki są jej mózgiem, ale buduary. Jak gdyby odwet biorąc za niewolę tylu wieków, w ciągu których „*domi mansit, lanam fecit*”, — białogłowa bierze teraz z pasją ster rządów. Jest oświecona i mądra, koresponduje z Wolterem, pielgrzymuje do grobu Petrarke, zbiera sztychy i osobliwości. Z jej przyczyny dyplomacja XVIII. wieku staje się kunsztem machiawelskim, do niej, na słodkie służby, idzie całe życie publiczne. Małą rączkę kobiety odczuwa się we wielkiej polityce, mała rączka uciska tętno literatury i wszelkiej sztuki, mała rączka z rozkoszą nurza się w rozpuście. Teraz dopiero pielęgnowana starannie stała się piękna i błyszcząca, pieszczona i *manicurowana*, i nawet w nocy chroniona przez perfumowane rękawiczki. Całowanie tej rączki i ściskanie to sztuka osobna, która ma tysiąc odmian i znaczeń, a zawiera cały alfabet dla wtajemniczonych. *Joie de vivre* nie zna granic: — „Pani jeszcze kocha swego męża po sześciu miesiącach? Ależ to przystoi modystce, a nie markizie”. Wierność małżeńska jest grubą obrazą dobrego tonu. Moralność kokot staje

się moralnością księżniczek. Rozwódki odbierają cześć westalek, klasztorne rozmównice służą jako miejsca schadzek, łóża wolnomularskie są salonami przyjęć.

„Ustawiczna w zwierciadle, pałająca od farb“ stroi się kobieta w materyjki lekkie, niczem pajęczyna, gorset zaciska, że piersi aż pod brodę podchodzą, stan cienki dłonią ledwie objąć można. Gdy mężczyzna ubierał się na codzień, jak na redutę, to cóż dopiero rzec o toaletach pań? Lord Chersterfield, zapytany raz przez Woltera, jaką znajduje różnicę między francuską i angielską wytworniszą, rzekł krótko: „Nie znam się na malowidłach!“ Był to kolorowany ogród warzywny. Fryzura, wzniesiona na osobnem rusztowaniu z drutu i drzewa, dochodziła długości połowy ciała, a zdobiły ją koronki, kwiatki, gwiazdy, lasy, wstążki, pióra, zwierzęta i ptaszki. Rogówka, czyli krynolina dwułokciowej średnicy, czyni damę podobną do chińskiego namiotu, lśniącego polichromją najjaskrawszych kolorów. Na twarzy malowanej, muszka z aksamitu. Nie obojętne, w którym miejscu. Na nosie oznaczała — bezwstyd, na powiece — namiętność, w kąciku ust — chęć całunków, na wardze — kokieteryję. Dama modna podobna jest do magazynu jubilerskiego; do boku przypina bukiety rubinów i szmaragdów, a nawet, nie bacząc na kłótny wzrok zeszłowiecznych matron, pozwala sobie przekłuć oba uszka, by je ozdobić dewizkami z brylantów. A przeto epoka rokoko nie wiedziała, co wogóle znaczy kobieta — brzydka. Wszystkie były piękne, bez wyjątku. Pannę Mniszkówną z Dęblina zaliczano do prawdziwych piękności, pomimo, że była kulawa, garbata i zezowata. Korki u trzewików zaradziły skróceniu nogi, wypchanie jednej łopatki, utaiło

zbytnią wypukłość drugiej, pukle peruki, zesuniętej na czoło, zakryły zęza w oczach.

La femme galante XVIII stulecia rządzi Anglią i Ludwikami we Francji, rządzi Polską. To samo *régime des maitresses*, które zgubiło Francję, nie dopomogło też Rzeczypospolitej. Mieliśmy i my swoją markizę de Mailly i księżnę de Chateauroux i panią d'Etiolles, mieliśmy i króla, który jak duch de Richelieu, był mężem wszystkich żon. Lecz więcej służką, niż imperatorem świegotek, stał się ten król, który lubiał mawiać, iżę wolą kobiet polskich na tron powołany został. Nie krzyczały-ż wszystkie w dniu elekcji do przejeżdżającego prymasa, że „Stasia” na króla sobie życzą? A przeto majestat pomazańca obfitował w blaski szczęśliwe. Otoczony wieńcem najwdzięczniejszych i urodziwych dam, był Stanisław August upragnionym kochankiem stu najpierwszych piękności. *Il aime toutes les femmes*, stwierdza Bernardin de St. Pierre, który sam padł ofiarą polskich amorów. Kochały panie warszawskie króla ekstraordynaryjnie, a tęskniąc codziennie gorzej, pieczętowały każdy list dwoma gołąbkami i palmą z napisem: *mon amour pour tui seul*. Czego znowu nie należało brać zbyt dosłownie.

Z przemożnym wpływem białogłowy idzie w parze efeminacja mężczyzn. Szminka i puder obowiązują jednakowo. I oto jeden z rysów znamiennych epoki, w której nuncjusze papiescy w Warszawie piszą i drukują namiętne erotyki do dam, hetmani koronni nie umieją dosiąść konia, oficerów nie widziano nigdy w pułku, a hetman litewski, w ataku na Stołowicze, zajęty jest komponowaniem opery! Pretensja zresztą dziwna. Skądże myśleć o wojnie człowiekowi, co miasto szabli używał wachlarza, ścisnął się sznurówka

i sztukował biodra. Wesoło żyjem i skocznie, jak nigdy! Ile dworów magnackich, tyle teatrów, a raczej nie: tyle oper włoskich i baletów! Nie miały-ż królewężta polskie iść z prądem czasu, skoro Wersal tańczy od rana do nocy, Fryderyk rzępoli na flecie, a Józef II komponuje zawzięcie! Więc „muzykują“. Niechaj przymiera głodem pan Bogusławski, skoro prezentuje wciąż dramy krajowe, górą *buffo caricato* i rozkoszne tańce pana Sacco.

Byli to ludzie dzieci, którzy w swych duszach ptasich, lilipucich, urobili minjaturę człowieka. Przynieśli z sobą na świat dziecinne ukochanie życia i tę nieporównaną, im tylko właściwą, *l'art de dire rien d'une manière agréable et ingénieuse*. Sztukę rozdrobili na sztuczki efektowne, wiedzę i mądrość zaprzęgli do rydwanu, aby rakietami wielobarwnymi oświećlała ich szalony taniec. „Radość, siadłszy do złotej karocy, ze szczęściem na koźle, przez powietrze modre pędziła w pojeździe“. Tańczyli i grali w karty, zbierali starożytności, urządzali iluminacje i fajerwerki, szukali kamienia filozoficznego, a bieliznę do prania posyłali do Paryża. Teatr amatorski, szlichtada i kulig wypełniały zimę, *journées de campagne*, polowanie z chartami, festiwale na łodziach okwieconych i baciakach, urządzali w lecie. Amor, intryga i rozpusta trwały latem i zimą. Dekoracyj mogą im pozazdrościć wszystkie inne czasy. Nie mieli pretensji o to, że historia, oprócz nich, zajmuje się także innemi sprawami. Chamfort powiedział słusznie, że wielkie wypadki cenić należy dlatego, iż dają asumpt do wesołych dowcipów. *Tout finit par des chansons*. Naruszewicz poszedł jeszcze dalej, uchwyciwszy w dwuwierszu

sedno epikureizmu: „Jedna godzina, gdy ją wesół pędzę, lepsza jest, niżli tysiąc wieków w księdze“.

Rozrzutni byli, próżni i wytworni. Gorszącej i bolesnej rozrzutności przykładem świecił przede-wszystkiem król. Równie oświecona rozrzutność odznaczała księcia generała ziem podolskich, natomiast rozrzutność dobroczynna leżała w naturze księżnej marszałkowej. Za innych niech starczy przykład tej pani Kossakowskiej, która, ujrawszy raz przekupkę z pomarańczami, zdjęła naszyjnik z pereł urjańskich i, w braku pieniędzy, za każdą pomarańczę perłą zapłaciła. W luksusową budowę Powązek, swej letniej posiadłości, wsadził ks. Adam wiele milionów dukatów, a samą łazienkę wyłożył kostkami z najprzedniejszej porcelany drezdeńskiej, z których każda 3 dukaty kosztowała. Cóрки bankiera Teppera „nie mogły pić herbaty, jeżeliby na węglach z Anglii sprowadzonych nie była zrobioną“.

Jedwabna linja życia wymagała wiele złota. Więc zdobywano je za każdą cenę, nie pytając etyki. Żyło się za dukaty rosyjskie, za złupione z dóbr pojezuickich i Rzeczypospolitej kapitały, za wyłudzone donatywy i starostwa, wpływami fartuszkowemi uzyskane. Tysiącami skutów pszenicy polskiej opłacano każdy wybryk fantazji. Miljon złotych polskich wysyłały miesięcznie banki za sprowadzane z Francji towary, gdy tymczasem chłop jadł chleb z kory i żywił się tłuszczem, który kapał ze świec w czasie tak częstych iluminacyj. Mąki na chleb dlatego tylko nie wystarczało, bo jej używano na puder. Markiza polska, bogata jak księżniczka z 1001-ej nocy, gdy się obrazi na swą ojczyznę, to zakupuje w Paryżu dwa skrzydła w *Palais Royal* i tam zamieszka. Często zastaw sześciu wsi na rok nie wystarczy, aby wydołać

wydatkom. Gdy księciu zbaraskiemu Wincentemu Potockiemu podobał się raz w Paryżu stangret Ludwika XVI, sypanął złotem, przelicytował króla w ordynarii i zabrał Francuza ze sobą do Warszawy. „Uczta jedna — wołał na Sejmie Wielkim poseł Kiciński — kosztuje więcej, niż wyżywienie roczne familji, powóz przenosi dochód majątności, ozdoba jednej sukni, całej garderoby szacunek. Napęczniony kraj frakami, haftami, guzikami, laseczkami, dewizkami“... I tu może da się dostrzec jedyna filjacja z epoką poprzednią. Na tem polu spotykają się bratnie dusze nowych i dawnych czasów. Górne zasady bezmyślnej rozrzutności wcielał przecież „Panie kochanku“ w życie już oddawna. Na jedne święta Bożego Narodzenia sprowadza z Rygi do Nieświeża 1.500 butelek szampana, 300 reńskiego, 200 burgunda i 800 funtów kawy; gdy mu braknie gotówki, sprzedaje klucz Berdyczowski za 2.000 „dusiów“, a na przyjęcie króla sypie milionami. Albo stary Brühl, który chowa w swej garderobie 800 szlafroków i 1.500 różnych peruk? W spadku po sarmackich przodkach, wzięli jeszcze ludzie rokokowi, nie liczącą się z niczem, butną pewność siebie. Księżę podskarbi Poniatowski obróci się plecyma do delfina francuskiego, lub zrobi papiężowi, Piusowi VI awanturę, jakiej Watykan nie słyszał za to, że musi czekać na swą kolej przy audjencjach.

Tajemnicę dusz w stylu rokoko zgłębić trudno. Bo zważmy tylko: kochają nad wszystko rozum, a tak mało są mądrzy; pomimo wielu godzin, trawionych przy toalecie, nie lubią czystości i brzydzą się kąpielą. Najbardziej reprezentacyjnym sprzętem epoki jest *grattoir*: grabki i młoteczek ze złota i kości słonio-

wej, drogiemi kamieniami zdobne. Do czego służą? Do uśmiercania robactwa, które lęgnie się we wspa-
niałych koafjurach. Cyniczni kpiarze, płacz mają na
zawołanie. Czytają książki sentymentalne, łzy roniąc
nad każdym, zatracającym o czułość słowem. Niby
wrażliwi bardzo i przesubtelni, nie mają wszelako nic
zmysłu naturalności. Polskie rówieśniczki pani de
Pompadour przenoszą perfumowane kwiaty z porce-
lany nad zapach rozkwitłej róży. Lubieżni rozpustnicy
piszą osjaniczne wiersze, pełne księżycowej melan-
cholji, zdecydowani materjaliści i sceptycy wierzą
święcie w cuda każdego szarlatana, na ubitą ziemię
wyzwają każdego, ktoby wątpił, że Cagliostro liczy
tysiąc lat życia, a niema takiego głupstwa, na które
by ich złapać nie można pod jednym tylko warun-
kiem: że ma stempel zagraniczny. Z tem wszystkiem
są boleśnie śmieszni.

Na czem tedy polegała szczególna śmieszność
polskiego rokoko, śmieszność bolesna i bezmyślna? Na
tem, że wprowadzenie jego jedwabnej linji było zgrzy-
tem i szyderstwem w zastosowaniu do stosunków
polskich. Nadwiślańskiemu krajobrazowi nie było
wcale do twarzy wśród laurów kulisto strzyżonych.
Był kult rokoka kwiatkiem egzotycznym, przypiętym,
zaprawdę, do siermięgi chłopa, mieszkającego w kur-
nej chacie i był zbrodnią dlatego, że dokonywał
się w chwili, w której staczała się w przepaść Rzecz-
pospolita. Ambasadorzy państw zaborczych są naj-
gorliwszymi heroldami rokokowej mody, wiedząc,
że nią osłodzą polskiemu *high life'owi* gorycz roz-
bioru. Rokoko polskie transportowało niewolniczo
obcą formę z zagranicy, wierzyło święcie każdemu
głupstwu, przywiezionemu przez wydrwigroszy. Nie

zorjentowało się, że sybaryta francuski podporządkował rzeczywiście wszystko wygodzie życia, gdy w Polsce włożono na szyję obrożę gniotącą nowej mody. Nie można też na serjo traktować ludzi, dla których najwyższym wyrazem *haute volée* było posiadanie stangreta, który czytał, siedząc na kozle, romanse francuskie. Pani hetmanowa Branicka kazała w pałacu swoim, w Białymstoku, wystawić piece tak kosztowne, jakie mało kto miał w Europie, ale „w piecach palić się nie chciało“, więc pani hetmanowa zimą mieszkać musiała u swych oficjalistów. Księżna generałowa miała sanki luksusowe, opiewane przez wieszczów Warszawy: Twój powóz wszystkie zgasił, cały złotem błyska, Siedzi Kupid na dyszlu i grot z łuku ciska! Cóż, kiedy sankami temi niesposób było się sankować! Pan de Ségur wydziwić się nie może, widząc w Polsce niezwykły przepych, ale żadnej równocześnie wygody życia; porównując kontrast najwyższego zbytku magnatów i niechlujstwa szaraczkowej szlachty. „Polacy mają szalone dochody, więc w ich pałacach znajdziesz wszystko, co tylko wymyślono na świecie, eleganckiego i drogiego, ale życia urządzić sobie nie umieją“.

Przypatrzywszy się bliżej człowiekowi polskiemu z końca XVIII stulecia, trudno go winić nawet, że się nie umiał obronić przed pokusą, płynących z Petersburga dukatów, że pozwolił wywozić senatorów na Sybir i przyjmował w pokorze rozkazy obcych ambasadorów, że nieświadom był zbrodni, którą popełnia. Bengalski ogień rozkoszy zaciemniał im rzeczywistość, a tani szych importowanego luksusu barwił tragiczną codzienność życia. W ich lenistwie i lubieżności przeglądała się, jak w zwierciadle, epoka, która najbardziej

szare dusze krasila blaskiem kolorowym. Któżby np. wytłumaczyć potrafił „ostatniemu prymasowi Rzeczypospolitej“, że, spoczywając w swym letnim pałacu, w Jabłonnie, wśród szmeru fontan i w amfiladzie drzew pomarańczowych, w kole swych odalisek, na sofie tureckiej — nie spełnia najwyższych zadań czasu swego i nie zasługuje na miano gentlemana, to jest człowieka, który (wedle „kodeksu życia galantnego“) rozwiązał trafnie podniosłe problemy życia?

Znamy ich wszystkie bezprawia i niecnoty, wiemy o przekupstwie i zbrodniczej bezmyślności, a przecież żal bierze potępić ich zupełnie, przywieść przed sąd historii i skazać na infamję. Są niepoczytalni i winy nieświadomi. Płakać będą gorzko, poniewczasie, że „ta, co od morza aż do morza władła, kawałka ziemi nie ma na mogiłę“. Ale, gdy im rzucić w twarz oskarżenie Targowicy, mają zaraz w zanadrzu odpowiedź labusia Galiani'ego, który był Mahometem rokoka: „Pięć zmysłów dała natura człowiekowi, aby mu sprawiały rozkosz i ból, ale nie dała mu żadnego dla odróżniania prawdy od fałszu“. Tenże sam człowiek, gdy go na dwie godziny przed śmiercią odwiedził pewien minister, rzekł: „Nie mogę przyjąć ekscelencji, gdyż mój powóz czeka, gotów do odjazdu“. Byli ugrzeczniejsi aż do końca. Marja Antonina, wstępując na szafot, powiedziała katowi: „*Pardon, Monsieur, j'espère, que je ne vous ai pas fait mal*“, a kasztelan Ankwicz w takiej samej sytuacji podał oprawcy złotą tabakierę. Odchodzili z poczuciem winy? Nigdy! Odchodzili dumni na swe dzieło życia, ze słowem Talleyranda na ustach: „Kto nie żył przed rokiem

1789, ten nie ma pojęcia, co znaczy prawdziwa radość życia!”

* * *

„Na schyłku wieku XVIII mamy salon, ale to jest salon w Polsce, a nie salon polski” — osądza dobitnie Władysław Łoziński. Życie salonowe z czasów Stanisława Augusta, oderwane od narodowego obyczaju, ujęte było w ciasne granice, a obejmowało tylko najwyższą warstwę. Pod złożoną skorupą dworu i oświecenia chowała się nietknięta jeszcze średnio-wieczna fizjognomja dawnej Polski. Ludzie z pamiętników Paska, duma królewiąt, serca najpocziwsze. Rokoko, zabawa magnatów, ledwie tę duszę dawną musnęło, przetwarzał ją natomiast i przebudowywał powoli czas nowy.

A czy można mówić o polskim rokoko? Czy jest chociażby jedna linja nowa, którą *la Pologne galante* wprowadziła w ten styl życia, panoszący się w XVIII stuleciu nad Sekwaną, Tybrem i Sprewą, w Trianonie, Cirey i Sans-Souci? Niewolnicze, bezmyślnie niewolnicze tylko naśladowanie. Bujność polskiego rokoka była może bardziej jeszcze rozrzutna i szalona przez to, że mu bujność natury polskiej sekundowała. A w śnieżnych perukach rokokowych głów, takie samo w Warszawie, jak w Paryżu leгло się robactwo. Rewolucja francuska oczyściła z niego peruki paryskie, ustawa majowa uczyniła to z głowami polskimi.

Lecz było w Polsce ludzi wielu, nie kilkudziesięciu, którzy puste formy napełnili treścią, a pod harbajtłami rozumne ukrywali głowy, którzy

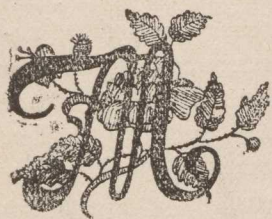
sprawili, że z rakiet rokoka nietylko dym został i popioły, ale kryształy, po dziś dzień w diademie cywilizacji polskiej świecące. Był wielki hetman epoki rokoko, Stanisław August, który choć w części lekko-myślność polską XVIII wieku przed potępiającym osądem ratuje.



O PIĘCIU BRACIACH I O PANI KRAKOWSKIEJ.

*Z nas malowani dziś tylko rycerze,
Szabla ze złota, koło serca pierze.*

Naruszewicz.



atka ostatniego króla polskiego miała pięciu synów i dwie córki. Obiecywała sobie po nich wiele i gdyby ambicje pani kasztelanowej miały zostać zaspokojone w całości, to chyba siedm najpierwszych dworów europejskich musiałoby ofiarować korony jej siedmiorgu dzieciom. Była mądra, dumna, obyta w świecie, a nadto obrażona śmiertelnie na „familję“ za to, że jej, chociaż Konstancji Czartoryskiej z domu, nie dają odegrać wielkiej roli w polityce familji. „Wykapana hrabina Terzky z Wallensteina“, jak ją określił trafnie jeden z historyków, dała za wygraną i poświęciła się wyłącznie wychowaniu dzieci, miała u siebie szkołę dobrego tonu dla młodzieży, zjeżdżając się tu chyba z całej Polski. Uczono się wszelakich rzeczy oświeconych: jak „ukołysać dzikie w Polakach humory“, jak „obalać sentymenta nieludzkości i grubiaństwa“. Uczono się pewności siebie, sprytu ży-

ciowego i sztuki błyszczenia wśród ludzi. Madame la comtesse de Genlis wydała w Paryżu krytyczny i rozumowany dykcjonarz etykiety dworskiej, pani kasztelanowa, naocznie zbadawszy życie galantne, wykladała jego tajemnice dzieciom swoim w zapadłym dworze na Polesiu. Z mężem, ojcem Stanisława Augusta, dobrała się niezgorzej. Wiadomo, ile świata z Karolem XII. przebieżał pan kasztelan Poniatowski, ten znany ze swego sprytu w Europie *globetrotter*, „*qui voulait toujours connaitre et croyait toujours reconnaitre tout le monde*”. Trzeba trochę ufać Kołłątajowi, gdy uznaje w nim jednego z czterech najmędrszych za Augusta III. Tylko dzięki papie „maman” Geoffrin tak serdecznie zaopiekowała się dwudziestoletnim Stanisławem Augustem, a wstęp do Wersalu i na salony angielskie miał przyszyły król polski przedewszystkiem jako syn swojego ojca. Ten człowiek, którego Ludwik XV. nazywał swoim przyjacielem, a Stanisław Leszczyński dopuszczał do wielkiej poufałości, umiał poradzić sobie na świecie. Zginęła wprawdzie bez śladu recepta na szukanie złota, jaką dzieciom na łożu śmiertelnem wręczył, ale pozostawił im zato w testamencie swej biografii sztukę gładkiego prześlizgiwania się przez życie.

Chociaż nie pierwszej był pan kasztelan młodości, przecież, biorąc trzecią z kolei żonę, po dwóch bezpłodnych pochwaniu, pomyślał o podtrzymaniu rodu. Miału z nim, jak się rzekło, Konstancja Poniatowska pięciu synów i dwie córki. Rozliczne wróżby i znaki niebieskie, astrolog szwedzki, paryska chiromantka, korona w ogrodzie wykopana — wskazywały, że Stasiowi królestwo doczesne się patrzy, na nim

tedy, choć szóstym w szeregu, skupiła się szczególna troska matczyna.

„Matka wyuczyła mnie połowy tego wszystkiego, co zwykle zostawia się obcym nauczycielom“ — wyznaje król w pamiętnikach. Dała mu swoje wszystkie prawdy perfumowane i pudrowane dogmaty. A tylko męskości tchnąć się nie udało w zajęcze serce najmłodszego jedynaka. Był niezgrabny, dziki, chorowity i miał lat 16-cie, kiedy po raz pierwszy wyjechał zagranicę. Kupił sobie zaraz w Holandji obraz Rubensa. Ale zmądrzeje szybko, gdy pojedzie raz drugi i trzeci, zgoli pierwsze, sypiące się wąsy pod nosem, a wskazówki mamusi pouczą go, jak z wojażów ciągnąć korzyści oświecone i „głowę niemi meblować“. Odgadnie kunszta subtelne roboty politycznej przy boku podkanclerzego, zawróci w głowie kuzynce Czartoryskiej, pozna nawylot Anglję i Francję, uściśnie dłoń delfina i zamieni nawet słów parę z panią de Pompadour. Księżna de Brancas zachwyci się już wkrótce jego doskonałością towarzyską, a lord Chesterfield, sam lord Chesterfield, zaliczy stolnika do swych przyjaciół! Oczy otwierać będą mu się coraz szerzej. Skąpie się po szyję w pustocie Wersalu i w grubym cynizmie Stuartów. Reszty dokona druh serdeczny, Williams, książki uczone i — Petersburg. A kiedy święte puchy niewinności scałuje mu lubieżnie z warg Katarzyna, gdy Piotr przyłapie gacha na zalecankach i za kołnierz przyprowadzić każe — życie nie będzie dlań już miało żadnych tajemnic. Kochanek carowej sięgnie po koronę Piastów gestem pewnym, jak po rzecz słusznie mu się należącą.

Gdybyż była tej chwili dożyła pani kasztelanowa, gdybyż dożyła! Zajęta do końca myślą o wy-

prowadzeniu na ludzi swej gromadki, niejednego zawodu bolesnego doznała z ich racji. Franciszek umarł młodo proboszczem zaledwie krakowskim, Andrzej wszedł rychło w służby austriackie, a Michaś i Kazio nieraz trosk przymnożyli. Obaj godni prezentacji!

Pierworodny K a z i m i e r z (1721) szybko pojął zasady matczynego oświecenia i wyrastał leniwie na pasożyta, ni Bogu ni ludziom przydatnego. Odznaczał się efeminacją, czyli tchórzostwem wielkiem i stąd pierwsza jego sława: ponoś spoliczkowała go mama (niedarmo dla srogości usposobienia „chmurą gradową“ zwana) i to na sali balowej. Potem wymogła na nim pojedynek z Tarłą. Sprawa tyle głośna i tragicznie zakończona nie przymnożyła księciu przyjaciół. Mówiono, że to podstawiony zabójca dźgnął nożem przeciwnika, powiadano złośliwie, że po pierwszym strzale księżę podkomorzy jął krzyczeć: „kocham pana wojewodę“... Naogół śmierć Tarły nie ułatwiła ks. Kazimierzowi kariery, o którą zbytnio nie zabiegał, bo był leniwy. Tak dalece leniwy, że mu się nawet nie chciało ról uczyć na teatrach amatorskich. Raz bywał gdzieś podobno na wojnie sukcesyjnej austriackiej. Zresztą, jak na oświeconego próżniaka przystało, wysiłków żadnych nie lubił. W głowie, umeblowanej pusteni błyskotkami, nie było żadnego z tych rysów szlachetnych, które u króla podziwiamy. Może trochę o nim myśli Naruszewicz, gdy powiada:

Nie straszny też to u mnie taki podkomorzy,
Co na hipotenuzę wielki pysk otworzy.

Elekcja młodszego brata, któremu się pilnie wystuguje, nie dała księciu odrazu brzęczących ko-

rzyści. Jak długo rządili Polską i królem wujowie Czartoryscy, nie miał się co u dworu pokazywać. Próbował wprowadzić młody król w pierwszych miesiącach po elekcji urządzać rady familijne na zamku, w których, zarówno wujowie Czartoryscy, jak i bracia Kazimierz, Michał i Andrzej udział brali — ale prędko dał za wygraną. Zajadłość w kłótni doszła tak daleko, że król musiał ostatecznie wyekspedjować podkomorzego z Warszawy. Bawi się przeto ksiązę Kazimierz w suwerena udzielnego na Spiżu, odbiera na kontraktach cześć monarszą, w robieniu długów nie ustępuje koronowanemu bratu, ujeżdża żrebce w Sokalu, dowodzi korpusami berajterów, dostarcza koni dla kawalerji pruskiej, romansuje, poluje, gdyż „całe szczęście życia położył w marnowaniu czasu“. W czasie konfederacji barskiej przycicha, wychodząc słusznie z założenia, że ostrożność jest najlepszą częstką odwagi. Na wszystkim umiał robić interesa, więc też poszczęści mu się na pierwszym rozbiórze Polski: od obu stron, od Rzeczypospolitej i od zaborców, bierze — pomimo protestów — grube odszkodowanie i teraz dopiero pokaże, co umie!

Zagranicą weszła niedawno w modę manja zakładania fantastycznych ogrodów, o których książki pisano i poematy; tedy ks. podkomorzy zakupił wielki kompleks gruntów pod Warszawą, kopał ziemię przez dziesięć lat wszczem i wzdłuż, sprowadził armje ogrodników, architektów, sztukatorów i tapicerów. Tak urosła wspaniała przystań ksiązęcego próżniactwa, świątynia rozkoszy niefrasośliwej i zbiorowisko równie dziwacznych, jak niesmacznych pomysłów. Klomby, wyspy, minarety tureckie i chińskie pawilony, sielskie chałupinki i ruiny zamków. łaźnie,

oranżerje, grotę i kaskady, wedle wzorów z całego świata pościąganych, rosły, jak grzyby po deszczu. Budowała Czartoryska Powązki i świątynię Sybilli, rujnowała się Radziwiłłowa na Arkadje, a król majatki topił w Łazienkach — ks. podkomorzy nie chciał być od nich gorszy. Brakło mu wprawdzie gustu wszelakiego i czucia, ale miał zato największą w Polsce ananasarnię, z której 5.000 sztuk rocznie szło na stół książęcy.

Jeszcze większe dziwowiska działy się pod ziemią. Obaczywszy je, podróżnik angielski, William Coxe, języka w gębie zapomina: „Wieczorem — opowiada — dał przyjęcie brat króla we wspaniałym, zdobnym w piękne budynki ogrodzie. Był to wieczór po dniu dusznym bardzo; spacerując po ogrodzie, przybyliśmy wreszcie do grotę, w sztucznych skałach wykutej, urozmaiconej źródłami i strumykami. Usiadłem wraz z królem na ławeczce z mchu, a księżyc właśnie zeszedł i upiększył dziwnie tę chwilę. Potem wiodła droga przez kręty, podziemny korytarz, w którym tu i ówdzie lampa słabe siała blaski. Wreszcie dotarliśmy do drzwi drewnianych, jakby wejścia do lichej chatki. Drzwi nagle otwały się i ujrzelśmy się we wspaniałej, precudnie oświetlonej sali. Był to rondel z przepyszną kopułą wedle najpiękniejszej symetrii. Dokoła, w pośród kolumn ze sztucznego marmuru, widziałeś cztery otwarte gabinety, a w nich sofy wygodne i malowidła *al fresco*, przedstawiające triumfy Bachusa, Sylena, Amora, oraz zwycięstwa cesarzowej Katarzyny nad Turkami. W tem wśród ogólnego podziwu olśnił uszy nasze koncert niewidzialnej orkiestry. Szukaliśmy daremnie, skąd pochodziły tony, gdy na środku sali nakryły się stoły z taką szybkością,

że wydały się, jak gdyby zaczarowane. Nigdy nie spędziłem przyjemniejszego wieczoru!

Książę Kazimierz — opowiada ks. de Signe — porobił w swoim ogrodzie efektowne widoki. Wybornego smaku salony otoczył górami; spotykasz tam jeden salon niby przypadkiem, ale tak, że tego przypadku uniknąć niepodobna. Tu zapuszczasz się w głąb groty, z której aby wyjść, potrzeba choć trochę światła. Zdaje ci się, że w głębi widzisz światełko, idziesz za niem i znajdujesz salę precudnie ozdobioną, malowaną, umeblowaną przepysznie; wszędzie mozaikowe kolumny, płaskorzeźby itp. Inna podobna sala znajduje się na lodowni, gdzie się zabawia całe towarzystwo, nie będąc z sobą w styczności. Są tam bowiem dwa piętra, jedno dla tych, co lubią grać w karty, drugie dla lubiących się bawić pogadanką.

Ten rodzaj przegrody, która jednak nie przegradza jednych od drugich, jest wcale nowym pomysłem. Znajdziesz tam oprócz tego bardzo piękny minaret czyli wieżyczkę turecką z dzwonami, zwołującymi na modlitwę. Znajdziesz rozmaite świątynie, wykute w skale... Jest tam i piękna kolumnada, a blisko niej wspaniały teatr, wyglądający z wierzchu jak kościół gotycki. Życzyłbym, aby poprowadzono most ponad gościńcem, któryby łączył z sobą dwa ogrody, niepotrzebnie rozdzielone — chociaż są oba bardzo piękne. Znajdziesz tam i wysepkę, na której stoi miasto zbudowane jakby dla dzieci. Jest to bardzo ładna igraszka fantazji.

Książę zgromadza tam dzieci i wyprawia im festyny. Widzieć, jak ta dziatwa, poprzebierana w różne stroje rzemieślnicze, udaje kowali, szewców, krawców, oberżystów, mularzy i t. p., jest rzeczą bardzo

pocieszna. Lilipuckie to miasto ma i wojskową załogę i duchowieństwo. Jest też i teatr marjonetek.

Jedno tylko miał zmartwienie władca tych dziecinnych zabaweczek, „*le Prince Grand Chambellan de la Couronne*“, który całe szczęście życia położył w marnowaniu czasu. Oto wylęgarnia małp, największe jego ukochanie, ani rusz udać się nie chciała! Ludzie wieku XVIII mieli różne manje kolekcjonerskie: zbierali gemmy i osobliwości, wykopaliska i porcelanę, zaś księżę eks-podkomorzy kolekcjonował małpy. Skupował je namiętnie po wszystkich menażerjach, lecz bez powodzenia: gryzły się, topiły w podziemnych strumieniach i zdechały, jedna po drugiej.

Pozatem wiodło się bratu najstarszemu niezgorzej. Rankiem, umalowany pieczołowicie, wyjeżdżał na spacer w nankinowym fraku, na koniu białym, angielskim, z grzywą na zielono ubarwioną. Przed księciem biegł laufer, przybrany w jaskrawe kolory motyla. Wałęsał się tak godzin wiele, aż do obiadu, spożywanego zazwyczaj w gronie swojego seraju, w którym zawsze aktualna kochanka prezyduje. Długi czas gorszyła się Warszawa jakąś „czarnooką Józefką“, którą, mimo protesty, obwoził z sobą po assamblach i domach magnackich. Używając obficie amorów, zarówno płatnych jak i „gratyskowych“ — miał szczęście przytem i umiał wybierać. Dość powiedzieć, że pani Grabowska, zanim została metresą królewską, królowała poprzód w grotach na Solcu i cienistych alejach Frascati. Potem — jak świadczy sama pani Geoffrin — panią Lhulier gwałtownie zajął się ks. podkomorzy. Odstąpiwszy królowi Grabowską, rozkochał się znów w głośnej aktorce, słynnej lady Makbet, pani Truskolaskiej, którą odbił innym adoratorom. Kazał ją



MARCELLO BACCIARELLI: KS. PRYMAS PONIATOWSKI

portretować nago, jako Wenus i kupił jej raz wannę, „takową woniejącą“, z której woda, wylana na ulicę, przez wiele dni jeszcze pachnęła. Nareszcie Truskolaska na zawsze ulokowała się w jego domu i sercu. Jakże wymowna jest ostatnia wola starca, wyrażona w liście do syna podskarbiego w r. 1793. „Pod błogostawieństwem Ojcowskiem zaklinam W Pana... abyś zechciał mieć względy dla niej po mojej śmierci i płacił jej do śmierci co miesiąc po sto czerwonych złotych. Słodziła mi moją starość i z jej przywiązania do mnie miałem jedyną konsolację“...

„Nie było — pisze ze zgrozą Niemcewicz — lubieźniejszego człowieka, ani większego próżniaka“. Lecz mimo, że gładki był i dla wszystkich uśmiechnięty, nie lubiano go powszechnie. Również król, który niejedną „przegryzkę“ na Sejmie przełknąć musiał za sprawki utracjusza i nieraz padał ofiarą intryg starego rozpustnika — odnosił się doń z wielką niechęcią. Polityka nie imiała się — na szczęście — pustej głowy ks. eks-podkomorzego, więc w rzeczach publicznych szkodził niewiele. W czasie Sejmu Wielkiego próbował przeciwdziałać reformom, ale nic nie wskórał, jako ośmieszony z kretesem. Dopiero w r. 1792 ocknęło się w nim serce i postanowił się.. poprawić. Oświadcza tedy królowi, że, pomimo starości i „decembrzyka“ w kościach — pójdzie do obozu bronić Ojczyzny. Ale nie może tego zrobić, rzecz jasna, sam, bez pani Truskolaskiej, do której się przyzwyczaił. Ona też bronić Ojczyzny pojedzie, ale potrzebuje na to 8.000 czerwonych złotych, bez których nie puszcza jej z Warszawy wierzyciele. Dobry król podpisał weksel braciśkowski, jak zaś potem bronił Ojczyzny ks. podkomorzy, o tem milczą dzieje.

Zabawy ks. podkomorzego przetrwały Rzeczpospolitą. Jeszcze za czasów pruskich (1796 do 1800) „dziad zużyty i schorzały“ urzęda z resztek fortuny wystawne podwieczorki, na których Anetka Tyszkiewiczówna gospodarzyła. Bawił się do końca, jak wszyscy ludzie jego czasu, co, śmierci w łóżku nie nawidząc, kazali się półmartwi wozić po biesiadach i polowaniach. Choć pobłażliwym, bardzo pobłażliwym bywał wiek oświecenia w sądzeniu ludzi, to przecież ks. podkomorzego potępi surowo. Nie chciał uznać za swoje jego małp, kochanek i ananasów; miał księciu za złe, że, przejąwszy bezmyślnie bujność form rokokowego życia, nie zdołał wlać w nie żadnej treści. I chyba jedyny w całej Polsce Trembecki ośmielił się najstarszego brata królowego nazwać „uwielbienia godnym przyjacielem ludzkości“.

Najmłodszy z Poniatowskich, Michał, ostatni prymas Rzeczypospolitej, o którym mawiał oszczerczo i nieprawdziwie Fryderyk Wielki, że pierwszy wprowadził do Polski chorobę gallicką, miał w charakterze swym właściwości męskie, obce rodowi króla: mocną wolę i twardą rękę. Niestety, z woli owej złe rodziły się często postanowienia, a twarda ręka szpetnych dokonywała rzeczy. Polityk i intrygant urodzony, o wcale znacznych zasobach kultury umysłowej. Nawet pisać i to niezgorzej potrafi, do steru pcha się od samego początku, ile tylko można. Najpierw skromnie przytulony w kilku izbach, na wieży królewskiego zamku, potem w luksusie opływający, w pałacu prymasowskim, przy ulicy Koziej. Chudy i blady, na cienkich, czerwoną pończochą odzianych nóżkach, równie roztargniony, jak cyniczny, z ulubionem „jakoś“ na ustach, nie byłby wszelako Po-

niatowskim, gdyby nie umiał sobie życia urządzić i wyzyskać z nawiązką pozycji królewskiego brata.

„Ksiądz bardziej z namowy, jak wóakacji — powiada o bracie król w pamiętnikach — unikał długo i uporczywie promocji, właściwych stanowi duchownemu, a to zarówno przez delikatność sumienia, jak też przez obawę pracy, której nie lubił“. Już więcej przypadają mu do gustu wszelkie modne namiętności. Erosowi służy umiarkowanie, dochowując długo wiary żonie swego marszałka dworu, pani kasztelanowej Oborskiej. Świata widział zamłodu dosyć. Jako chevalier St. Michel podróżuje po Włoszech i Francji, skupuje antyki, malowidła, osobliwości. Za swój portret potrafi sypnąć Rafaeli'emu 3.000 dukatów. Polityki uczy się w szkole niezawodnej, bo jako sekretarz na dworze kanclerza Czartoryskiego. Mówiono także, że dobierał się i on do wdzięków pani Grabowskiej i był ojcem jednego z jej synów. Póki rządzą wujowie, popada w częste z nimi „swary i niesnaski“, lecz siedzieć trzeba cichutko, póki nie trafi się gratka nielada w postaci — infuły płockiej. Ksiądz biskup opiekuje się diecezją przez lat kilkanaście, ujawnia rozum i duże zdolności, wydaje oświecone listy pasterskie, a potem pracuje przykładnie w komisji edukacyjnej, jako jej wcale zasłużony członek i prezes. Po usunięciu w r. 1782 obłąkanego Sołtyka, który grał sobie w katedrze wawelskiej na flecie, śpiewając: „Bardzo mi to wlażło w łeb: Mówią wszyscy, że ja kiep“, ks. Michał obejmuje upragnione oddawna rządy nad owczarnią krakowską, i władnie nią w sposób taki, że zacofani Krakowianie nazywają go „Józefem II w sutannie“. Zamyka klasztory i kaplice, kasuje domy ubogich i szpitale, a po śmierci

ks. prymasa wzbrania się kapituła odprawić mszę za jego duszę. W r. 1784 najwyższe dostojęństwo kościelne przypadło w udziale królewskiemu bratu. Został prymasem, ostatnim prymasem Rzeczypospolitej.

Zapewne w czasach innych gorszącym wydałby się wesoły, zachęcający do rozwodów libertyn na fo-telu prymasowskim, ale zważyć trzeba, że we fiolety biskupie przebierali się teraz rozpustnicy najswawol-niejsi. Poprzednik ks. Michała, Podoski, był opieku-nem domów publicznych, a ks. kanclerz Młodziejowski, złodziej sreber koronnych, przystrajał kochanki swe w klejnoty z monstrancji, aparaty kościelne w karty przedtem przegrawszy. Ks. prymas miał nieco więcej godności od tamtych obu, jakoteż od ks. biskupa Kossakowskiego, który, dla przypodobania się Stackel-bergowi, laufra udawał w ogrodzie Saskim, biegając do mety z jakimś predykantem luterskim. Ks. prymas nie biegał na wyścigi z predykantami, zato czynił na wyścigi wszystko, czego tylko dusza ambasadorów zapragnęła. Uderzywszy czołem przed najeżdźcą, zdo-był odrazu wpływ i — co chyba nie było tak trudne — począł przerastać króla. „Prymas jest człowiekiem mocnym — zauważa Sievers w swym pamiętniku — kochać nie umie, zato umie nienawidzić. Król lęka się go i często kryje się, gdy robi coś nie po jego myśli. Gdyby zechciał, mógłby być Mazarini'm, ale nigdy de Witem“. Niedoszły polski Mazarini brał je-dnak rosyjskie ruble pełną garścią i wyznawał filo-zofję pokornej uległości wobec zaborców. „Powinniś-my wszystkie otaczające potencje szanować, a nie obrażać“.

Dzięki takim maksymom życie ścieli mu się na puchach edredońskich. Pałac ks. prymasa, jeden

z najokazalszych po zamku królewskim gmachów, z dziedzińcem, na którym trzysta pojazdów pomieścić się mogło, posiadał salę balową, dwa piętra zajmującą. Zdobiły ją kolumny i popiersia, meble „nowe, angielskie i wiele obrazów nowszych mistrzów, godnych widzenia“. Przy ulicy Koziej rezydował ks. prymas zimą, w Jabłonnie bawił się latem, w pomyślach wcale nie gorszy od eks-podkomorzego. W szmery fontan i pyle pachnideł wyszukanych, w przestronnej sali triumfalnej letniego pałacyku, który później ks. Józef obejmie, chłodził się w dnie upalne. Klomby i gaje pomarańcz wypełniały salę, na sofach tureckich przeciągała się wygodnie warszawska socjeta. W Warszawie co wtorek i czwartek bywał obiad wystawny, co piątku zaś „cosetta“, od 9-tej do 11-tej wieczorem, przybytek najweselszych zabaw o zmierzchu polskiego rokoko. Ks. Józef wywijał kozaka ze słynną z piękności podskarbiną Kossowską, a cała zagraniczna dyplomacja zasiadała do kart. Wist był modną nowością, więc z nabożeństwem patrzano, jak pan Hailes, ambasador angielski, „szlema“ udziela Izia-temu, posłowi Hiszpanji, a de Castron, ze Szwecji, objaśnia tajemnice „robrów“ nuncjuszowi papieskiemu, Saluzzo, który grał słabo. Silniejszych „mocy“ szukają „rycerze z Faraona rzeszy“, „bastujący“ wysoko na wyświęcone asy.

Ulica Warszawy gapiała się też na wspaniałości ks. prymasa, bo jeździł z szykiem. Konny ksiądz, krucifer, z wielkim srebrnym krzyżem w ręku, otwierał pochód. Pięćdziesięciu hajduków z berdyszami — zwano ich nawet „kapłonkami prymasa“ — otaczało karocę, zdobną we wielkie szklane tafle, przeźroczyste, oraz złożone gałki naksztalt wazoników. Dwaj biskupi

asystowali wewnątrz, czterech lokai prężyło się na pudle. Koni było sześć, białych, z malowanemi na ponsowo grzywami, w szorach suto pozłocistych. Ks. prymas wychylał się z karocy rzadko, wiedząc, jak bardzo go nienawidzą. Czynny nader w czasie Sejmu Wielkiego, wyjeżdżał do Francji dla zorganizowania wzajemnych stosunków dyplomatycznych, a w Warszawie pokazywany był palcami, jako jeden z najniebezpieczniejszych wichrzycieli przeciw reformom. Udatny sztych, kursujący w czasie obrad, przedstawiał prymasa, jak ciągnie na uździe 12 kasztelanów z oślemi uszami do żłobu ambasadora. Rewolucja kościuszkowska postawiła ks. Michała odrazu na indeksie i rozstał się nagle z życiem, choć był *bien robuste et vigoureux encore*. Prymasowi groził los Ankwicza. Wtedy król, jak mówią, posłał mu truciznę, a gdy zrobiła swoje, kazał za duszę jego odprawić nabożeństwo żałobne. Do pałacu przy ulicy Koziej sprowadził się zaraz feldmarszałek Suworow, zaś po ulicach Warszawy śpiewano: „Książę prymas zwałchał linę: Wołał proszak, jak drabinę!”

Dwie siostry miał król Stanisław August. Młodsza z nich, to nieodrodna córka swojej matki, „Brańcia“, czyli p a n i K r a k o w s k a. Monarchini białostocka, najwynioślejsza z wyniosłych, składem twarzy do króla podobna, ale ileż bardziej odeń mocniejsza! Gdyby Stanisław August posiadał jej rozum życiowy, nie byłby nigdy tronu postradał. Jeszcze stolnik o koronie nie marzył, gdy już zrobiła wielką, bardzo wielką partję. Usidłały wraz z matką starego wdowca, hetmana Branickiego i ożenił się... Splendor niepospolity! Aż zgrzytali zębami, chociaż to niby „familja“ — Czartoryscy. Z radością nurzała się *melle Isabelle* we

wszystkie splendory starego Gryfity, objęła w posiadanie jego meble, pałace, teatry, klomby i marmury. Małżonka *principis senatus*, a więc najpierwsza w Rpltej dama! Tem wyżej zadzierała głowę, którą zresztą zawsze wysoko nosiła, *grande dame* pełnej krwi, skwapliwa fircynella modnego typu, dla której brygadjer Jakubowski wprost z Paryża przywozi drobiazgi toaletowe. Sama pani Geoffrin nie mogła się dość nacieszyć jej obyciem i formami. Chełpiła się przytem cnotliwością, do czasu naturalnie. Bo potem usidla głowę przyjacielowi króla i papieżowi masonów polskich, wojewodzie Mokronowskiemu, poślubi go w tajemnicy i będą oboje po Francji słodkie odbywać wojaże.

Z małżeństwa obiecywały sobie wraz z matką wiele: najpierw weźmie się pod pantofel starego Gryfite, a potem on weźmie koronę polską! Uradzono już nawet i pisano w listach, że, wstępując na tron, przybierze imię — Jana IV! Pierwsza nadzieja rozwiała się szybko. Pan hetman nie tylko nie dał się okiełznać, ale jeszcze żonkę wziął w mocne tryby. Mimo to, gdy chodziło w czasie elekcji o decyzję: brat, czy mąż? — Brańcia stanęła bez wahania przeciw stolnikowi i z wszystkich sił popierała męża. Ale i te najwyższe ambicje nie spełniły się... Nietylko królem nie został Branicki, ale, pozbawiony przez Sejm konwokacyjny władzy hetmańskiej, uszedł z wojskiem do Węgier w okolicznościach najsmutniejszych. Jeden szwagier zabrał mu koronę, drugi, ks. podkomorzy, ścigał go, acz leniwie z rozkazu Sejmu. Brańcia mężowi towarzyszy. Spędza wiele miesięcy wśród jesiennych niewygód obozu i list za listem szle do króla. Niktby w tych listach późniejszej pani Kra-

kowskiej nie poznał! Prosi, jak tylko umie, pokornie a grzecznie o „przywrócenie komendy hetmańskiej“, po francusku eksplikuje i po polsku nawet, choć to bardzo nieskładnie idzie; powiada, że schudła i zmierzniała. Niech tylko król pozwoli wrócić hetmanowi, a on „prosto do Białego Stoku poyedzie y tam spokojnie wszystek czas będzie“. Ślubuje trzymać się od Warszawy zdala („choćby mię prowadziły *bien des sentiments à Varsovie*).

Zrazu dotrzymali oboje przyrzeczenia. Gdy Ciołek zajął miejsce na warszawskim zamku, Branicki wstąpił na tron w Białym Stoku. Wkrótce o „polskim Wersalu“ głośno zaczęło być w Europie, Biały Stok leżał na trakcie europejskim. Ktokolwiek z Zachodu jechał do Petersburga, musiał zawadzić o rezydencję Branickich, która stała się zczasem hotelem głów koronowanych. Przepychem wśród ogrodów zachwycił się car Paweł, oranżerje i pomarańczarnie zasłużyły na pochwałę Ludwika XVIII. Pałac w Białym Stoku, „doskonała minjatura wielkiego dworu“, był ósmym cudem świata, tak przynajmniej stwierdza podróżnik Bernoulli i hr. de Ségur, ludzie uprzejmi, a przytem wdzięczni za gościnę, jakiej w Białym Stoku u pani Krakowskiej doznali. Dwa teatry, jeden francuski, drugi włoski grały we dworze naprzemian w budynku, mogącym czterysta osób pomieścić; bluszcze wiły się wokół posągów marmurowych, wystawionych ku czci encyklopedystów francuskich, którzy byli osobistymi przyjaciółmi siostry Augusta. Hotel głów koronowanych słynął z rozrzutności, a cudzoziemscy rezydenci, jak wszędzie w Polsce, tak i tu prym wiedli, grabiąc na wyścigi, co się tylko dało. Gdy wreszcie stary, ostatni z rodu Gryfita kazał rozbić

w kawałki swą tarczę herbową i zamknął na zawsze stęsknione za królowaniem oczy — zbladły silnie blaski „polskiego Wersalu“, a Brańcia przeniosła się do Warszawy.

Co się nie powiodło z mężem, udało się z królem: wzięła go w mocne tryby swoich wpływów. Ani śladu z dawnej pokory! Często mu, jak świadczy Sievers — „prawdę niekoniecznie pochlebną rznąła, więc bał się król i poza jej plecyma sztuczki swoje płatał“. Stała się wkrótce drugą, obok ks. marszałkowej, kobietą, o której mówili ambasadorzy państw zaborczych, że z nią zawsze trzeba żyć dobrze. To też i Sievers i Stackelberg mocno króla lekceważąc, zabiegają pilnie o łaski siostry królewskiej. Trzy razy tygodnia przyjmuje u siebie na obiadach. W niedzielę popołudniu zjeżdża się *toute Varsovie*, bywa wtedy z reguły król od 3-ciej do 7-ej i wszyscy honoracjorzy. Literatura kłania się jej nisko: Krasicki, wysławia „dobrodziejkę swoją osobliwą“, Karpiński obiecuje sobie tu więcej, niż po przyrzeczonej protekcji króla, ks. de Ligne i ks. de Nassau są tu prawie domownikami. Za rządów prymasowskich siostra królewska rozszaleje już na dobre i nieraz w jej małych rączkach zbiegną się wszystkie nici do poruszenia marjonetek rządu i dworu. Zaczęło się od wielkiej kampanji przeciw Tyzenhauzowi, wielkorządcy litewskiemu. Że był mądry i mocny, nie lubiał go przeto Petersburg i poszczuł przeciw niemu panią Krakowską. Króla i ks. Michała miała przeciw sobie, ambasadora za sobą, więc Tyzenhauz upadł, a Brańcie ten triumf podniecił. Odtąd rządzi się, jak szara gęś... Depesze do króla otwiera pierwsza, bez pytania. Stackelberg ulega silnie jej wpływom. Nosi stale sze-

ściocalowe korki u bucików, z podwórza jej pałacu puszczają pierwszy balon w Polsce w powietrze. Dziejów jej roboty politycznej nie znają jeszcze dobrze historycy, to wszakże pewne, że była czemś w rodzaju polskiej miss Bellamy i w swem *bureau d'esprit* okazała dużo chytrej przebiegłości. Przy boku Brańci urządzuje zawsze minister do erotycznych i politycznych poruczeń. Po śmierci Mokronowskiego, objął ten urząd skromny, a szalenie sprytny Chreptowicz, i, dzięki pani Krakowskiej, zyskał znaczny wpływ na Stanisława Augusta. Brańcia, jak ongi z wojewodą intrygowała przeciw Tyzenhauzowi, tak Chreptowicza używa teraz do obalenia pani Grabowskiej. Bynajmniej nie z powodu obaw o moralność majestatu, tylko dlatego, że woli w królewskiej *chambre à coucher* widzieć sobie powolną metresę. I tak na intrygach tych czworga: prymasa i ambasadora, Brańci i Chreptowicza, którzy „gryźli się nawzajem o panowanie absolutne nad królem i rządy w nim w najmniejszych partykularnościach” — zbiegły ostatnie przed Sejmem Wielkim lata na królewskim dworze.

O Brańci mówiono w Polsce niedobrze. Złośliwy Węgierski zarzuca jej w „Portretach pięciu Elżbiet”, że „miłości, ni przyjaźni nie zna jej dusza” i „nikt, oprócz braci, serca jej nie wzrusza” — ale to fraszka wobec zarzutu Niemcewicza. Ten oskarżył panią Krakowską o rzecz najcięższą: oto, iż wraz z siostrą swoją, wojewodziną Podolską należała do rzędu owych „kwoch starych, które w czasie Targowicy słabego króla z drogi powinności zwróciły!” Ponoś dużo i pięknych butonów brylantowych przesłał Branci zato Bułhaków w imieniu wdzięcznego imperjum rosyjskiego...

Jedyną siostrą pani Krakowskiej była wojewodzina Podolska, która poślubiła kolejno dwóch ordynatów Zamoyskich, Klemensa i Jana Jakóba. O wojewodzinie wiedzą ekspensa szkatuły królewskiej równie wiele, jak o reszcie rodzeństwa. Romantyczka i sawantka podróżowała dużo po świecie, a „cudzoziemskie akcenty miłosne“ przypadają jej wcale do smaku. Awanturniczy labuś, ks. Renard jest ozobą jej sypialni, tak, jak Stackelberg ozdobą jej salonu. Sztukami pięknymi interesuje się mocno, a pasję tę dziedziczy po niej córka, pani Mnischowa. „Opisy podróży Mamy do Niemiec — pisze córka do matki — są bardzo zajmujące. Niema czego żałować, że Mama nie widziała Bulli Złotej; ma to być księga gruba, zakurzona i brudna. List oryginalny Henryka IV, jaki udało się dostać pani Sewerynowej, stokroć więcej wart“... Widzimy tedy, że obie panie są z tej szkoły modnej, którą Sybilla Czartoryska tworzy w Puławach, a ks. Radziwiłłowa w Arkadii. Ks. generałowa naga-buje Russa w Vevey, pani Podolska składa wizytę znakomitemu przyrodnikowi, Buffonowi, a „najszcześliwszą chwilą życia“ nazywa dzień, w którym udało się jej nabyć obraz Greuze'a. Dwór w Wiśniowcu, gdzie obie z córką mieszkają, błyszczy oświeconą cywilizacją. Monsieur Dillon prawi przy kolacji o swych podróżach do Grecji i Egiptu, kawaler de Maison-neuve wystawia sztuki Woltera, a ks. de Ligne czyta królowi wyjątki ze swych pamiętników.

Ot i cała *parfaitement bonne compagnie*, której bujne i lekkomyślne nakazy życiowe żyć będą także w drugim pokoleniu. Bo i trudno o bardziej stylową figurynkę z epoki rokoko, jak nią był ks. podskarbi, Stanisław Poniatowski, jedyny syn podkomorzego,

ukochany faworyt króla. Natura bogata, fantastyczna, zawadjacka. Po królu najinteligentniejszy z Poniatowskich, a przytem człowiek solidny. Nawet niechętny im wszystkim Niemcewicz zaświadcza: „Nic przeciw uczciwości charakteru jego powiedzieć nie można“. Studjował w Cambridge i Oksfordzie, a Włochy ukochał nad wszystko. Na dworze warszawskim gra rolę niemałą i wybija się ostro wśród otoczenia. Profilem kulturalnym i pomysłami. Założył szkołę muzyki w Warszawie, uwłaszczył pierwszy włościan w swych dobrach, gromadził przewspaniałe zbiory egzotyczne i kochał się w chińszczyźnie. Król kieruje naprzód jego wychowaniem, potem przeznacza go do spraw wojskowych i daje urząd generał-lejtnanta wojsk polskich. Widząc, że Katarzyna otacza łaskawą sympatją bratanka, dokłada Stanisław August starań, by go uznała jako następcę trone. Plan się nie powiódł, na pocieszenie dobrotliwa caryca proponuje ks. podskarbiemu, aby razem z nią — opracował wydanie Homera z tekstem greckim i rosyjskim, oraz rycinami, „robionemi wedle najpiękniejszych greckich kamei“. Po rozbiorach przenosi się na stały pobyt do Włoch, gdzie zasłynie wkrótce, jako najpierwszy zbieracz i epuzer. Pani Geoffrin przepowiedziała mu to dawno, pisząc: „Jest piękny i kształtny, a więc potrafi utrzymać sławę piękności Polaków“. W swej willi rzymskiej, przy via Flaminia, gromadzi kolekcję obrazów, rzeźb i kamei miljonowej wartości. „Wspaniały bez zbytku, oszczędny bez chciwości“, zasłynie wkrótce na całym kontynencie: jego obligi na giełdzie amsterdamskiej mają lepszy kurs, niż weksle wielu głów koronowanych. Przeżyje wszystkich swego rodu († 1836), głośny też ze swych awantur z papieżem, oraz małżeń

stwa z kucharką. Jak bardzo lekcewał sobie ludzi, o tem mógłby wiele powiedzieć Wojciech Bogusławski. Było to jeszcze w r. 1784, gdy go ksiązę zaprosił do Grodna wraz z całą trupą, aby dawał przedstawienia w czasie Sejmu. Pomimo mrozów trzaskających jedzie Bogusławski do Grodna, ale cóż się pokazuje? Grać nie można, bo ks. podskarbi rozmyślił się w tym czasie, kazał teatr rozrzucić i urządzić w nim „rajtszulę“ dla „kusych Angielczyków“.

A któżby odgadnął, że ks. podskarbi jest bratem stryjecznym — ks. Józefa! Polski Bayard i dziwny rycerz z epoki rokoko wyrosły, stał się wyrodnem dzieckiem familji *d'arte* i nieposłuszenie wyłamał się z pod nakazów babuni. Był jeszcze Poniatowskim, gdy hucznie bawił się w Wiedniu i pod Blachą, ale przestawał nim być, gdy odstrychnął się od Targowicy, mimo prezorną radę króla: „Pamiętaj, że przede-wszystkiem trzeba zapłacić długi, moje i twoje!“ Do-reszty zaś sprzeniewierzył się Poniatowskim, gdy... zginął nad Elsterą. *Fi donc!* Ponoś wyciągnięto go z nurtów rzeki bez peruki i bez faworytów, a świetny mundur krew brzydko popłamiła. *Savoir vivre* babci Poniatowskiej w Rykach takich ewentualności, jako żywo, nie przewidywał! Wyrodny, zaprawdę wyrodny potomek rodziny, która brak moralności zastępowała fantazją, próżniactwo gestem rozrzutnym, a nicość kryta szychem kolorowym. Można osądzać ostro Poniatowskich, lecz przyznać trzeba: utrzymali się — z gorliwością, godną lepszej sprawy — świetnie w stylu epoki. Rokoko polskie nie miało gorliwszych nad nich chorążych!

DZIEŃ KRÓLA POLSKIEGO.

*Ten człowiek pod wielu względami
liczy sto lat, a pod wielu dziesięć.*

Katarzyna II. o Diderocie.



MARCELLO BACCIARELLI: PANI KRAKOWSKA



rykazane było w etykiecie dworskiej, iżby król Jegomość przez sześć godzin na dobę snu krzepiącego zażywał. Pan Hofman, najpierwszy kamer-lokaj, miał sobie za obowiązek uważać pilnie, o której godzinie zasypia Majestat, aby w przeciągu godzin sześciu zapukać do sypialni na-
zajutrz. Octo pigri dormiunt, qui nulla negotia curant, powiedziano w starożytnem przysłowiu, a Stanisław August, dziwny wyjątek w stuleciu oświeconych leniuchów, przywykł zarówno do niezwyklej pracowitości, jak i do niepróżnującego próżnowania.

Zaledwie słońce na taras zamkowy wejrzy, a już blaski jego złote wypełniają sypialnię królewską: barwami tęczy goreje szklany parawan, otaczający łożę króla i kwitnąć zdają się kwiaty, co zdobią pekin biały na obiciach ścian... Wówczas budzi się król ze snu, odrzuca piernat z zielonego grodeturu i wypija na czczo filiżankę buljonu. Przez całą noc gotowano ów buljon. Osobny kucharz kładł w mały rondel ka-

wałki mięsa wszelakiego i zwierzyny, dodawał mocnych korzeni i na wielkim ogniu gotował, dopóki nie ostała się filiżanka jedna, a posilna wielce. Czasami do łóżka już podają królowi biureczko minjaturowe, czyli *écritoire* i tak, leżąc, załatwia monarcha pilną korespondencję.

Gdy paryski penduł pana Gugenmusa ósmą godzinę wydzwoni, już króla w łożu niema. W nocnym jeszcze przyodziewku, zdjawszy jeno chustkę białą, indyjską, która włosów przez noc chroniła, przykłęka na adamaszkowem genuflektorjum przed Madonną Battoni'ego, modli się chwilę, potem w czapce-wolterówce idzie wolno do termometrów i barometrów. Zaczem kwotę pewną przesyła do szpitala Dzieciątka Jezus, iżby dobroczynnością dzień rozpocząć. W tym czasie nie przyjmuje nikogo. *Les petites entrées*, które lubiła tak bardzo Marja Antonina, udzielająca audjencji w sypialni swej w Trianonie, były w Warszawie rzadkością. Chyba, gdy poczta dnia tego szczególnie ważną się zdaje, to ją przynosi do łóżka p. generał Komarzewski; ma tu wstęp również Imć Becker, lekarz nadworny, by zapytać, czy pedogra nie dokucza. Często Ryx wszechwładny, lub też przyjaciel nieodstępny i szef kancelarii „dziaduś“ Ogrodzki, co głowę miał w kształcie stożka, a serce najlepsze w Polsce i wszystkich ludzi w Rzeczypospolitej znał z fizjognomji, tytułu i nazwiska. Czasem, na utrapienie dworaków, król bardzo wcześniej bywa gotów z toaletą i przydziany całkowicie. „Położyłem się — narzeka w swym pamiętniku bibliotekarz króla, Marek Reverdil — spać wczoraj o północy, a dziś byłem już o 9-tej ufryzowany i ubrany galowo. Jego Królewska Mość również ubrany był już w swoim gabinecie“.

Nareszcie, około godziny dziesiątej zrana, rozpoczyna się najmiłsza dla galantów uroczystość dnia i najważniejsza czynność wieku owego, w którym „sędziowie parlamentu, prawniki, doktory, nie są, jak tylko puklów i harbajtlów wzory“. W przylegającej do sypialni ubieralni, kitajką płomienną wybitej, dokonuje się ceremonia, około dwugodzinna. Króla, odzianego jeszcze wygodnie *en robe de chambre*, okryto teraz podwłośnikiem, czyli pudermantlem. Siada cierpliwie w krześle *de commodité* z uszami i materacem, a dwóch fryzjerczyków, w pałak zgiętych, rozpoczyna pracę. Podają mu najpierw perfumy nieco, którą zlekka twarz skrapia, broń Boże wodą, bo zdrowiu szkodzi. Wszystko dzieje się odtąd, jak na sztychu Watteau, czy Chodowieckiego, gdy gotowalnię kobiecą wyobrażają. Bo toaleta wytwornego galanta nie różniła się niczem od kobiecej. Nakryta muślinem białym, w pasy i kwiaty, niby ołtarz w koronki zdobna, u dołu falbaną opasana, była meblem triumfalnym wieku oświecenia. Płyta zwierzchnia po podniesieniu na trzy rozdziela się części: w środkowej zwierciadło, po prawej ręce garnitur słoików porcelanowych, białych, w niebieskie kwiatki, po lewej szcztotki i kryształowe miseczki.

Obok na komodzie paryskiej *à la Régence*, „białym i czerwonym drzewem wykładanej“, stoją w rzędzie długim flakony, nalewki i miednice, pudry, maści i pachnidła. Smary przedziwne na język, iżby mile słowo z ust płynęło, esencja niezawodna na plamy wątrobiane, mleczko kosztowne *pour corriger le teint*, młoteczki srebrne i gratoiry do uśmiercania gości nieproszonych w koafjurdze, nareszcie szminki wszelakie, (tych w wieku XVIII używać wolno było

jedynie ludziom z towarzystwa), oraz maluchne muszki z aksamitu, które przylepi się po skończonej toalecie na policzku.

Pracują pilnie fryzjerzyki, mistrze w swym fachu, niedarmo z Paryża sprowadzeni. Podobno w doborze fryzjerów wybredniejszy król bywał, niż w doborze mężów stanu, dlatego stan fryzury Jego Królewskiej Mości był, niestety, lepszy nierównie od stanu Rzeczypospolitej. Przyroda obdarowała króla włosiem bujnym i obfitym, podziw budził zawsze swą naturalną, rzadką w XVIII wieku fryzurą *à la nouvel Adonis*. Później dopiero bliznę, pozostałą po zamachu z r. 1771, przykryje małą peruką, a gdy lat czasem przybędzie i przersedzą się bujne pukle, wtedy już może łacniej upodobnią się rzeczy do słów satyry Niemcewicza, w której to:

„ . . . sługa przez misterną sztukę
„Żółtkiem na czole przylepia perukę,
„Trzy piętra puklów buduje wokół,
„Potrząsa pudrem i obrzyna czoło,
„A kręcąc w trąbkę koniec harcapika,
„Z starego dziada utworzył młodzika“.

Czesano tedy włosy królewskie kunsztownie w pukle, we dwa rzędy, sześć po obu stronach, jeden nad drugim, potem pizony układały się wzorzyste, oraz katagon u tyłu, okręcony czarną kitajką z kokardą. W tym ostatnim szczególe tkwiła cała odrębność mody rokokowej, bo tylko ludzie starej daty, pocili się w ciężkiej peruce z kędziorami, elegancik wieku oświecenia wołał nosić na karku główkę kształtną i foremą.

By nie nudziło się pomazańcowi w czasie fryzowania, rozlegał się w garderobie, wraz z chrzęstem grzebieni, głos lektora, czyli „czytelnika“. Był nim zrazu uczony ksiądz Albertrandy, potem przez długi czas ksiądz Gawroński. Czytał królowi najpierw nudną, ale krajową gazetę ks. Łuskiny, z kolei „Gazette de Leyde“ (bo miała wieści dobre i z Warszawy dopisy), nierzadko kroniki stare, ba nawet dzieła astronomiczne. Gazet najrozmaitszych było w gabinecie królewskim istne zatrzęsienie: paryskie, badeńskie, hamburskie, lejdęjskie, wiedeńskie, wszystkie pochłaniał król z ciękawością. Niektóre umyślnie ekstra pocztą sprowadzano, jako to na przykład biuletyn zgromadzenia notablów francuskich, aktualnie raz na tydzień ukazujący się, albo ową sławną, rękopiśmienną korespondencję encyklopedysty Grimma, która była *dernier cri* wieku oświecenia i przynosiła urywki z niedrukowanych jeszcze dzieł Woltera. Lektorów przesunęła się w ciągu lat kompanja doborowa. Księdza Gawrońskiego zastępował często pan Welke, książki polskie czytywał Feliks Oraczewski, francuskie Łuba (ten sam, co po Paryżu z Trembeckim się awanturował), włoskie Camelli, niemieckie słynny obwieś i awanturnik, przez króla tolerowany — Corticelli. Szczególnie na to król baczył, ażeby każdy lektor wystawiał się w nienaganym akcencie cudzoziemskim. Nie sama tylko lektura uprzyjemniałaby toalety. Nierzadko Naruch, przyjaciel króla ukochany, o ile powstał już był ze swego plugawego na wieży legowiska, przybiegał tu z nowiną, czasem Trembecki się pojawił, a nawet księdza biskupa Krasickiego widziano w gabinecie kilka razy. Casanova, gdy przybył do Warszawy, pisze: „Prawie codziennie chodziłem do ubieralni króla, gdzie go

czesano i rozmawiałem z panami, którzy się tam gromadzili, aby go zabawić“.

Urzędujący szambelan zapisywał tymczasem w komnacie opodal audjencje partykularne i baczył na suplikantów, których ciżba gromadziła się wielka w oczekiwaniu, że około południa król będzie przechodził przez garderobę do katedry. Korytarze zamkowe urządzone bowiem tak wygodnie, że król mógł ze swoich pokojów przejść prosto do łoży w kościele. Czekający zachowywali się wcale nieprzyzwoicie, czem się mocno gorszy podróżnik niemiecki Szulc w r. 1792. „W przedpokojach króla — powiada on — często można spotkać ludzi w ubiorze zaniedbanym i brudnym. Kłócą się tu, wadzą, chodzą, pobrawszy pod ręce, kaszlą, śmieją się i hałasują, robią, co chcą i wrzawę podnoszą, jakby w jakim publicznem miejscu“. Gdy te szmery z antyszambry dochodziły coraz głośniejsze, wtedy ksiądz Camelli — bywało — przerwie czytanie, wejdzie pomiędzy suplikantów z miną ostrą i nuże upominać... kanarki w klatce na ścianie, iżby zachowywały się przyzwoicie, bo nie przystoi przeszkadzać królowi. Lecz tej aluzji nikt rozumieć nie chciał...

Tymczasem toaleta zbliżała się ku końcowi. „Bleiwasem“ polerowano twarz najjaśniejszą, muszka z aksamitu dodawała rumieńcom uroku, oczy, liljową szminką podkreślone, nabierały słodkiego ognia. Dokończyć dzieła miał puder i puch łabędzi. Wielki marszałek koronny i sławny wytwornisz, Rzewuski, obmyślił sposób osobny dla pudrowania osoby królewskiej, a był on taki: w przylegającej do garderoby komórce wytrząsali hajducy puder łabędzi z wielkich worów. Gdy już wypełnił gęsto całą komórkę, wtedy

na chwilę parę, wchodził do środka król, pograżał się na moment w chmurach pudru i wnet wychodził, nienagannie ubielony, aby się znowu oddać w pieczołowite ręce czekających z szatami kamerdynerów.

W chwilę później majestat jaśniał w całej okazałości, takiej, jaką do dziś lśni na portretach Bacciarelli'ego. Miał frak aksamitny *à la Pompadour*, bordami złotymi obszyty, guziki wokół brylantowe i takąż gwiazdę na środku. Białe atłas złoto haftowanej kamizelki spływał w tonie z żabotem białym jedwabnym, w którym tkwi szpilka złota i misterny zegarek wielkości srebrnika. Spodnie białe racymorowe, także pończochy jedwabne i trzewiczki z różowymi talonami. Pod pachą trzymał kapelusz trójkątny płaski, przy boku szpadę w pochwie białej pergaminowej, zaś w lewym ręku tabakierkę emaljowaną, z której patrzyła Wenus Tycjanowska. W majestacie dorównywał Ludwikowi XV, w elegancji sprostał nawet Jerzemu IV, którego nazywano „pierwszym gentlemieniem Europy”. Cokolwiekby mówiono o kwalifikacjach królewskich Stanisława Augusta, to pewna, że dopełniał on doskonale kondycji, uchwalonej na Sejmie Warszawskim w maju 1764: „Król polski winien być młody, czerstwy, oraz pięknej i dobrej postawy”. Wiedział o tem król Staś, zaczem chwila obejrzenia się w zwierciadle paryskim o sześciu taflach była jedną z najmilszych w dniu. Znał najdokładniej swe awantanże i braki. Wiedział, że wszystko w nim jest odpowiednie, a ułożenie i aparycję stolnika chwalił nawet sam Horacy Walpole.

„Byłbym zadowolony z mej postaci — wzdycha król w pamiętnikach — gdybym był o cal wyższy, miał nogę kształtniejszą, nos mniej orli, biodra niż-

sze, wzrok bystrzejszy i bardziej widne zęby". Zapomniał tylko dodać o zbyt szerokich ramionach i za krótkich nogach, co powszechnie uważano. Zato mało-wniczo wycięte usta i lazurowy odcień rumieńców, słodycz oczu i dystynkcja ruchów sprawiały ostatniemu królowi Rzeczypospolitej dużą przyjemność, ilekroć przeglądał się w zwierciadle. Dopełnić toalety miały jeszcze drobiazgi, któremi cały stolik był wypełniony. Wiemy, jak bardzo przepadali za tem ludzie wieku oświecenia i jak pokpiwa Zabłocki:

„Każda moda z kaprysu głupia jest i lekka.
„Tabakierka, pulares, etui, lornetka,
„Wódka pachnąca, grzebyk, nożyczki, szczypczyki!
„I żyd, co z kontrabandą zmyka przed strażniki,
„Nie więcej koło siebie mógłby natkać gratów“.

Król prócz koniecznej dla krótkiego wzroku lornety i perspektywki — opowiada dokładny pamiętnikarz Magier — nosił po różnych kieszeniach swoich wiele jeszcze sprzętów potrzebnych sobie, jako to: łokieć zsuwany pięknej roboty, cyrkiel, ołówek, „suwenirek“, pudełko na cukierki i inne, drewnienka do zębów, termometer mały, „*sal volatile*“, gdyż ulegał konwulsjom, kalendarzyk, scyzoryk i wiele wszelakich innych rzeczy“.

Gdy wszystko w porządku uroczyście dokonane zostało — wkracza do komnaty krokiem dystyngowanym naczelny kamerdyner królewski, starosta piaseczyński pan Ryx i dopełnia jedynej funkcji ze swym urzędem związanej: przewiesza Królowi Jego-mości niebieską wstęgę białego orla z prawego ramienia na lewy bok, zaczem z ukłonem posuwistym obwieszcza, że toaleta Jego Królewskiej Mości Króla

Rzeczypospolitej, Wielkiego Księcia Litwy i Księcia Kurlandji aktualnie jest przysposobiona i gotowa. Ustroiwszy się w uśmiech łaskawy dla poddanych, wkraczał król Jegomość na pokoje i rozpoczął audjencję.

Były audjencje ogólne i partykularne. Do ogólnych każdy szlachcic miał zawsze prawo, (nie potrzebował, jak na dworze francuskim, dowodzić papierami heraldycznymi, że szlachectwo jego sięga roku 1400) w partykularnych brali udział cudzoziemcy i suplikanci w szczególnie ważnych okolicznościach. Dużo czasu zabierały kobiety; drzwi się nie zamykały od nich, wiedzących, że król Jegomość wielce białogłowom powolny. Tedy suplikowały bez końca: ta, by kochanka swego umieścić w asesorji, tamta synowi chce drogę utorować do skarbu, trzecia prosi o protekcję w Komisji edukacyjnej. Czwarta, piąta i dziesiąta poto tylko przybyły, aby kochankowi stuzon przypatrzeć się zbliska. A było się czemu przypatrywać! W czasie audjencji rozbłyskał w pełni urok i splendor osoby królewskiej. Najzaciętszych przeciwników i wrogów śmiertelnych zjednywał król przemilem spojrzeniem, form gładkością, obyciem i słowem aksamitnem. Niedaremnie był jednym z najpiękniejszych kawalerów swego wieku. Posłuchajmy tylko, co mówią ci, którzy powracają z audjencji i przed chwilą króla widzieli. Nieskończony szmer zachwyków i kraśna wiązanka superlatywów:

„Król polski jest istotą tak nadzwyczajną i o tylu przymiotach, że pisząc o nim muszę popaść w przesadę pochlebstwa!“ — woła podróżnik Bernoulli. „Nawet i bez blasku korony musiałoby się nazwać Poniatowskiego jednym z najmiłszych i najgrzeczniej-

szych kawalerów Europy!“ — wyznaje nieskory do zachwyty Anglik Wiliam Coxe. A generał Coccei ledwie przybył, cóż pisze do przyjaciela? „Wszystko, co Panu mówiono o królu, nie dorównywa rzeczywistości. Trudno być przyjemniejszym od niego. Błogosławie chwile, w której zdecydowałem się pojechać do Polski!“ Wyniosła milady Craven, sarkastyczny i złośliwy Bernardin de Saint Pierre, Giacomo Casanova, który co najpiękniejsze chyba biusty kobiet kontynentu oglądał, ambasadorzy Engelhardt, Heyking i nawet cyniczny Sievers, arbiter elegantiarum ks. de Ligne, podróżnik Biester — wszyscy piszą się na okrzyk Szulca: „Delikatniejszej ręki i ust składniejszych nie widziałem w życiu“ — wszyscy wtórzą polskiemu pamiętnikarzowi Moszczeńskiemu, który wyznaje: „Żeby kto chciał wybrać grzeczniejszego kawalera dla bawienia kompanji w salonie, trudnoby znaleźć“. Dodajmy jeszcze do bukietu komplementów czułe słowa Katarzyny zawarte w listach miłosnych, przypomnijmy lakoniczny aplauz Józefa II.: *Le roi gagne a être connu*, a będziemy święcie przekonani, że gdyby gładkie lica i układne exterieur o wszystkim stanowiły, Stanisław August Poniatowski byłby najmożniejszym monarchą pod słońcem!

Audjencje przeciągały się czasami długo. W wypadku szczególnie ciekawej rozmowy, król odchodził do przyległej komnaty i albo sam zapisywał, albo też dyktował dokładną treść dialogu. A gdy ostatni suplikant opuści pokoje, zjawi się wtedy pan generał Komarzewski z pocztą, z którą następnie pójdzie do ambasadora, dalej regent kancelarji Ogrodzki przedłoży sprawę bieżące w referacie, a marszałek dworu

przedstawi raport o sprawach królewskiego domu. Pierwszym wszakże nad wszystkich, któremu król ucha najchętniej pozwala, jest maestro Bacciarelli. Wiedzą dworacy, że król przenosi *les beaux arts* nad wszystkie inne sztuki, a więc i sztukę rządzenia. Zaczem sprawa obrazu Rembrandta, albo szkiców nowego plafonu w sali rycerskiej ważniejsza jest nad program sesji sejmowej, albo protokół obrad Rady Nieustającej.

Przed obiadem był spacer w programie. Czterech ułanów asystuje karecie, jedzie adjutant i dwóch paziów, a wewnątrz przy Najjaśniejszej personie pan generał Komarzewski z urzędującym szambelanem. W dni uroczyste inaczej, król jedzie w złoconej karocy, wśród tafli kryształowych przeźroczystych, sam jeden siedzący, a dwa genjusze trzymają w ręku koronę. Rzadko, ale przecież czasem, widywano Stanisława Augusta na ulicach. Ubierał wówczas ulubiony mundur Szkoły Kadetów, niebieski z zielonemi wyłogami. Gawieź z uszanowaniem przyglądała się monarsze, a tylko zły Fredericus w swoim Poczdamie, słysząc okadeckim mundurze, chichotał zjadliwie: *C'est vraiment un roi à l'école!* Wyjątkowy już zgoła prospekt wydarzył się podróżnikowi Szulcowi: „Widziałem raz — opowiada — jak król w pończochach i trzewikach, z kapeluszem trójkątnym pod pachą mustrował gwardję narodową!”

Wracając ze spaceru, wstępuje król do ambasadora, lub Luljerki, gdzie często damy zgromadzone czekają, chętniej jeszcze wizytuje malarzy zagranicznych, którzy na mieście mają swe pracownie, odwiedza fabryki sukna, jedwabiu i wosku, ogląda budujące się pałace i szkoły Komisji edukacyjnej, wizyc-

tuje korpus kadetów i obserwatorium, rozmawia z mędrce i cieślą, z bielnikiem płótna i wierszokletą. Wraca prościutko do gabinetu, gdzie nowy sznur konsyljarzy i nowe stopy trosk. Zajęty nieustannie. „Był to — opowiada ks. Kalinka — jeden z najpracowitszych królów polskich. Sesje z ministrami, Rada Nieustająca, rozmowy z ambasadorami, posłuchania dawane swoim i obcym, zabierały mu znaczną część dnia, a w czasie sejmowym i dzień cały“.

Im bliżej południa, tem więcej życia na zamku, a karet dangleskich na dziedzińcu. Zrazu, w pierwszych latach panowania, zwyczaj był ustanowiony, że z uderzeniem godziny 12-tej zjeżdżała do zamku „familja“: Ks. kanclerz i wojewoda ziem ruskich, strażnik Lubomirski i pan Zamojski, oraz wszyscy czterej bracia królewscy. Ale nie długo trwała idylla. Wyniosła duma stryjów królewskich, którzy panów braci przez ramię traktowali, zaciekle kłótnie i zajadłe intrygi położyły koniec konferencjom.

Tymczasem imperator trojga kuchen, *monsieur Tremo*, wydaje ostatnie rozkazy. Dogląda osobiście różna, na którym piecze się „królewska zwierzyna *vulgo* baranina“, podlewa sosy maderą, oczyszcza ostrzygi i sosy przyprawia korzeniami, a zamek cały czeka niecierpliwie na hasło ostateczne. W sali recepcyjnej zgromadzili się już panowie, zaszczytzeni na ten dzień inwitacją do stołu królewskiego i czekają rychło-li pan Brunet króla do stołu idącego zaanonsuje.

Obiad, do którego zasiadało zawsze osób kilkanaście, a szambelan, aktualnie dyżurujący, stawał za królewskim krzesłem, trwa niedługo. „Chcąc dłużej zatrzymać monarchę przy stole — opowiada pamiętnikarz Łubieński — wypadało na samym początku

rzucić jakąś kwestję zajmującą, jadł bowiem tak prędko, że jeśli nie zawiązano dość ożywionej rozprawy, wstawał po kilkunastu minutach i oddalał się do swego gabinetu“. Jeśli siedział przy stole gość obcy, rozmowa toczyła się górnemi szlaki, z domownikami baraszkowano niefrasobliwie. Biskup Kossakowski, wezwany raz przez króla na obiad, „zgorszył się publiczną rozmową o biskupach, który do której umizga się i który ma religję, albo nie? A król mnie zapytał: „Biskup wileński, jeśli ma metresę?“

Menu obiadowe, to sprawa arcyważna! Gdy Fryderyk Wielki przegląda skrupulatnie rachunki kuchenne, król polski wyłączną uwagę poświęca spisowi potraw. Ostrygi, baranina i śliwki, oto trzy ulubione przysmaki. Szczególnie wiele zachodu jest z tem w czasie podróży. Sam własnorecznie sprawdza ilość branych na drogę zapasów, a przed wyjazdem do Kaniowa dopisuje na końcu kulinarnej notaki: *souvent ne pas oublier des huitres!* To samo odnosi się do śliwek, które były pewnego razu przyczyną wesołej przygody w Wiśniowcu. Za całych 1000 złotych polskich sprowadza skądś pani Mniszchowa nieco śliwek węgierskich na przyjęcie króla, specjał nielada na zimową porę. Dobrze, że są, bo karoce kuchenne wraz z panem Tremo ugrzęzły w śniegach, a król bez humoru. Tymczasem zjawia się ks. Józef, po daremnych usiłowaniach wydobyć karoc ze śniegu, siada przy stole i o niczem nie wiedząc, zjada wszystkie śliwki. Skandal robi się ogromny. Pan Mniszech wnosi „zdrowie kwatermistrza, co zgubił ostrygi, a zjadł śliwki“, a winowajca na przeprosiny ofiarowuje potem pani domu talerz śliwek, wykonanych z najdroższej porcelany saskiej.

Ale powróćmy do dnia królewskiego.

Po obiedzie spacer po tarasie, z którego król ogląda przez lorgnon kąpiące się w Wiśle mieszczeni warszawskie, oraz drzemka, na miętko wyścielonym szeszlunku; za szklanym parawanem sali sypialnej przeciągał się wygodnie pomazaniec i nikt, chyba tylko madame Grabowska miała przywilej pojawić się tu w tej porze.

Popołudniu wrzało od pracy w gabinecie. W obliżu byli wszyscy konsylarze, uwijał się siarczyście Imć Ogrodzki i sekretarze wszystkich pięciu dyrekcji, paż za pazim przebiegał komnaty z poleceniami. Zalał twiał teraz osobistą i państwową korespondencję, ten nieszczęśliwie dobrotliwy suweren *qui avait un excellent coeur, mais l'envie d'obliger tout le monde lui a fait beaucoup de mal*. „Wszystko, co doń pisano — opowiada ks. Kalinka — czytywał sam. Codzień odbierał ośm, dziesięć do dwunastu depeesz, raportów i własnoręcznie na nie odpisywał, albo gotował odpowiedzi do cyfrowania lub kopjowania, albo wreszcie przygotowane odpisy poprawiał“. A któż obliczy korespondencję wewnętrzną? Żadnych innych dokumentów z XVIII stulecia nie dochowało się tyle, ile listów królewskich. Gdyby je zebrać razem i wydać, przewyższyłyby korespondencję Fryderyka Wielkiego i Metternicha, Napoleona i Talleyranda i oddałyby berło Stanisławowi Augustowi, najgorliwszemu i skrupulatnemu korespondentowi wśród monarchów. Każdy wakans królewskiej lub urzędu krajowego, czy ziemskiego wywołał co najmniej kilka żądań, odpowiedzi i dziękczynień, a nierównie więcej skarg i wymówek. W rozumieniu lada najlichszego szlachetki król poto w zamku siedzi, by na każde pisanie grzeczną dał od-

powiedz. Na takim odpowiadaniu zbiegły mu najpiękniejsze lata suwerenstwa. Pisał, a pisał: jednał powaśnionych, załatwiał rozwody i małżeństwa, godził damy z kochankami, ratował podupadłe majątki, wstawiał się do sądów, przyspieszał wyroki, pośredniczył w układach, pomagał w sprzedaży dóbr i zamianie urzędów. Czegóż chcieć więcej, jeśli pani Brzostowska, znana zresztą z intryg i niechęci przeciw królowi, pisze doń urgens niecierpliwy z zawiadomieniem, że mąż jej rozwiedziony zwleka z ratami przyobiecanej pensyjki. Król najspokojniej obiecuje wdać się w sprawę i tylko w końcu listu grzecznie napomyka, iż powinna się dziwić, że odpowiedź otrzymuje.

A mimo wszystko żaden dzień nie minie bez mądrego czynu. Ile myśli promiennych król rzuci, a ile projektów w czyn wprowadzi! To szkołę lekarską założy, (na której napis pamiętny: „tu się śmierć sama w korzyść ludzkości obraca”), albo utworzy zbawienne komisje dobrego porządku dla miast. Miesiącami całemi wertował będzie z Reverdilem dzieła, organizacji szkół zagranicznych poświęcone, lub też studjował sprawę, tak dalekich od jego upodobań, manufaktur wełnianych. Każde mądre odkrycie zagraniczne będzie zaraz zastosowane: da Warszawie piorunochrony, latarnie i bruki. A ileż trudu i czasu poświęci dźwignięciu literatury pięknej i prawoznawstwa, historii i higjeny, geografji i astronomji!

Nie po wszystkie czasy bywał dzień królewski tak zbożnie pracowity. W pierwszych czasach młodość szumiała, na zamku rej wiedli powiernicy petersburskich szaleństw, zawadjaka Branicki, bogaty labuś Rzewuski i zawsze do wszelkiej zabawy skory ks. podkomorzy. Były maskary, tańce, oraz orgje przyjemne

z aktorkami. W owym czasie grały dwa teatry na zamku: francuski i włoski, *opéra buffo* wyśmienita. Vestris, *dieu dē danse* i Pic „opuścili Paryż na dni kilka, aby przemienić Warszawę w siedzibę smaku i wesołości“. Jakż był mój zachwyt — wyznaje Kurlandczyk Heyking — gdym się ujrzał na pierwszym przedstawieniu opery włoskiej; grano wtedy „*La buona figliola*“, w której primadonną była pani Ristorini. Co za śpiew i kuplety, co za muzyka, jaka gra! Melodja *una puovera ragazza* szarpnęła najgłębszemi pokładami mej duszy!“ Nawet wówczas, gdy się już burza barska na dobre rozpoczęła, król zapytał zdziwionego Repnina: czy może zaprosić do Warszawy znakomitą aktorkę francuską Clairon?

Ale nadeszły lata gorzkich prób. Gdy krwawy szlak „pacyfikacji“ rosyjskiej, „chroniącej“ kraj przed Barszczanami, naznaczył ogniem i uciskiem Rzeczpospolitą, gdy król i dwór przeżyli trwożnie wiele bojaźliwych dni w obawie życia — wtedy przycichło na zamku. Król zamyka się w swej komnacie, płacze i Plutarcha czyta, sztychy stare przegląda, dyktuje pamiętniki, lub też tłumaczy z westchnieniem strofy Horacego, jakże mało odpowiednie:

„Prawy i w imprezie tęgi przed rozkazem człek,
złe rozkazujących współobywatelów, wspaniałej nie
uginą myśli“.

Potem przyjdą na zmianę czasy dobre i złe. Bęztroska epikureizmu sięgnie szczytów w dziesięcioleciu 1775—1785, wiele utrudzeń, ale i radości przyniesie era Sejmu, a znów ciężko i na zawsze zachmurzy się niebo nad królem targowiczanielem.

Ale wróćmy do dalszych dziejów popołudnia. Ulubiona pasja w krótkich chwilach wypoczynku, to



CHODOWIECKI DANIEL: UCZTA WESOŁA

bilard *à la guerre*. Od starego Fleminga jeszcze i Czaplica nabrał król tej namiętności i tak się przyzwyczaił, że nawet do Grodna z Warszawy bilard sprowadzono. Potem spacer pieszy na peryferje stolicy *incognito* z Naruszewiczem lub z Reverdilem. Lubiał bardzo wówczas patrzeć na igrzyska pospólstwa, żydowskie wesela i zabawy ludu, „mile przysłuchując się piosneczkom i zachęcając parobków do jak najściślejszych z dziewczkami karesów“. W chwilach samotności służy tokarka, tak samo jak Ludwikowi XVI ślusarstwo. Jest to wielki warsztat z jesionu, w kształcie komody, na którym król własną ręką toczy siurpryzy dla białogłów: bonbonierki, pudełeczka, oraz igraszki wszelakie.

Wieczorem bywał teatr na zamku lub w mieście, koncert śpiewaków, albo też *soirée*, gdzie się przydażyło: u pani krakowskiej w licznej kole society, u księcia prymasa, czy u hetmanowej Ogińskiej, nareszcie w słodkiej solitudzie mieszkania pani Grabowskiej. Rozmaicie, gdzie okoliczność wymagała, lub gust królewski zapragnął. Zrazu także u Czartoryskich. Na takiej właśnie rodzinnej kolacji widział króla Casanova. Posłuchajmy, jak było:

„Okolo godziny 9-tej znalazłem się u ks. Adama Czartoryskiego, który mię przedstawił towarzystwu. W kilka chwil potem wszedł piękny kawaler, na którego widok wszyscy z miejsc powstali. Ks. Adam powiedział moje nazwisko, a zwróciwszy się ku mnie rzekł sucho: To król! Było to dla mnie niespodzianką. Zauważyłem, że zbyt wielka prostota może tak samo wyprowadzić z równowagi, jak nadmierna wspaniałość. Postąpiłem dwa kroki naprzód, a w chwili, gdy chciałem ugiąć kolano, dał mi król z wielkim wdziękiem

rękę do pocałowania... Gdy podano do stołu, król, rozmawiając ciągle ze mną, przeszedł do sali jadalnej i kazał mi zająć miejsce po swej prawej ręce. Wszyscy jedli z wyjątkiem króla, który, zdaje się, nie miał apetytu... Po kolacji czynił król uwagi o wszystkim, co mówiono i zdobył swe słowa szczególnym wdziękiem. Wysławiał się w sposób jak najwytworniejszy, ale zgoła niewyszukanie“.

Urozmaicony bywał wieczór, gdy do kompanji wchodziły kobiety. Oficjalnie, z pompą i ukłonami, albo-li sekretnie wprowadzane boczną bramą przez Ryxa czy Bruneta. O każdej chwili miała dostęp w pierwszych czasach ks. strażnikowa, wieczorami *en deux* gwarzył sobie z księżną gen. ziem podolskich, słuchał śpiewu Tomatysowej, lub podziwiał wdzięki pani Schmidt, co trudnem nie było, bo mieszkała na zamku. Wśród niefrasobliwych zabaw dworskiej cortegiany przy grze w lombra i boczetę mijały godziny. Król grał, ale częściej udawał, że gra („karty, trzymane w ręku, jak tak na stół wyrzucał, prowadząc rozmowę, a sama gra była tylko udaniem, gdyż ten panujący dużo był uzdolnionym na artystę scenicznego“).

Kolor nadają dyskursom anegdotki. O Józefie II i Fryderyku, o Karolu XII. i figlach życiowych ojca króla jegomości, o panu Wolterze, co w Cirey porabia, oraz o dziwactwach Jana Jakóba Rousseau, który nie lubi galantów. Tylko o Katarzynie mówić nie wolno. Nieszczęsnym jest tutaj człowiek, jeśli z zagranicy przybył. Zamęczą go przy stole pytaniami: czyli widział delfina i był prezentowany u dworu; czy naprawdę inspektor klozetów Ludwika XVI. pobiera 20.000 liwrów pensji rocznej; jaka fryzura w Wersalu aktualnie modna, i co mówią o Warszawie w San-souci?

Król sam opowiada doskonale, kraszając rozmowę uczonemi cytatai z Szekspira, Horacego i nowych pisarzy angielskich, to znów wtrąci jakąś fraszkę wesołą i pieprzną, którą od ojca jeszcze zasłyszał.

A potem gasną świeczniki i cichnie rozgwar świegotek. *Salutem, argentum, bonumque appetitum* życząc kompanji, odchodzi król do sypialni. Tutaj, zasiadłszy przy małym stoliku, figluje chwilę z Kiopkiem, pieskiem ukochanym, albo też „późną, kradzioną godziną“ pisze projekty wierszy dla Narucha. Pan Marek Reverdil, świecę w ręku dzierżąc, znosi z biblioteki dzieła wielotomowe, nie na żarty zdziwiony, że ten północny suweren tak mądre książki czytuje, o jakich się żadnemu innemu z królów nie śniło. Leżą na stole angielskie oryginały dzieł Swifta i humoreski Wawrzyńca Sterne'a, Cyd Morsztynowski, Hainaulta historia cesarzowej Ireny, Vitruwiusa szacowne folio *De architectura*, Barra Historia Niemiec. Wszystko to przeczytał królowi Reverdil w ciągu jednego zimowego miesiąca r. 1765!

Król trochę słucha lektury, a trochę zrządzi na złą angielszczyznę czytającego, to znowu pozwala mu nieco plotek z miasta opowiedzieć. Zzyna się, gdy nienasycony Reverdil znowu o podwyżce gaży wspomni. Potem trzeba jeszcze okiem rzucić na żurnale, które popołudniu nadeszły i nareszcie pomyśleć o hekatombie dla Morfeusza. Przysposobił tymczasem kamerlokaje, piernaty i wały z zielonego grodeturu, zdjęto koronki brabanckie z poduszek, a szatny Brunet czeka w drzwiach rozkazu. Już wtedy króla nic nie obchodzi. (Nie bez zdziwienia doświadczył tego Lizen, adjutant Repnina, gdy o tej właśnie porze wpadł do sypialni królewskiej z raportem hiobowym o porwaniu

senatorów. Król spytał go tylko: *Sont — ils pris ?* a otrzymawszy odpowiedź: *Oui, sire*, powiedział krótko *Bon soir, monsieur !* i — poszedł spać). Brunet szybko oswobadza pana najjaśniejszego z więzów wytwornej toalety. Leżącemu już pod białą, jedwabną kołdrą majestatowi czyta jeszcze chwilę imć. Reverdil, zaczem gasi wytrykuszem świece w lichtarzach. W przyległej garderobie zaciągają warty paziowskie na nocną służbę. Ryx kładzie się także w antyszambrze i owija dłoń swoją w płomienistą szarfę dzwonka królewskiego, iżby odrazu powstać, gdy król zażąda.

Za chwilę cisza głęboka kładzie się do snu na pokojach, a, za dobrym idąc przykładem, chrapią także stojąco paziki króla Jegomości. A gdy już wszyscy posnęli i dzwonki w pendułach północ głoszą, jawi się na pokojach Biała niewiasta. Snuje się cicho przez posadzki, przystaje na krużgankach i przy framugach okien, a cień jej niesamowity widać w zakątach luster. Coś sobie upatrzyła do rodu Poniatowskich. Pono widział Białą panią ojciec kasztelan w przeddzień bitwy pod Połtawą, księżę Józef obaczy ją pod Lipskiem, samemu królowi też przywidziała się raz biała jej szata w owych gorących chwilach Insurrekcji, gdy kula armatnia utkwiała w oknie zamkowym. Śpi, nie wiedząc o niczem, król Jegomość, śpi Ryx i paziki swawolne, a Białe widmo wciąż wędruje po salach, wędruje tak długo, póki kury nie zapieją i nie wstanie ze snu na wieży dyżurny pasztetnik, któremu posiłek ranny dla króla zgotować przykazano.

NA ZAMKU I W ŁAZIENKACH

„Śliczne pałace, śliczne i pokoje
„Śliczne ogrody, śliczne sady twoje,
„W które jak wejdziem, aż melankolija
„Człowieka mija...”

Pieśń z wieku XVI.



t voila comme petit à petit
l'oiseau fait son nid!.. W tych
słowach króla do pani Geoffrin
zawarta jest cała uciecha estety,
budującego sobie rezydencję.
Było to jeszcze w czasach, kie-
dy królowanie wydawało się
Stanisławowi Augustowi bajką
rozkoszną, różami woniejącą.
Napatrzył się zagranicą do-
syć wszelakim cudownościom: widział wspaniałości
Westminsteru, wystudjował dokładnie pieścidełka ma-
łego Trianonu i przepychy Wersalu *Louis XVI*, natura
sama zresztą dała mu poczucie linii architektonicznej
i wielką wrażliwość wnętrza. Chociaż budowa pa-
łacu kosztowała w Warszawie niemal dwa razy tyle,
co w Rzymie, bo drobiazg każdy i każdego rzemieśl-
nika trzeba było sprowadzać z zagranicy, Stanisław
August nie przeraził się jednak kosztorysem wydatków,
oszczędność nie leżała w jego naturze. Był przecież

dzieckiem swego wieku i współczesnym marszałkowi Richelieu, temu samemu, który wyrzuci przez okno kieskę złota, daną swemu wnukowi, zato, że wnuk, nie umiając wydać pieniędzy, zwrócił ją pełną.

W cywilizacyjnym programie Poniatowskiego architektura zajmuje jedno z pierwszych miejsc i, gdyby panował dłużej, Warszawa stałaby się niechybnie jedną z najpierwszych stolic Europy. „Maman“ Geoffrin mogłaby wiele powiedzieć o urządzeniu królewskiej sadyby, bo też namitnęła się staruszka i nabiegała coniemiarą po całym Paryżu o każdy potrzebny dla Warszawy drobiazg. Zamawia świeczniki, wazy, lustra i postumenty z Lyonu, sprowadza drogie materje na meble, dobiera żółtych obić na karety, prosi ją król o zamówienia obrazu u Bouchera, Vien’a, czy też van Loo, o kupno i wysyłkę gondoli do polowania, o biusty Henryka IV. i Woltera. Gdy wysłannik Konfederacji barskiej Wielhorski będzie próbował obłożyć zakupione cacka sekwestrem. „Maman“ narobi krzyku i nie pozwoli! Wszystkie zlecenia załatwia skrupulatnie, choć nieraz i słusznie wtrąci skromną uwagę, że lepiej byłoby nie robić tak wiele zamówień, gdy... dawne nie są jeszcze zapłacone. Ale mów-że tu z rozrzutnikiem! Chce mieć u siebie wszystko. Pertraktuje o kupno brylantów, pozostałych po pani Pompadour. Marzy o ścianach, wyłożonych platyną, jak są w Casa del Labrador Aranjuez, a jeśli wolałby być panią Guimard, niż królem polskim, to tylko dlatego, że sam Fragonard maluje jej sypialnię. I wiele tysięcy dukatów ofiarowałby za to, gdyby Goya ozdobił Łazienki, tak jak ściany Escorialu. Zamiast Fragonarda zadowolić się jednak trzeba Norblinem, Goyę zaś i Da Vinciego musiał, chcąc

nie chcąc, udawać Bacciarelli. Gdy nie stało pani Geoffrin, Bacciarelli załatwia zamówienia listownie. W Petersburgu jest cały konwolut jego listów i korespondencyj z jubilerami w sprawie wielkiego pająka i 16 świeczników, z których każdy kosztował 52 dukaty; są też zamówienia obszerne i kosztorysy firmy Pernon et Comp. w Lyonie w sprawie przyozdobienia i obicia jedwabiami sali tronowej w zamku.

Commodité et bienséance oto hasło! Chce król wytworzyć, by wnętrza mieszkalne drżały uciechą życia i barwą, niechaj przeziera zewsząd pogoda, elegancja i delikatność, niech będą barwy jasne, widoki miękkie, pieściwe, i niechaj lśni niepokalone dostojeństwo klasycznej linii! Historycy sztuki mówią już wprost o stylu Stanisława Augusta. Przyznają, że w pomysłach, inicjatywie architektonicznej ostatniego króla polskiego było coś więcej, niż ślepe naśladownictwo, bo twórczość indywidualna. Stanisław August umiał wznieść się ponad kolorowe zabaweczki rokoka, poszedł dalej i wyżej, a groteskową *rocaille* wysubtelnił i pogłębił klasyczną harmonją, nadał dziełom swoim subtelność, obcą n. p. ciężkim wymysłom Katarzyny w Petersburgu. „Określamy styl Stanisława Augusta — powiada dr. Alfred Lauterbach — jako zaawansowany klasycyzm, pozostający pod wpływem francuskim i włoskim, o planach centralnych, fasadach w jednym porządku z frontonem kolumnowym, balustrowanych attykach i barwnej dekoracji wnętrza”. Że nie brakło twórczej inicjatywy w budowlach królewskich, dowód choćby w tem: wszyscy magnaci polscy wieku oświecenia wysilali się na zbyt wysokie rezydencje, topili wielkie majątki w sprowadzaniu wszystkiego, co było najozdobniejszym, najdroższym, a przecież „herbem

architektonicznym" Polski XVIII. w., jej Alhambra i Escuriale pozostaną tylko Łazienki! Nie Równo, nie Białystok, nie Tulczyn, ani Łańcut!

Od pierwszych chwil panowania, po ostatnie petersburskie miesiące życia zamek warszawski i Łazienki są najmilszą troską stolnika. W r. 1767 pożar zniszczył niemal doszczętnie skrzydło pałacowe od strony kościoła Bernardynów tak, że król zmuszony był niemal od początku podjąć na nowo dzieło odnowienia zamku, projektowane już i zaczęte przez obu Sasów. Merlini sprawił się tak dzielnie, że już po dwu latach ani śladu nie było po zniszczeniach, a także zniknął egzotyczny taras, widoczny dziś na obrazie Canaletta. Prowadzono pracę przez lat blisko 16, bo od r. 1770 do 1786 pod komendą i wedle projektów Merliniego i Bacciarellego, który wiele lat i godzin życia przesiedział w niewygodnej pozycji na rusztowaniu, malując plafony sali assemblyowej. Jak usilnie pracowano nad odnowionym do niepoznaki gmachem, wiemy z dochoowanych do dziś 12-tu kompletnych projektów przebudowy zamku, które wykonali Fontana, Louis, Merlini, Schröger i Kamsetzer, umyślnie w tym celu sprowadzeni do Polski i suto za posłuszeństwo kaprysowi królewskiemu opłacani. Pomysły były istotnie przepyszne, sprytne architektki wiedziały, czym króla olśnić. Taki np. Schröger proponuje, aby na placu zamkowym wybudować olbrzymią kolumnadę i monumentalny pałac senatorski, wznieść dwie bramy symetryczne, oraz postawić jako pendent do kolumny Zygmunta gigantyczny obelisk! Merlini chce rozszerzyć fasadę do trzydziestu okien i ozdobić ją 36-ciu kolumnami, Fontanie marzy się kompozycja w formie

gwiazdy. Może kiedyś plany się urzeczywistnią, tymczasem król wziął się rażno do rekonstrukcji wnętrza.

W r. 1777 ukończono reparację i budowę zamku, zaczęło w dniu 8. maja, po zbytkownym festynie, odbyło się pierwsze uroczyste przyjęcie, oraz rozpoczęły się bujne tętna życia wytwornego w murach, które już dawno nie widziały dworu królewskiego. Wnętrza zamku budzą podziw u współczesnych, jako galerja obrazów przedewszystkiem. Tych jest najwięcej. Katalogi obrazów galerji królewskiej na zamku i w Łazienkach z r. 1793 wymieniają cyfrę, którą nie każdy z suwerenów świata mógł się wówczas poszczycić: 2233. płócien i to arcy mistrze tacy, jak Rubens i van Dyck, Teniers i Rembrandt, Jordaens, Cuyp i w. i. Każdy niemal z tych obrazów zdobyty osobistą troską króla i opatrzone jego uwagą w katalogu. Już gorzej było ze sprzętami; w wielu salach, oprócz zwierciadeł i kilku krzeseł, niema wcale wytwornego umeblowania. Nie zdołał jeszcze król polski sprawić sobie ani serwisów tak wspaniałych, jakie miała Marja Teresa, nie pracował przy biurku z kości słoniowej Ludwika XV., nie miał owych przedziwnych cacek rokokowego stylu przez Boulle'go wykonywanych — niemniej przecież panował na zamku dostatek sprzętu wszelakiego. Pan komornik Eustachy Młyński czyniąc w r. 1769 inwentarz, naliczył: 178 luster, oraz 105 tafli zwierciadlanych, 23 otoman, 21 komod, tyleż „girydonów“, 14 konsol z marmurami, 13 zegarów, 36 ekranów i parawanów, 17 stolików nocnych, krzeseł senatorskich 62, a także 50.000 świeczków paryskich wyłaczanych i w. i.

Konsole i kantorki pełne są kosztowności i biżuterji. Stanisław August w tem był podobny do

ostatniego z Jagiellonów: przepadał za drogiemi kamieniami. To też w skarbcu J. K. Mości bogactw cenniejsza. Starodawne naczynia srebrne, puchary i dzbany zygmuntofskie, szmaragdy, rubiny, szafiry i granaty. Najcenniejszą wszakże ozdobą ścian zamkowych są owe słynne i drogocenne *arazzi*, gobeliny i szpalery, głośnie w całej Europie, złotolite tkaniny, wyobrażające sceny z Pisma św. wedle obrazów Rafaela. Mają swoją dostojną historję. Król Zygmunt August zakupił je dla ozdoby zamku wawelskiego, Jan Kazimierz zastawił w Gdańsku w czasie wojen szwedzkich, August II wykupił, by je częściowo ulokować w Dreźnie, a Stanisław August wydobyć kazał resztę ze skarbcza i rozwieść na Zamku. Zaczem powędrowały do Gótczyny.

W przysieniu zamkowym mieściły się akta Metryki kor., kancelarja grodzka, kasa zamkowa, kredensy, kordegarda I. kompanji, oraz mieszkania dworzan. Największą w zamku jest sala poselska, przez dwa piętra rozciągniona. Wiedźcie, że w niej ogłoszono Ustawę Majową. Trzy sale zamkowe są dziełem Poniatowskiego, balowa, rycerska i marmurowa. Za najwspanialszą uchodzi w oczach wszystkich podróżników sala balowa, czyli *assemblova*, utrzymana cała w stylu Ludwika XVI., w tonie biało-złotym o przepysznych stiukach żółtych, marmurowych i wspaniałej kolumnadzie. Na tle bogatych, złożonych bronzów tem piękniej prezentują się monumentalne plafony Bacciarellego „Jowisz” i „Chaos”. Pokój audjencjonalny, czyli tronowy wybito adamaszkiem karmazynowym. Na pawimencie przepyszny kobierzec turecki, przy ścianie tron z aksamitu karmazynowego, szamerowany suto galonami i frędzlą z krepinami złotemi. Przy tronie dwie wspaniałe

chorągwie na straży, koronna i litewska. Opodał 12 krzesel senatorskich wyłaczanych, tyleż stołków dla pospolitszych gości, kominek z marmuru siwego i mały taburet do przysięgi. Zasiądzie nieraz na tronie pomazaniec w pełni chwały, a jeno opodał ktoś wyniośle oczu przymruża: *l'ambassadeur* ten tam w przyległym pokoju skromnie stojący, wszechzłotliwy!...

A przepych sali audjencjonalnej! Zdobi ją ośm posągów marmurowych. Po obu bokach tronu trzyma straż Katarzyna II. w postaci rycerza z Janem III. Sobieskim pospołu. Towarzystwo niebardzo wprowadzie odpowiednie, ale koniecznością polityczną podyktowane. Naprzeciw ustawiono biust Elżbiety, królowej angielskiej i Henryka IV. Na stołach zaś Cezar August, Hadrian i Marek Aureli. Białe, marmurowe kominki dopełniają ozdób tej sali. Ukończono ją w r. 1782. W sali, przez Magiera srebrną nazywanej, „obszernością ścian, srebrnych kolumn i światel wspaniałej“ odbywały się koncerty. Tu śpiewała pani Tomatisowa, pani Todi, Banti, Morigi, Crespi i Bonafini, artystka opery, obdarzona głosem bardzo pięknym, którą opiewali Węgierski i Bielawski w rymach, a cały dwór powtarzał za nimi: „Szczęśliwsza od królowy śliczna Bonafini! Co stary Rzym z Kartagą, ona z nami czyni“.

Pokój a consiliis, albo Rady przybocznej, malowany al fresco, zwany „prospektowym“, bo miał wyjście na taras, z lamperjami sosnowemi, wybity zielonym adamaszkiem — stał się z czasem salą Canaletta, tu bowiem rozwieszono 22 pejzaży Canaletta, („wszystkie prawie ładne“, zapewnia Fortis). Weneccjanin Belloto Canaletto przybył do Warszawy w r. 1768 i tu przez lat 12-ście dla króla pracował. Chyba całą

Warszawę z Pragę, Wilanowem i pałacami wymalował ten pracowity człek, pobierający pensji złotych sto. Ogólnie podobał się obrazek, na którym ks. Józef Poniatowski pobiera lekcję jazdy konnej od pułkownika Koenigsfelda. Piękne supraporty, zwierciadła i konsole, oraz kosztowny zegar z wazonem mosiężnym *à la grec* we środku dopełniały całości. Ten pokój najwięcejby mógł powiedzieć o gehennie życiowej króla. Tu odbywały się narady polityczne, tu dosięgały króla zjadliwe sztylety familji i Branickiego, oraz dręczył go zazwyczaj ambasador. Z pokoju Rady przybocznej wchodziło się do kaplicy, którą ozdabiał podobno autentyczny Rembrandt.

Cieęższa w ornamentyce z herbami wielkich rodów i poważnemi supraportami, rzeźbiona w drzewie i grubo złocona, była sala rycerska. Tu znalazły miejsce wszystkie historyczne obrazy Bacciarellego, o które król tak bardzo nalegał, chociaż nam dzisiaj, wychowanym na Matejce, wydają się tylko dziwaczną transpozycją przeszłości na modę rokoka.

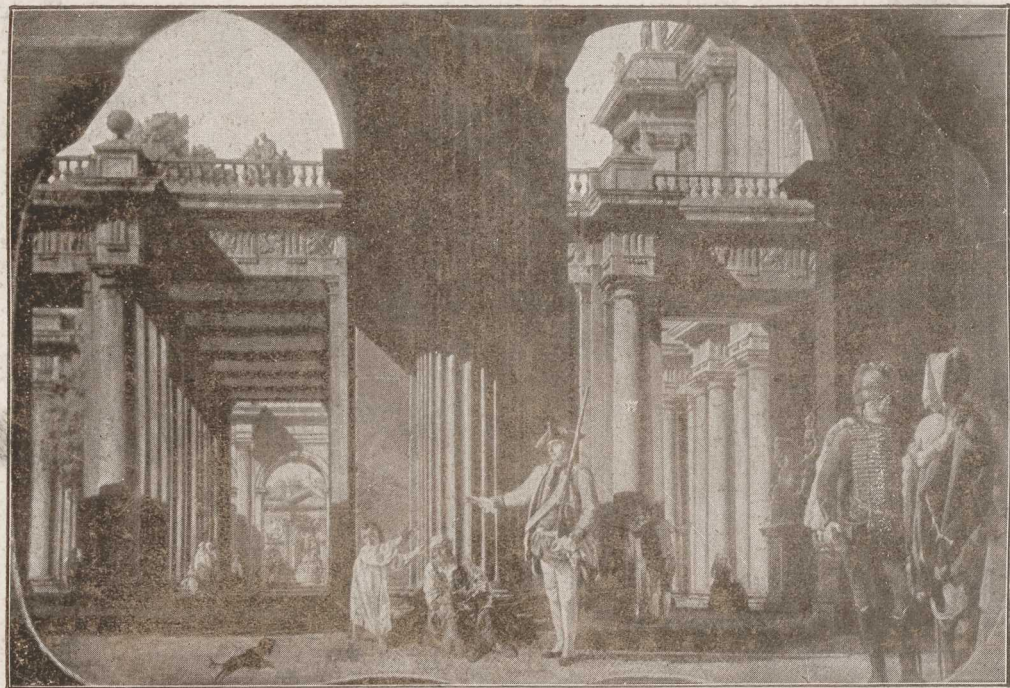
Do sali tronowej przylega mały ośmioboczny poikoik konferencyjny, z arabeskami Plerscha na złotem tle. Miluchna proporcja i harmonja szczegółów wiąże ściany, meble, posadzkę i „podsiębicie” w jedną całość. Cackami w każdym względzie są apartamenta, które król Jegomość sam zajmuje. Zrazu skromne i dorywczo urządzone, zyskiwały z latami na wspaniałości. Przedpokój senatorski, o 9-ciu „fasonem angielskim oprawnych” oknach i gipsowem podsiębicciu prowadził do sypialni króla. Cackiem jest ta sypialnia Jego królewskiej Mości — przecucie empire’u. Wyłożona drzewem cisowem o barwie, przypominającej mahoń, pokryta niebieskimi materjami

i złotą sznurową siatką. Żółte boazerje dopełniają całości niezwykle pod względem kolorystycznym efektownej. Tu jest też miejsce dla najmilszych królowi obrazków: wiszą główki Greuze'a, ze ścian patrzy Madonna Battoni'ego w udatnej kopji. Obok alkowy królewskiej „garderóbka do nocnej wygody“, dalej ubieralnia, oraz gabinet do pisania, urządzony pieścizotliwie i starannie. Nad drzwiami błyszczą barwami tęczy supraport zwierciadlany „z tafli ze srebra oskrobanych“, podłogę ozdabia śnieżno białe kobierce *de nouget*, na kominku z marmuru karyjskiego palą się szczapy smolne. Tutaj król dużą część dnia przepędza przy pulpicie. Lubiał starą komodę czarną, chińską i klamki u drzwi, do których sam wzory rysował, oraz zielony, trzciną pleciony garnitur mebli. W tym gabinecie nocował Napoleon I, nie chcąc spać w sypialni zdetronizowanego króla.

„Pokoje i gabinety — wedle opisu Szulca z r. 1793 — w których król mieszka, obite są materjami prostemi, sprzętem smakownym ubrane i zajmują tę stronę zamku, która wychodzi ku Wiśle. Noszą one piętno prostoty, przechodzącej, gdzie należy, w pełną smaku wspaniałość. Niewiele mieszkań książęcych ogląda się i przebiega z tak miłym wrażeniem!“ Okna apartamentów królewskich wychodziły na Wisłę, zaczem piękny roztaczał się z nich prospekt na życie miasta i rzeki. Południową porą lubił król Jegomość oglądać z tarasu przez „lorgnon“, pluskające się na Wiśle mieszczy, a societa nieraz spędzała tu pogodne wieczory. Pamiętny był jeden wieczór tuż po pierwszym podziale r. 1772. Gdy kanclerz Czartoryski czynił królowi cierpkie wyrzuty za to, że zgodził się na hańbę, Stanisław August, stojąc na tarasie, trzema metresami

otoczony (jak chce świadek współczesny), rzucił kapeluszem o ziem i zawołał: „Niech zostanie mi z mego królestwa tylko tyle, ile tym kapeluszem przykryję, chcę na tym kawałku panować niezależny!”.

Blisko sto tysięcy dukatów kosztowało odnowienie narożnego pokoju marmurowego, który już Władysław IV. budować zaczął. Siedmiu różnych gatunków marmuru użyto do budowy ścian i kominka. Portret królewski ponad nim obwieszczal w napisie łacińskim, że król poświęca *anno 1771* ten pokój pamięci swoich poprzedników na tronie. (Portrety ich wszystkich wykonał Bacciarelli po 50 dukatów od sztuki). Naprzeciwko portretu królewskiego, wyżej wielkiego zwierciadła i zegaru, dwa genjusze zwyczajnie przy pieczęciach królewskich używane, z białego marmuru ryte, trzymają herby króla i Rzeczypospolitej. Na suficie odmalowana wieczność w postaci dziewczęj, trzyma w ręku wieniec gwiazdowy, a naokoło jej genjusze nauk; jakoto: historia, poezja, snycerstwo, malarstwo. Gdy w r. 1769 czytamy w inwentarzu zamkowym, że pokój marmurowy „cały zrujnowany” — to już później Naruszewicz w objaśnieniach do swej straszliwie nudnej „Ody na pokój marmurowy” zapewnia, że widzieć można tu wszystko, cokolwiek dowcipna ręka najpiękniejszego w marmurze, kamieniach, miedzi, drzewie i malowaniach oczom ukazać może. Tym razem ks. biskup nie przeholował w pochlebstwach, bo słowom jego przyklasną wkrótce wszyscy podróżnicy z zagranicy. Za to brat szlachcic, o ile się tu kiedy zabłąka, ani docenia, ani też rozumie się na tych splendorach. Bezwstydnym gółasom byłby chętnie lby pościął, tak, jak ów pocziwiec, co w ogrodzie pani Wąsowiczowej Woltera na postumencie zastrzelił!



BELLOTO CANALETTO: TARAS ZAMKU WARSZAWSKIEGO

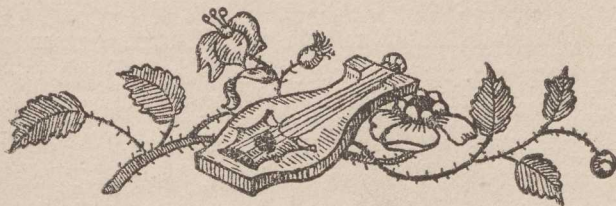
Osobne skrzydło, bardzo interesujące pod względem architektonicznym, odbudowano dla pomieszczenia biblioteki, liczącej z górą 20 tysięcy tomów, którą król w r. 1785 zamierzał oddać na użytek publiczny. Jest to długa, udekorowana stiukami galerja i ozdobiona płaskorzeźbami, które wiszą wśród masywnych szaf. Na środku sali stoły i pulpity do czytania, oraz posąg Woltera w szlafroku i szlafmocy. Satyryk siedzi na krześle, u stóp którego napis hołdowniczy przez króla ułożony. Biblioteka królewska nie „robiła wrażenia przyjemnego co do porządku i zręcznego ustawienia“, a to głównie dzięki próżniactwu bibliotekarzy. Ale ruch był wielki przy szafach. Tu zachodził ks. Gawroński, ilekroć czegoś do czytania królowi potrzebował, tu kręcili się, udając bardzo zapracowanych, Marek Reverdil i Monsieur Lex, noszący szumne miano *entrepreneur du cabinet littéraire du roi de Pologne*. Najwięcej jeszcze krząta się ks. Albertrandy, jako kustosz gabinetu monet, oraz hr. Moszyński, opiekujący się daktylioteką, czyli zbiorem gemmoglitycznym. Stały trzy szafy ogromne, o drzwiach z drutu mosiężnego, pełne miedziorytów, sztychów, oraz gabloty z kolekcją gemm i kamei, monet, numizmatów i drobiazgów z kości słoniowej, a nawet modeli i przyrządów fizykalnych. W dwu osobnych komnatach mieścił się zbiór przyrodniczy. Katalogowania doglądał sam król, rękopisy były bogato oprawne, wśród nich biblja na welinie z XIV. w. i rękopis ewangelji, złotem pisany z XIII. podobno stulecia. Na każdym rękopisie widniał herb królewski i napis wyciśnięty: *Stanislaus Augustus rex Polonorum saeculorum posteritati vindicat.*

O innych pokojach, pod koniec rządów do świętości przyprowadzonych, krótko wspomnijmy. Był tedy pokój grecki, pokój senatorski, apartament t. zw. wielki z bilardem orzechowym, sala *en ovale*, biała i zielona w gzygzak, z której przejście do kościoła farnego. Wszystkie, aż pod sufit zawieszane, nawet przeładowane obrazami. Kiedy podróżnik Fortis chciał w r. 1792 opisać dokładnie pokoje królewskie, sprawozdanie jego przemieniło się w jeden wielki katalog obrazów i artystów. Jeszcze dokładniej opisywał Imć Młyński. Tak dalece dokładnie, że nawet podał nam szczegółowo ubikację następującą: „Miejsce sekretne, białe malowane z pozłacanymi filonkami, boazerją robione, w którym bidet, czerwoną skórą obity, z szprycą cynową, basenem farfuruwym i flaszkami do wódki dwoma, w tyłku chowającymi się, podłoga połową dębowa, a połową sosnowa ordynaryjna“.

Wrzały życiem i gwarem te wszystkie wspaniałe ubikacje czasu każdego sejmu i zawsze w wigilję Nowego Roku, a już szczególnie w epoce Sejmu Wielkiego, „tańczącym“ zwanego. Wtedy bawiono się najświetniej, puste zazwyczaj dziedzińce zamku napełniały się co wieczór rzędem pysznych ekwipaży i tłumem bogato przyodzianej służby. A w sali audjencyjnej i balowej wstawała z martwych cała dawna jagiellońska wspaniałość Rzeczypospolitej. „Widziałem — pisze poseł szwedzki Heyking — dwór rosyjski z całym jego przepychem w czasie audjencyj publicznych, ale, jakkolwiek wielki jest ten splendor, przecież nie daje widoku tak wspaniałego, jak audjencja u króla polskiego na czele zgromadzonych stanów“!

Codzienne życie na zamku było nierównie skromniejsze. Król w zamku czuł się wogóle nie dobrze i mieścił się w skromnych ubikacjach. Dziwi się temu poseł Sievers, gdy przybywszy w r. 1793 do Warszawy, pisze do córki: „Wyobraź sobie, jak skromnie jest w mieszkaniu króla: jada w przedpokoju, na lewo ma gabinet, na prawo pokój sypialny i bawialny razem“. Toż samo przyznaje Fortis: „Stanisław August przyjmuje wieczorami w pokoju najskromniejszym, gdzie również jada kolację, na którą stoły przynoszą już zastawione i zaraz potem je uprzątują“.

Choć wiele i najwspanialszych skarbów sztuki zdołał tutaj zgromadzić, choć wyrafinowaną elegancją i splendorem lśniły apartamenta, nie czuł się szczęśliwym Stanisław August na zamku. Tutaj ciążyło mu królowanie i ta korona Chrobrych, którą daremnie kazał złotnikowi do rozmiarów swej głowy przystosować. Uciekał wtedy do ostatniego szczęścia swego życia — do Łazienek.



Podobno dlatego przystąpił król do konfederacji Targowickiej, bo bał się, że mu Moskwa skonfiskuje Łazienki... Ta śmieszna wersja, zanotowana przez

ks. Kitowicza jest przecież znamienneś świadectwem miłości, jaką król otaczał swe ukochane dzieło. Gdy Zamek urastał z wolna na poważną i reprezentacyjną rezydencję, Łazienki stać się miały huczną pieśnią na cześć wytworności i uciechy życia. Było to *chef d'oeuvres* pracy artystycznej króla, której końca nie miał nawet oglądać. Trzykrotnie powracał do ich przebudowy i upiększenia, rozpoczętej już w pierwszym roku wstąpienia na tron, prowadzonej dalej w r. 1784, a ukończonej dopiero w maju r. 1795. Ostatnie rusztowania spadły z murów pałacyku, gdy króla już nie było nietylko w Warszawie, ale i na tronie. Dzieła, w które 30-ści lat pracy włożył, nie miał już nigdy oglądać.

Łazienki, to jedna z piękniejszych kompozycji artystycznych, jakie wogóle wydał wiek XVIII. Są one wypadkową dwóch stylów: barokowego, którego nabrały, gdy je budował marszałek Lubomirski w końcu XVII. stulecia, saskiego rokoka za czasów Augusta, który tutaj właśnie ujawnił swą odrębność. Był jeden z niewielu, może jedyny nawet dobry interes finansowy w życiu Stanisława Augusta, gdy jeszcze jako stolnik litewski, kupił na własność Ujazdów za milion sto tysięcy złp. i zaraz polecił Merliniemu przebudowę starej Łazienki na modny pałacyk. Komużby przez myśl przeszło imać się pracy syzyfowej? Błotnisty i zapuszczony park odstraszał ludzi, budynki, kanały i sadzawki pustoszały, służąc za pastwisko — Stanisław August włożył od razu wielkie sumy, oczyścił powietrze, zarażone wodami stojącymi, kazał wyrąbać stare spróchniałe olchy, osuszył bagna i moczary. A potem wszystką swą wrażliwość artystyczną i poczucie piękna włożył w dalszą pracę nad Łazienkami. Pałacyk na

wyspie odmienił szybko oblicze. Stare gipsatury dawnej łaźni uświetniła facjata kamienna z kolumnami korynckimi. Szpalery i klomby angielskie, chińskie pawilony i kuliste laury ozdobiły park. Na stawach trzepotały stada łabędzi, w zwierzyńcu patrzono z ciekawością na dwa ogromne strusie, dar króla obojga Sycylii. I zaludniło się też w parku. Łazienki weszły w modę w Polsce, zasłynęły w Europie. Zamieszkała tu z czasem generałowa Grabowska, rozgościła się wygodnie w Białym domku pani Krakowska. Na wzgórku, ku zachodowi położonym, zyskał swoje tusculum z ogródkiem pan Bacciarelli. Stąd widok w różne strony rozciąga się piękny i obszerny, część lasu, zamknięta parkanem, służy do utrzymania różnego rodzaju zwierza i ptaków zagranicznych, a szeroka, we cztery rzędy aleja lipowa, z dwóch stron opasana sadami wiedzie ku Nowemu Światu. Ilekroć wiosna krasę swoją roztoczyła, opuszczał król zamkowe komnaty, by całe lato spędzić w polskim Trianonie, a tylko w niedzielę i święta wracał do Warszawy.

Najpiękniejsze płótna Bacciarellego „Sąd Salomona“, „Bachus“ szły do Łazienek, rzeźby monumentalne Herkulesa i Apolina, najlepsza kopja dzieł klasycznych, tutaj Monaldi ustawił swe cztery olbrzymie karjatydy, podtrzymujące kominki, a Kamsetzer i Merlini ofiarowali najszlachetniejsze wzloty swego natchnienia. William Coxe opisuje przemiłą niewymuszoność, wśród jakiej grał tu wista i zabawiał się wesoło aż do północy, Szulc zaś nie może się dość nachwalić wszelkich przyjemności, zaznanych w pałacyku, „którego lekkie kolumny zdają się przy świetle księżyca wyrastać wprost z wody, a gdy wiatr zmarszczy wód powierzchnię, obraz ich drży, odbity w sre-

brzystej fali". Tak pysznej dekoracji przyrodzonej i tak pięknego tarasu, jak ów łazienkowski, przyozdobiony wazonami kararyjskimi, oraz przedziwną linią posągów Wisły i Bugu, nie miał żaden inny pałac w Polsce.

Po ostatecznem ukończeniu, pałacyk w Łazienkach składał się z 9-ciu pokoi. Był przedsionek od strony południowej z rzezbami, wśród nich piękna kompozycja Polski rozkwitającej, w przedsionku lapidarium z rzadkich zabytków starożytności, przecenne baryliefy z sarkofagów rzymskich, nad wyraz ważna i rzadka płaskorzeźba z V. wieku przed Chrystusem wedle wzoru Fidjasza. Dalej rotunda z posągami królów, rozkoszny pokój Bachusa, taflami z porcelany wyłożony, za nim mała łazienka, pieścżąca oko wspaniałością reljefów, skąd drzwi do sali balowej; między nią a pokojem Salomona gabinet portretowy, wreszcie sala jadalna, w której odbywają się obiady czwartkowe, za nią galerja, a w końcu sala chińska, na koncerty, przyozdobiona wielkim widokiem Pekinu. Na pierwszym piętrze pokoje Ryxa i biblioteka.

Rozkazał król, aby nad wszystko piękną była sala Salomona (*salle de compagnie*), ze złotych wieńców uwita. Jest tu tęskna wspominka włoskiego *cinquecenta*, trochę też nieświadome przeczucie *empire'u*. Sala głośna w całej Polsce i chyba każda szarmancka rada ją była co prędzej zobaczyć. Bynajmniej nie dla piękności budowli, ale z innego powodu. Malując Salomona w gronie nałożnic, zaktualizował pan Bacciarrelli biblijny temat obrazu. Nałożnicami Salomona zostały panie z society warszawskiej. Stąd temat do rozmów na wszystkich salonach: które to malarz wybierał i czy im do twarzy w kostjumach? Pan

Bacciarelli wybrał tylko pięć z pomiędzy pań warszawskich; na więcej, pomimo próśb usilnych, nie chciał się zgodzić. Szczęśliwemi nałożnicami króla Salomona zostały: ks. Radziwiłłowa z Arkadyi, jako że była śpiewaczką i poetką, kochanka królewska Sapieżyna, w. ks. litewska, jej córka Sewerynowa Potocka, siostrzenica króla Tyszkiewiczowa i wreszcie Krasicka i Gutakowska.

Przyległy gabinet zielony stanowił znowu jakoby mauzoleum miłości królewskiej. Bacciarelli i Kraft umieścili tu portrety kochanek królewskich. Nie wszystkich naturalnie, boby miejsca nie starczyło. Biały domek, przemiłe maleństwo, przypomina nieco Ludwikowy *Palais de Bagatelle*, tak jak ornamentyka pokoju kąpielowego zdradza pokrewieństwo z gabinetem Marii Antoniny. Wraz z pałacem samym upiększano też jego otoczenie. Pałacyk myśliwski, Pomarańczarnia i „*Le grand Commun*”.

A wreszcie dziwo: teatr na wyspie!

Cudzoziemcy ze wszęch stron świata podziwiali ową scenę szczególną, której kulisami były skały i drzewa, ruiny greckie stanowiły dekorację tylną, a scenę od widowni oddzielały wody kanału. Rząd gipsowych popiersi 16-tu pisarzy dramatycznych, dłuta Rhigiego, przydawał amfiteatrowi dostojęństwo. W repertuarze były przedewszystkiem tak ulubione przez króla balety; gondole iluminowane, podpływając pod gorejący światłami amfiteatr, zabierały baletników i opływały staw wśród piasów i pieśni. Wnuczka Conaletta, panna de Pertes, upamiętniła w kilku akwarelach kostjумы baletniczek, biorących udział w przedstawieniach. Widać tam, że dziewice owe ubrane były skromnie, bez nadmiernych dekolców, w toaletach po

kostki. W dziejach baletu dwa widowiska szczególnie się upamiętniły: „Kleopatra“ i „Porwanie Aspazji“.

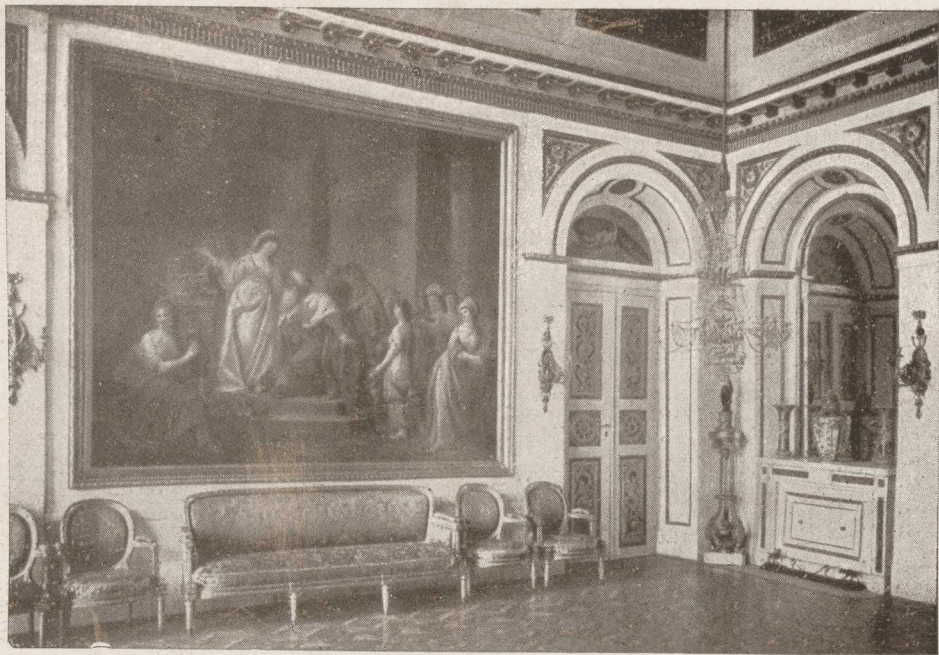
Teatr na wyspie wykończono ostatecznie w r. 1793. Do tego czasu przedstawienia odbywały się w Poma-
rańczarni, gdzie i biedny dramat polski znalazł cza-
sem przytulenie. Gdy w r. 1791 zamknąć musiano
w obawie przed katastrofą stary budynek teatru war-
szawskiego, pozwolił król Jegomość Imé Bogusław-
skiemu i jego aktorom, cieszącym się już od roku
tytułem „nadwornych“, dawać dwa razy na tydzień
widowisko w Łazienkach. Publiczność miała wstęp
wolny, a kosztą pokrywał król z własnej kieszeni.

W parku Łazienkowskim wszystko tu było tak,
jak chciał poeta:

... niech będą z cyprysów gaiki,
Mruczące po kamyczkach gdzieniegdzie strumyki,
Tu kiosk, a tu meczecik, holenderskie wanny,
Tu domek pustelnika, tam kościół Dyany
Wszystko to od niechcenia, jakby od igraszki.

Tu dopiero mogło używać do syta rokoko polskie.
Żeglowano po kanałach okwiecionemi bacikami, a wiej-
skie gry i zabawy, oraz łódkowanie przy księżycu
i muzyce miało wiele uroku.

W orszaku rozbawionych kobiet i dworzan, na
tle korynckich kolumn Łazienkowego perystylu, naj-
bardziej czuł się Stanisław August medyceuszem i naj-
bardziej królem. Lecz ileż planów pozostało nieziszcz-
onych! Do ostatnich dni królowania, do ostatnich nie-
mał chwil życia pieścił się król swem dzieckiem uko-
chanem. „Myśl o Łazienkach — pisał z Grodna —
jest jedyną rozrywką, jedyną osłodą pośród udręk,
które znosić muszę w tym czyścju, by nie powiedzieć



POKÓJ SALOMONA W ŁAZIENKACH

w tem piekle grodzieńskim“. Oderwany został od swej pracy, w chwili, gdy miał oglądać ją na ukończeniu, w chwili, gdy obmyślał plan wystawienia mauzoleum rodziny Poniatowskich w parku Łazienkowskim i cały szereg nowych budowli, pawilonów i upiększeń. Pisał do Bacciarellego o figarni, ananasarni, o świątyni, która ma stanąć na górze sztucznej, o jakiejś *l'église ronde* i wiele, wiele innych zamiarów architektonicznych marzyło się pięknoduchowi.

„Częste koncerty w Łazienkach — zapisuje nieoceniony Magier — oraz obchody uroczyste przy rzęsimstych iluminacjach parku, turnieje, rycerskie igrzyska. Wszystko to stanowiło dziwny odskok od ogólnej atmosfery przynębienia. Ale raz przecież zdarzyła się chwila, w której miasto całe uczestniczyło z serca w Łazienkowej wesołości, a działo się to w rocznicę odsieczy wiedeńskiej, w dniu poświęcenia posągu Sobieskiego“. Oddawna postanowił król dedykować Łazienki najczcigodniejszemu ze swych poprzedników. Wystawił mu grobowiec na Wawelu i posąg konny na łazienkowskim moście. Rzeźbiarzowi Pinckowi zalecono wykonanie monumentu, Fontana objął komendę nad całym przedsięwzięciem. Merlini obrał miejsce na moście, opodal zbudowano osobną pracownię dla Pincka, z której, po całorocznej pracy, wyszło dzieło wykute w jednym kawale głazu. Z „wymwoza“ w Szydłowcu wydobyto ten kamień olbrzymi, którego transport drogą lądową, zapomocą 70 par wołów i wodną, na olbrzymich galarach, trwał przez całą wiosnę r. 1787.

W setną rocznicę odsieczy, 14. września 1783 r. odbył się przesławny karuzel w Łazienkach, jedna z najefektowniejszych uroczystości za panowania króla Stasia. Naturalnie nie bez zachęty ze strony Petersburga.

Rosja chciała wpłatać Rzeczpospolitą w wojnę z Turcją i rozbudzić zamarłe już dawno entuzjazmy wojenne.

Opodal Białego domku zbudowano na placu Łazienkowskim obszerne i okazałe amfiteatrum z czterema łozami i tyluż bramami. Łoże były dla gości, bramy dla dokazywać mających kawalerów. Karuzel, balet, kolacja, oraz iluminacja składały się na całość uroczystości, na którą zjechało do Łazienek wszystko, co żyło. Senatory i Rada nieustająca, ministrowie narodowi i zagraniczni, komisje i urzędy Rzeczypospolitej. Paniom przykazano przywdziać białe suknie z pasową szarfą, oraz toki ze wstęgami, lub piórami. W pośrodku wysypanej piaskiem areny widniały drzewce z pierścieniami, tarcze do strzelania figur murzyńskich z papieru, oraz głowy Turków, które biegający wokoło całym zapędem końskim kawalerowie kopją i pałaszem zbierać mieli.

„Gdy król Jegomość w łoży zasiadł, dał pan „Konarski, pułkownik artylerji koronnej znak, aby „uderzono z harmaty. Zaczął się pochód. Jechali na- „przód trębacze z leibregimentu gwardji koronnej, „za nimi pułkownik Königsfeld, jako dyrektor karu- „zelowy w kolecie białym i szyszaku srebrnym z pió- „rami strusiemi. Potem pierwsze kadry z czterech „paziów z cyfrą Jana III. Kaszkiety srebrne mieli na „głowach, a w ręku kopie pozłacane. Drugie kadry „składało czterech kadetów, trzecie czterech paziów „litewskich, czwarte tyluż podkoniuszych Jego Kró- „lewskiej Mości, ci kaszkiety wdziali czarno szmelco- „wane. Piąte były kadry oficerów leibregimentu gwardji „koronnej, ostatnie szambelanów i adyutantów. Wszyscy, „przyjeżdżając obok łoży królewskiej, czynili powin-

„ność swoją uchylaniem oręża przed Królem Jego-
„mością.

„Potem rozpoczęło się przyzwoite stanom rycer-
„skim igrzysko. Biegali paziowie dla zbierania pier-
„ścieni, strzelali z pistoletów do figur murzyńskich,
„ścinali im głowy pałaszami lub podnosili z ziemi na
„kopiach; to powtarzało się po trzykroć z powszech-
„nym u wszystkich spektatorów poklaskiem. Na koniec
„potykali się ze sobą rycerze, strzelając i siekąc się
„w pałasze. A wreszcie rozgorzała bitwa ognista
„i wojenna z zamieszką wszystkich uczestników.
„Trwał karuzel 5 kwadransów. Poczem król udał się
„do nowego teatru na kantatę i balet heroiczny, gdzie
„ujrzano jakąś zarówno obszerną, jak wzruszającą
„historię z czasów starożytnych. Czułe płakały damy,
„widząc przygody miłosne Agathysa z Cephalidą
„i Parmenona z Elianą.

„Chwalebna ciekawość tak pięknego widowiska
„sprowadziła do Łazienek, prócz około tysiąca powo-
„zów, tak wiele ludzi różnego stanu, że napelnili
„i okryli wszystkie pagórki okoliczne. Można by śmie-
„powiedzieć, że do 30 tysięcy głów tam się znaj-
„dowało“.

Wieczorem zajaśniały Łazienki kilkudziesięciu
tysiącami lamp kolorowych w różne kształty ułożo-
nych. I nastąpił wydział nagrody dla rycerzy, oraz
kolacja na 300 osób, w czasie której „król raczył
łaskawie obchodzić gości swoich, do dobrej myśli
ich zachęcając“. Wspaniały i kosztowny fajerwerk,
„wypuszczony przy odgłosie harmat“, zakończył uro-
czystość. Różne sztuki ogniste na wodzie i na lądzie
bawiły przez pół godziny spektatorów, wydawszy na

ostatku bukiet z kilku tysięcy rac złożony. Tak umieli się bawić ludzie z dworu króla Stasia.

W Łazienkach miały też miejsce owe dziwne bale maskowe, kostjumowe spacer y i teatralne festi-
vale, w których naturę całą w teatr przemieniono. Wyobrażenie o tem, jak bywało w Łazienkach, daje
poniekąd zabawa, urządzona na przyjęcie króla w lecie
w r. 1777 w Puławach, u Czartoryskich. Po szeregu
uczt, iluminacyj i festynów odbył się tam spacer
„perspektywą umyślnie wycinaną wprost od Puław,
więcej pół mili. Zastał tam król jmc. pospólstwa kilkaset
zgromadzonego, salon umyślnie wystawiony, z galeryą
na górze. Przy nim koło rzeczki z kamieni darniem
przykrywanych, zrobiono kanapy, do których przez mo-
stek z prosta sporządzony, przechodzić trzeba było“.
Zobaczmy jednak, co się w lesie samym dzieje. „Na
łące długiej drwa, w stos ładowane, kilka sztuk bydła
i owiec, przyczem chałupa z darnia wystawiona, z któ-
rej pokazał się z aktorów francuskich ubrany stary
holender z żoną jeszcze późniejszego wieku. Gdy król
usiadł, holender z żoną zaczęli się troskać, czemu
króla zabawili i tak jedno od drugiego obligowane,
wzbudzali sobie głos do śpiewania piosneczek fran-
cuskich. Niezmiernie król tem był ukontentowany“.
Wówczas holendrzy „naczynia podali gliniane i łyżki
drewniane, prosząc, aby nie gardził tem, czem go mogą
częstować“. Dalej jeszcze w las idąc, król „usłyszał
dzwonka echo, a nakoniec trafił na eremitorium i pu-
stelnika w niem mieszkającego“. Obok pustelnika
stał krzyż nachylony, mchem obrosły, sadek, pasieka,
studnia umyślnie zrobiona. Po tym spacerze wszczęły
się tańce przy huku armat i iluminacji.

Na łazienkową siestę patrzali przeciwnicy Stanisława Augusta ze zjadliwym przekąsem. Kitowicz opowiada z świętem oburzeniem o zwierciadłach, które król sobie kazał przy łożu sypialnem w Łazienkach ustawić, „ażeby oczami dopomagał innym zmysłom”. Opowie, jak król „bezpieczny pod protekcją Moskwy, składał radę na wiele województw poćwiartować kawałek Polski zostawiony i coby jeszcze przydać do ozdoby Łazienek”. W Łazienkach — szydzi jakaś beimienna broszura — używa król świeżego powietrza, zdrowszego, aniżeli to, które w sali sejmowej często bywało napełnione „merkuryuszem”.

A on, naprzekór przegryzkom, był tak tu szczęśliwy, jak Marja Antonina w Trianonie, Ludwik Bawarski w Chiemsee, a Eugeniusz Sabaudzki w swoim Belwederze. Nie darmo przecież w medaljonie, zdobiącym sufit przedsionku Łazienek, napisano: *Haec domus tristitias odit*. Gdyby nic więcej nie zostało po ostatnim królu dawnej Rzeczypospolitej, gdyby zaginęły wszystkie dobre dokumenta, świadczące o szlachetności, jego intencji i oświeceniu, owo jedno dzieło sztuki, najpiękniejszy zapis w testamencie Poniatowskiego — zmaszczyć mogło wiele innych win ciężkich, których dopuścił się wobec historii.

Łazienki są poematem i symfonią, są kapitalnem dziełem króla artysty. Nie urosły wprawdzie na miarę tego czynu artystycznego, o który zaklinał sztukę polską Norwid, wołający:

„Gdyby się swojski duch raz wytłumaczył,
„Usymbolicznił rozkwitłemi znaki...”

Podobnie jak salon warszawski XVIII. wieku są i Łazienki nietyłe dziełem sztuki polskiej, jak raczej

dziełem sztuki w Polsce, ale tworem największym, na jakie zdobyła się stojąca nad grobem Rzeczpospolita. I jeszcze czemś więcej: błogosławieństwem dla tej „Polski rozkwitającej”, ku której tęskni w przedśmionku rzeźba Merliniego.

Łazienki są poematem i symfonią. Jakże bezmierna skala tonów i bujność akordów, jak nienasycone bogactwo kształtu i barw! Oto epickie dostojęństwo figur marmurowych w niszach, oto *bel canto* plafonów, godnych chyba Trianonu. Każdy drobny lichtarz zachwycą gładkością linji, intarsja każda, fresk i supraporta jest tonem jednym w pysznym rytmie barw i kształtów, a wszystkie stiuki rozrzucone uczestniczą w chórze pieśni na cześć życia.

Zmącą się już wkrótce pieśni tej kaskady i odmieniają akordy, skryją się w żałobie stada łabędzi białych, a wicher północy rozhula wpośród drzew parkowych... Poemat dumny stanie się bajką smutną, którą przez wiek cały opowiadać będzie park łazienkowski: o Polsce świetnej i wzorzystej, która kiedyś była, o królu wytworniszu, co miał duszę słabą. Opowiadały Łazienki bajkę swą Belwederczykom, opowiadały Wyspiańskiemu i słuchać jej będą długo pokolenia!

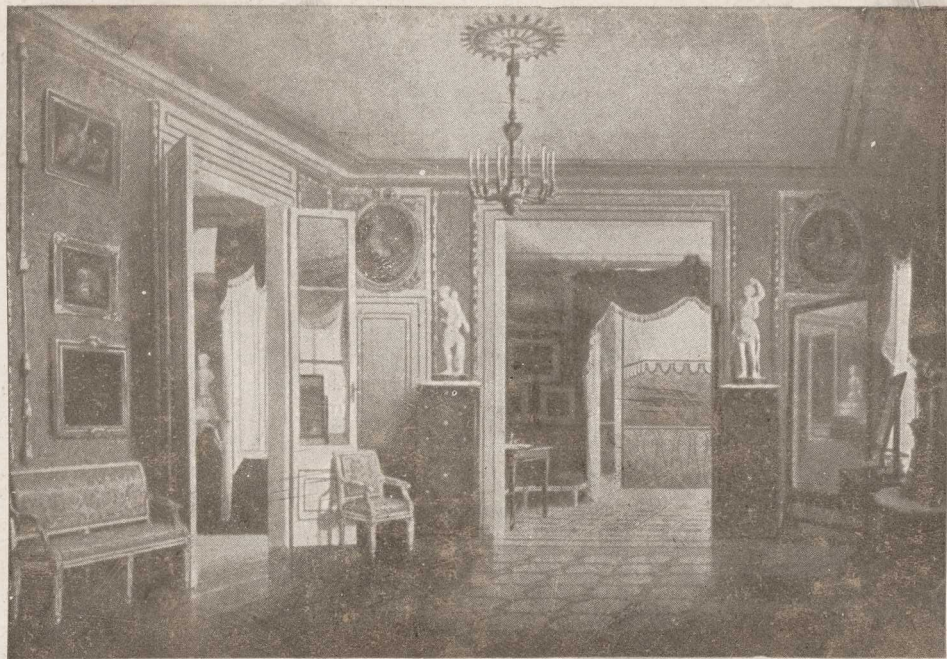


WŚRÓD DWORAKÓW I DWOREK.

*Dobrze być filozofem, ale w gabinecie
Bądź wietrznikiem, na wielkim kto chce znaczyć świecie !
Zabłocki.*

THE HISTORY OF THE

THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE



SYPIALNIA KRÓLEWSKA W ŁAZIENKACH



opalają się świeczniki, bo pół-
noc minęła dawno. Baletnicy
włoscy skończyli swój pro-
gram, przy faraonie też niema
nikogo. A oni siedzą ciągle,
ślęcząc gorliwie. Nawet roz-
mów i wesołości niewiele,
chyba czasem szczególnie

łykliwe *bon mot* rozśmieszy kompanję zapracowaną.
Czem są tak zajęci, pytać nie trzeba, bo rzecz ro-
zumie się sama przez się: parfilują. *Veux-tu des ta-
lents pour la cour?* Jeśli chcesz je znać, to wypada
wiedzieć, że najmodniejszym talentem jest umiejętność
parfilowania. Bierze się tkaninę złotą, albo kobierzec,
lub wreszcie galony, czy frędzle i psuje się, wyciąga-
jąc z nich nitki złote i srebrne. Chodzi o to, aby
spruć jak najwięcej, potem się nici spienięża i otrzy-
muje cenę, częstokroć... dziesięć razy mniejszą od
wartości zniszczonej tkaniny. Więc pocóż to robić?
Jakto poco? Przecież tak dzieje się w Wersalu, który
jest wyrocznią. Parfilowanie stwarza pozory pracy,

daje zajęcie rozpróżnionym palcom i uspokaja nerwy przyjemnością niszczenia.

Na dworze Poniatowskiego należy parfilaż do rzędu zabaw nadewszystko ulubionych. Parfiluje kto żyw w socjecie łazienkowej, obcina się epolety u mundurów i złote obszywki fraków, sprowadza tyśiące metrów złotej lamy z Holandji, niszczy szale i gobeliny. I śpiewa się :

*Vive le parfilage !
Plus de plaisir sans lui
Cet important ouvrage
Chasse partout l'ennui !*

Dopalają się świeczniki, północ minęła dawno, a oni wciąż zajęci parfilowaniem. Pracują długo, wytrwale i cierpliwie, to też napruli wiele najszczerzego złota, a koniec pochwalił dzieło : spruli dwór, króla i Rzeczpospolitą, sparfilowali Polskę całą doszczętnie.

1. W URZĘDZIE MARSZAŁKOWSKIM.

Wspomnienia sielanki wilanowskiej i dworu królowej Marysienki zatarły się już w mroku dziejów, bo przecież sto lat już prawie minęło od tego czasu. Rządów saskich nie było też co wspominać. Od lat blisko 70-ciu zapomniano, że bywał polski król i polski na warszawskim zamku dwór ! Dlatego na ściełające się znowu gniazdo piastowskie patrzyła zrazu Rplta z rozczuleniem, z tak wielkiem rozczuleniem, jak gruntowne było potem rozczarowanie. Zaroilo się na Zamku od pierwszego dnia elekcji i rojno miało być aż do końca. Dwór Stanisława Augusta, prawie tysiąc

osób liczący w swym składzie, był nowością od czasów renesansu, nowością była ciżba próżnujących i weselących się na Zamku dworaków, chociaż zaznaczyć trzeba, że królowy splendor błędną wobec innych dworów magnackich, wcale nie dorównując ani Białemu Stokowi i Puławom, Ogińskim i Sanguszkom. Obaczmy teraz, jak było na królewskim dworze.

Zarząd domicilium królewskiego spoczywał w ręku urzędu, zwanego dziwacznie z niemiecka „marszala mbtem J. Król. Mości“. Należeli do tego urzędu marszałek dworu, wice-marszałek, regent kancelarii królewskiej, adjutant przyboczny, oraz dla honoru odpowiednik królewski i kaznodzieja. Wiemy zatem, kto ster trzymał: pan Karaś i pan Aleksandrowicz, Jacek Ogrodzki, pan generał Komarzewski, ks. Sliwicki i ks. Lachowski. Urząd marszałkowski troszczy się jeno o domowe sprawy, podobnie jak kamera królewska, niby izba obrachunkowa, w której pan Karaś przewodniczy, a Roch Kossowski najpierw, potem Dziekoński i Ostrowski są podskarbimi. W departamencie doktorskim rej wodzi leibmedyk wieloletni, pan Becker z Bergonzonim, jest wreszcie departament biblioteczny i dozoru sztychów, a na ostatku kuchnia, piekarnia i kredens, cukiernia, stajnia i piwnica.

Sprawy publiczne należą do gabinetu królewskiego. Podzielono go na pięć dyrekcyj, którym przewodzą: Dzeduszycki, Kiciński, Badeni, Ghigiotti i Glaire, ale dyrektorem nad wszystkimi był do śmierci Jacek Ogrodzki, a potem „Kicio“ kochany, *alias* pan Kiciński. W kancelarii wojskowej króla, gdzie mało mówi się o wojsku, a więcej o kroju paradnych mundurów i obsadzie wakansów — siaduje codzień generał Komarzewski, faworyt i adjutant przyboczny. O panu

generale gadki chodziły, że potrafi wypić za jednym posiedzeniem kosz szampana. Pan Komarzewski, człowiek poczciw i stateczny, śmieje się wciąż kurczowo, spazmatycznie rzucając głową na wsze strony, a przeto nie ma miru u pazików, płatających mu ciągle psie figle.

Dwór właściwy składa się z 18-tu urzędujących szambelanów, 5-ciu kamerjunkrów, 12-tu dworzan, oraz z departamentu paziów, pod wodzą pułkownika Königsfelda. Naczelną nad wszystkiem komendę dzierży marszałek dworu królewskiego. Dawne dwory polskie nie znały takiego urzędu, który dopiero Stanisław August ustanowił. Przez lat trzydzieści było czterech marszałków. Pierwszy — imć kasztelan Karaś, totum-facki starego Poniatowskiego, a króla młodego mentor, stąd też cała familja Karasiów w łaskach wielkich. Pan kasztelan wiski, niezbyt życzliwy modnej galanterji, prowadził on dwór ze splendorem, ale po staropolsku. Reformy w tej mierze wprowadził dopiero od r. 1775 *grand maitre* i pisarz koronny, Franciszek Rzewuski. Tego poznać musimy. Zcudzoziemczały sybaryta, gdyż większą część życia spędził zagranicą, głośny był ze swych dziwactw w całej Warszawie. On właśnie używał sześciu kołder do spania, które to przybliżały się, to oddalały w miarę temperatury. Krok w krok za panem nosili wyfryzowani lokaje wiele ubrań i surdutów na wypadek odmiany wietrzyka. Leniwy przysłowiowo, zarozumiały ponad wszelką miarę, bał się panicznie „ćmów, owadów, bakcyliuszów“, masła nieświeżego i surowych owoców, a w swem mieszkaniu na Zamku urządził pierwszą w Polsce windę. A przytem wojażer światowy, znawca antyków i angielskich ogrodów. Tenci to człowiek przybrał życie dworskie w jeszcze jaskrawsze i rozrzutniejsze

kolory, niż się samemu królowi marzyło, a kupując srebra, zastawy i meble, sekundował królowi dzielnie w rozrzutności. Pyszałka dumnego wyruguje ze dworu dopiero ks. prymas Poniatowski. Z jego poduszczenia zażądano od *grand-maitra*, iżby swych apartamentów w Zamku ustąpił na połów pani Mnischowej, siostrzenicy królewskiej. Rzewuski i tak stropiony, gdy nie został marszałkiem w. kor., choć się nim tytułuje, obraził się do reszty i, opuściwszy Polskę, zamieszkał odtąd na zawsze w Paryżu w Palais Royal. Skromniejszym nierównie był jego następca, pan Aleksandrowicz, kasztelan podlaski, po którego śmierci znów hetmanił urzędowi dworskim pan Kicki, łysy, przystojny i gadatliwy szwagier króla (żonaty z siostrą pani Grabowskiej).

Miał o kim myśleć i kim rządzić urząd marszałkowski. Z górą trzysta osób na codziennej służbie przy majestacie. Od przysieni aż do poddasza pełny Zamek królewski wszelakiego dworactwa. W przedpokojach błyszczą srebrne słońca i ponsy koletów: to trzyma odwach gwardja Mirowskiego pułku z odznakami w kształcie słońc srebrnych na piersiach. U wejścia dogląda osób wchodzących furjer w ponsowej liberji, który też zwozi gości, wzywanych na audjencje.

Innej służby ciżba ogromna. Dwunastu lokajów liberyjnych i tyluż hajduków w płaszczach białych chodzi tu i tam, a wszyscy strojni i zgrabni, gdyż sam król obmyślił krój liberji i wzory galonów, wykonanych potem w grodzieńskiej manufakturze. A iluż poza służbą! „Tabella expensy generalnej“ z lat 1764—1767 wylicza jak następuje: 18 dworzan, 3 furjerów, 6 kamerdynerów, 2 kamerlokajów, 4 biegunów, 4 pajuków, 3 strzelców, 15 lokajów, 12 hajdu-

ków, 18 majtków, oraz 1 frotter, czyli razem osób 107. Nadto murzyn Jean Ledoux, gwoli osobliwości i turek Kirkor, z którym dogadać się potrafi chyba tylko pan Crutta, tłumacz mowy bisurmańskiej.

Sługusom króla Jegomości wie dzie się doskonale. Obiadujący u króla, musiał służbie zostawić co najmniej 70 czerwonych złotych, nie dziw więc, że ks. biskup Kossakowski narzeka w swych pamiętnikach na „znakomitą ekspensę“ w tej mierze. A była ona konieczną, skoro lokaje stawali się „famiarni i pozwolone mieli ucho u króla, jako szpiedzy i donosiciele wszelkich bajek miejskich“.

Spojrzymy teraz wyżej — ku dygnitarzom, których pułki całe! Nie zliczyłby wszystkich, wysoce utytułowanych szambelanów, podkomorzych, fliegeladjutantów, radców dworu, konsyljarzy! Gdyby kiedy wszyscy naraz na Zamek zjechali, napewne miejscaby nie stało. Stanisław August rozdawał przecież z dzieciinną szczodrością tytuły. Szczególne utrapienie było z szambelanami, wielu z nich już nie dworu, ale wogóle Polski nigdy nie widziało.

Byle sowizdrzałowi, co wiatry gonił po świecie, a raz o Polskę zawadził i o tytuł się przymówił, król pisać kazał przywilej szambelański. Za Augusta III. było ich tylko ośmiu, teraz namnożyło się rzeczywistych do dwudziestu, (za wzorem dworu Ludwika XV.), a liczba tytularnych sięgała chyba tysiąca! Zaczem godność ta poszła w zupełną poniewierkę. Za kilkadziesiąt dukatów mógł każdy szlachcic nabyć u Ryxa dostojęństwo klucza, a całkiem bezpłatnie dostawał ów tytuł lada awanturnik bez urodzenia, może z pod szynku lub sklepu korzennego zagranicą, któż go wie, wycierus. Służbę czyniących szambelanów

bywało razem sześciu, a brali pensję po 50 dukatów rocznie.

Podróżnik Hacquet opowiada z tej racji arcy-żłośliwą anegdotę o królu, który, proszony przez jakiegoś obwiesia o nadanie orderu, miał rzec:

— Czy mogę Waści prosić o jedną grzeczność?

— O wszystko w świecie! — zawołał odznaczony.

— Oto gdy cię wieszać będą, racz przedtem zdjąć ten order!

Paziki biegały zwinnie przez komnaty. Było ich dwudziestu czterech, liczba wcale niewielka w stosunku do Wersalu np., gdzie ich liczono aż 150. Każdy pysznił się ponsem opiętego surduta, z zieloną bortą i galonem, za pasem nosił kordelas, a umiał z gracją kapeluszem z piórem pawiment zamiatać. Paziowie mieszkali spolem w pałacu Karasia pod opieką swego „oberhofmistrza“. Synowie rodzin zamożnych nie pobierali płacy żadnej, mając za to na widoku promocję do gwardji na oficjera lub koniuszego. Optywali w prezenta. Ilekroć ofiarował komu król order czy przywilej, paziowie z tem jechali, pewni sutego gościńca. Tak np. pazik, który Stackelbergowi zawiózł karetę w prezencie od króla, dostał za to od pana ambasadora pierścień wartości 500 dukatów, czyli większej, aniżeli cała karetą.

Niefrasobliwość i wdzięk codziennego życia objawia się także w tonie, używanym wobec pokojców i służby. Miękki i dobrotliwy król „pasjonował wprawdzie w domowej osobności i kłął djabłami bez liczby“ — ale w istocie pobażał wszystkiemu. Wiedzieli wszyscy: król do karania leniwy, do nagrody skory. Figlów paziowskich bywało zawsze coniemiarą i to nawet w obliczu majestatu. Jeden taki urwisz

stanie sobie za królem, piszącym coś przy stoliku, i nuże pszczołę udawać. Król za pszczołą w pościg, szuka jej po pokoju i długo się tak zwodzić daje. Inny znowu cichcem w nocy wymyka się na redutę, postawiwszy na swoje miejsce bałwana w liberji. Podstęp się odkrywa, winnemu król dobrotliwie przebacza. Znana jest też historia, kiedy to pana Komarzewskiego do domu obłąkanych złośliwi paziowie odwieźli. A chyba żaden suweren nie słyszał takiej odpowiedzi z ust kamerdynera, jak owa, którą Brunet dał raz królowi. Zdarzyło się, że w gabinecie królewskim dym zawiewał z kominka i nie ustawał pomimo otwartych drzwi. Zniecierpliwiony król powiada wreszcie do Bruneta:

— *Que deviendrai - je dans cette fumée?*

Na to Brunet z uśmiechem:

— *Jambon, Sire!*

Król porwał się z krzesła, Brunet czempredzej za drzwi uciekł i na tem się skończyło. W czasach, w których nawet w Puławach u Czartoryskich pokojowcy dawnym zwyczajem brali jeszcze plagi od marszałka na rozłożonym kobiercu, tu na dworze królewskim, nawet w stajni nie wolno było chłostać ludzi. Najcięższą już karę stanowiła ośła głowa żelazna, ważąca 25 funtów, którą skazany musiał nosić na ramionach.

Można sobie teraz wyobrazić, jak niewiele robili sobie z majestatu wielmoże, bliżej dworu stojący i to tacy, z którymi król liczyć się musiał. O swobodzie tonu świadczy fakt choćby taki. Ks. biskup Kossakowski, podchmieliwszy sobie mocno gdzieś na mieście, idzie na Zamek, wali wprost do komnat królewskich, a obaczywszy obecnego tam Chreptowicza, wszczyna



ZYGMUNT VOGEL: WIDOK LAZIENEK

z nim na oczach króla awanturę. Nazajutrz wielkie przeprosiny, a król jeszcze „kontent z otwartości“.

Najnieznośniejszym wszelako urzędem, same tylko troski sprawiającym królowi, była kamera rachunkowa. Jej dobry duch, to podskarbi Roch Kossowski, o którym, że się do jego żony król umizgał, była gadka taka: „Żonę ma ładną jak bożek, przydomek dają mu rożek“. Wszelako ze zmartwień rychło wyłysiał pocciwy podskarbi, bo wydołać wydatkom króla i dworu, przechodziło możność człowieka. O rozrzutności Stanisława Augusta krążą legendy, a gdy prof. Korzon zabrał się do skrupulatnego sprawdzania rachunków, rzeczywistość przeszła oczekiwania. Abdykując, zostawił król 30 milionów złp. długu, a ile ich wydał w ciągu rządów, tego nikt nie zliczy. Był pod tym względem rozrzutny jak dziecko, niepoczytalny, niczem manjak. Choć dwukrotnie wzrosły dochody Rzeczypospolitej w okresie Stanisławowskim, pieniędzy brakowało zawsze. Tedy pożyczka król Jegomość, gdzie się dało: od żydów i u karmelitanek, od kochanek swych i lektorów. A przede wszystkim u wszystkich dworów. Jeden tylko Fryderyk Wielki umiał oprzeć się atakom. Spostrzeżono zaraz po koronacji, jak lekko poczyną sobie młody król z pieniędzmi. Oto na znak, że podobał mu się festiwal na Wiśle, przeznacza sześciu pannom, które przebrały się za syreny — stałą i dożywotnią pensję miesięczną. Śpiewaczka Todi dostanie za jedną piosenkę 4.000 dukatów, za to na wypłatę „salariorów“ dworskich często nie wystarczy. Trudno tem się martwić, lecz gdy mu przyjdzie zwinąć trupe włoską i francuską, napisze zirytowany do pani Geoffrin: „za to, że oszczędzę na teatrze, nie wystawię przecież armji!“ A ludzie grabią go, jak mogą. Raz

n. p. szambelan Bronikowski pojechał do Anglii z misją ubezpieczenia króla. Wziął na to 30.000 dukatów, wrócił z niczem, oddał ledwie dziesiątą część, a o resztę nawet go nie pytano. A ile kosztowało jedno polowanie na żubry w Białowieży, albo wszelkie „ekspensa“ na kobiety, wino i śpiew! *J'aime à donner*, powiada król w swym auto-portrecie, więc rozumiemy, czemu doszczętnie wyłysiał pochylony nad rachunkami podskarbi tego władcy, który w ciągu dnia jednego wydawał przeciętnie 6.000 dukatów! I znowu niech mu przebaczy duch czasu. Wszakże Ludwik XIV. czynił tak samo, a kłaniał się nisko lichwiarzowi Samuelowi.

2. PAN RYX I PAN TREMO.

Ponad ozdobione tytułami dostojęństwa i jaśnie oświecone splendory wznoszą się u dworu dwaj ludzie i daremnieby kto usiłował wpływ ich przeważyc. Pan Ryx i pan Tremo. Pierwszy kamerdyner i pierwszy kucharz króla Jegomości. Spadało i wywyższało się dworactwo na drabinie łask, rzuciła ludźmi jak piłką wola królewska, utraciła intryga, pogłębiała, to znów awansowała aktualna konfiguracja *in politicis*. Innych, ale nie tych dwóch. Przez cały ciąg królewskich rządów, przez wszystkie cztery klimaktery ostali się: zawsze konieczni i nieodzowni, pierwsi i najpotrzebniejsi. Pan Tremo i pan Ryx. I nie mogło być inaczej. Nie zjadłby nic król Jegomość i nie byłby ubrany, jak należy, gdyby nie oni. Co dziś będzie na obiad, było u dworu problemem poważnym. Któż problem ten rozwiąże? Jeden tylko pan Tremo. A skąd wziąć gotówki, gdy jej brakło nagle? Jak wymotać majestat

z przygody erotycznej? Komuż wreszcie pamiętać o wszelakich drobiazgach, z których się życie na codzień upłata? To był wydział Imć Ryxa.

Zarysowały się później między oboma różnice. Porósł szybko w pierze i fortunę pan starosta piaseczyński i butnie nosił głowę do góry, pan Tremo zaś zostanie zawsze, czem był od początku i wraz z bratem Żakiem stwarza istne ucztę Gargantuy. Człek poczcwi, syna będzie miał w legjonach dzielnego. Włada kuchnią, piekarnią, piwnicą, cukiernią i kredensem, dowodząc kompanją 70 prawie osób, kucharzy i pasztetników, „rotisserrów“ i cukierników, liwerantów, klucznic i pomywaczek. Ilość nie nadmierna, skoro zważymy, że król już jako stolnik miał pięciu kucharzy na swe usługi, a na sejmie konwokacyjnym zwrócił na się uwagę szlachty smakowitością podawanego jadła!

Wiemy już, jakie przysmaki lubił król nadewszystko, pan Tremo wiedział o tem jeszcze lepiej. Dwór bez niego nie ruszył się nigdzie: do Wiśniowca i do Kaniowa brano go z sobą, potem do Grodna, wreszcie do Petersburga. Tak się był zaś król do zasad kulinarnych Tremona przyzwyczaił, że już na wygnaniu, w czasie obiadu u cara Pawła, westchnie: „Cóżbym dał za to, gdyby i Tremo zaproszony był do cesarza na obiad!“ W jakiś czas potem Tremo dostał zaszczytu gotowania obiadu dla cara, a król nie posiadał się z radości. *Menu* obiadowe bywało zawsze przedmiotem długich deliberacji. Biada wszelako człowiekowi, ganiącemu obiad, smakujący królowi. Takiej odwagi dokazał brygadjer Jakubowski, grubas francuski, lubiący bardzo „trufelki, cynamonek, szafranki i cze-

koładki". Śmiałość tę przyszło mu widocznie potem odpokutować, o czem świadczy wierszyk z ekskuzą:

Surową Pana przerażonym miną!...
Wszyscy mi rzekli, że to moja wina.
Jam zgrzeszyć nie chciał, rzekłszy, że pospołu
Dwom nam podano twardszą sztukę wołu,
Ślinę tykałem na tę z pasternakiem
I w smak mi poszedł rozbeł z kilman-rakiem.
To prawda, rzekłem, ale bez uwagi,
Żem nie skosztował jeszcze czamanagi,
Daruj królu...

Gdy od czasu afery Dogrumowej nabił sobie król głowę obawami otrucia, pan Tremo stał się jeszcze niezbędniejszy. Król nie obiadował nigdzie, nawet u ks. podskarbiego jeść nie chciał, wierzył tylko kuchni swego Tremona, a ceremonia uprzedniego próbowania pokarmów była niemal tak dokładna, jak kuchenne *essays* za Ludwika XVI.

Wszechwładny Franciszek Ryx (* 1732 † 1799) zdobył sobie szczególną przy królu pozycję, niczem później Napoleoński Constant. Szkoda jeno, że choć ortografia szła im ciężko, nie zostawił, jak tamten pamiętników, bo wielce zajmujące są dzieje człowieka, który z biletera stał się dyrektorem teatru, a z kamerdynera — jaśnie panem starostą! Szalonym sprytem i znajomością ludzi obdarzony być musiał ten czeladnik fryzjerski, z Flandrji rodem, który chłopcem małym dostał się do Polski na dwór podkanclerzego Sapiehy i tu cesał pokornie książęce peruki.

Jeszcze przed elekcją zetknął się gdzieś ze stolnikiem. (Jedni twierdzą, że w Paryżu, inni, że rekomendował go kuzynowi ks. Adam Czartoryski). Zorjentowawszy się w miękkości charakteru nowego pana

i zwęszywszy dobre dla się widoki, usiadał szybko Stanisława Augusta. Nie poszło mu to łatwo. „Prawo król w pysk o lada niedogodność, a, iż guzy i kułaki, od króla oberwane, nigdy mu bez basarunków dobrych nie przysychały, dlatego często się na nie narażał” (Kitowicz).

Pierwszy szczebel kariery stanowi rzemiosło intratne, niewstydlive zresztą wówczas nawet senatorom ni hetmanom. Jest tedy zrazu monsieur Ryx, który do końca dobrze pisać po polsku się nie nauczy, „plejzerów miłosnych króla najsprytniejszym rajfurem”, ale szybko rozszerza agendy, ciągnąc zyski ze sprzedaży orderów i kluczków szambelańskich. Tak samo jak ów fryderycjański, napędzony zato lektor mr. Catt, ale z większem szczęściem i powodzeniem.

Dzięki ogromnemu sprytowi finansowemu Ryx dochodzi wkrótce do majątku. Mówią o tem w Warszawie jak najgorzej. Że doprowadził do ruiny kilku kupców cudzoziemskich, że wiódł szalbiercze, krzywoprzysięskie procesa, że oszukał szwagra swego Collignona, wyłudziwszy odeń za póżdarmo pałac pod Blachą, aby go sprzedać królowi i wiele innych sprawek nieczystych. Z kamerdynera posiadł się wkrótce wyżej. Już wtedy nie w smak panu staroście piaseczyńskiemu podawać szaty królowi, zostawia sobie tylko jedną czynność: przypina orderu ubranemu już królowi. Z czasem stanie się kasą podręczną króla i wszechwładnym administratorem jego finansów. Do tego doszło, że gdy król pieniędzy na rewers potrzebował i szambelanów na miasto rozsyłał, wówczas zastrzegali się żydkowie, że tylko wtedy waluty nie poskapią, gdy *ryx*, a nie *rex* na rewersie podpisany będzie!...

W przedsięwzięciu teatralnem zaczął także Ryx od małego. Kiedy na Zamku urządzono pierwszy teatr francuski, gdzie grały namiętna teatromanka pani de Nassau z domu Grodzka, oraz Sewerynowa Potocka, pan Ryx grzecznie sprzedawał bilety u wejścia. Tu zwięszył świetne profity. Powodzenie Tomatisa, który zrobił majątek na wprowadzonej do Warszawy operze włoskiej, dodało mu bodźca. Nabywa tedy przywilej teatralny od zniechęconego Sułkowskiego, łączy dramat z operą i baletem i wraz z baronem Kurtzem, wiedeńskim obieżyswiatem bierze kierownictwo teatru na Nowym Świecie. Kiesa królewska i pomoc zapewnione, impreza pomyślana sprytnie, przeprowadzona energicznie. Z Włoch jadą głośne gwiazdy Campa-nucci i pani Bonafini, Warszawa poznaje nieznanego sobie dotąd rodzaj *operę serio*, a Ryx — dzięki potrojnym cenom miejsc — zgarnia góry złota i zdobywa powodzenie, o jakim się nigdy ani śniło Bogusławskiemu. Rozgoryczony ojciec dramatu polskiego w swych pamiętnikach, porówna potem ten entuzjazm Warszawy z greckim zapałem dla igrzysk olimpijskich! Ryx stojąc zdala od właściwego kierownictwa, zachował sobie tylko najbardziej lukratywną część imprezy: przywilej i płynące zeń korzyści. W dziesięcioleciu 1776—1786 spotkamy osobę jego we wszystkich przedsiębiorstwach i próbach dotyczących teatru. Pra-ojciec dzisiejszych agencji koncertowych nie kryje się wcale z tem, że wcale mało mu zależy na artystycznej, a cóż dopiero narodowej idei! Co straci na dramacie, odbija zaraz na balecie. Jak zrazu dorobił się grosza na operach „*Didone abandonata*” i „*Eurydyka*“, tak później powiodły mu się występy umyślnie sprowadzonego głośnego tancerza Pica. Wiedział też,

jak szukać w mieszkach błękitnych. W początkach samych wspomaga Ryxa marszałkowa Lubomirska, potem magnaci sypią szczerze złotem na balety. Wystarczy wspomnieć o amfitrjonie gwiazd opery Marcinie Lubomirskim, który kosztem 50 tys. złp. wystawił balet „Sąd Parysa“, sprowadziwszy kostjumy z Paryża. W tym samym czasie dramat polski grzeje się przy jednym piecu, w mizernej sali na placu Kasińskich i coraz przerywa przedstawienia z biedy. Gdy w r. 1785 wybuchła afera trucicielska pani Dogrumowej, a wmieszany w sprawę Ryx dostał się do więzienia w klasztorze Paulinów, wtedy przygasa silnie jego gwiazda. Ale tu także dowiedzie swego sprytu, ujawniwszy na sali sądowej dużą kulturę literacką, (przez przypomnienie opartej również na niedosłyszaniu sprawy aresztowania pana Scudery, autora romansu „Cyrus“), ale to mu dawnych splendorów nie wróci.

Wywiozą potem nieszczęsnego króla do Petersburga, mocarstwa zaborcze płacić będą długi jego, lecz dalej w Warszawie pozostanie *natus et possessio-*
natus pan starosta piaseczyński, właściciel majątności wielkich i kapitałów, żonaty z równie wpływową Imć panią Ludwiką z Melinów, Imć Ryx, kułakowany ongiś fryzjerczyk flandryjski.

3. FAWORYCI, WIELMOŻE I ŁUSZCZYBOCHENKI.

Bez wielu innych odbędzie się assambl i gala dworska, ale bez księdza biskupa smoleńskiego nigdy. Gdy go czasem niema w Warszawie, to musi przyje-

chać, król prosi i każe, bo się tak przyzwyczaił, a zresztą kocha „Narucha“. Nawet do Kaniowa razem w jednej pojadą karecie. Ks. biskup Naruszewicz, człek wysoki, twarzy niepięknej, chudej, miał nos jak spłaszczoną trąbę, włos lisowaty, bardzo nieokrzesane maniery i wcale się z tem nie krył, że wiejską plebanję z węgryzmem, tabaką i dziewczuchami woli stokroć nad woskowane pawimenty pałaców.

Nie dworak modny, ale raczej mnich ubogi, w poplamionym kabacie, puklu z tyłu grubym i portarganym. Zato jowialny aż do zbytku! Mieszkał przez siedm prawie lat nad pokojami królewskimi w jednej izbie wraz ze służącym. Boże zmiłuj się, jak tam brudno! Żelazne, rzadko prześcielane łóżko, podobniejsze do barłogu nędzarzy, stół przedwieczny, pełen foljantów i ksiąg, portret króla na prostej ścianie i dwie szafy dębowe, oto całe mobilium poety i historyka, który nie uznawał imperatywów wytwornego czasu. Powoli przyzwyczajają się dwór do sarmackiej rubaszości Narucha, wiedząc dobrze, że on bardziej kocha Horacego, niżeli brewjarz i ornaty, a nie wiedząc, że ten człowieczek, jeden z niewielu, utrzymać potrafi do końca godność narodową bez szwanku. Niechby tylko wierszy swoich „miodopłynnych“ nie czytał, w których „ciężkorymny“ wieszczek z „siebielubną pychą“ puszcza swą „jękorymną wenę“ na „skrzydłoruche Tetydy“. Cudacznie złożone przymiotniki były stałą nawyczką ks. biskupa. Już o wiele więcej wzięcia mają na dworze wierszyki nieprzyzwoite; napisał ich conajmniej tyle, ile panegiryków na cześć króla, tych zaś było ze trzy tuziny. Dworacy ubiegają się o łaski faworyta królewskiego także i dlatego, że w potrzebie pisuje im wiersze miłosne na użytek zakochanych.



MARCELLO BACCIARELLI: KS. MARSZAŁKOWA LUBOMIRSKA

Potem wszakże przyjdzie kreska na biskupa. Złośliwy amor przestrzeli boleśnie serce ks. biskupa, a ludzie będą sobie pokpiwać:

Jeśli dobrze

Było w Bobrze

Biesiadować w zakonie —

Wstyd pocie

W fijołecie

W cudzej kochać się żonie.

Tą cudzą żoną jest pulchniutka pani kasztelanowa R(aczyńska), kobiecinka mało uczona, ale mocno zalotna. Opędzał się Naruszewicz, ile umiał, od erosa i plotek, ale robił to niezgrabnie, tak jak niezgrabnie układał dla siebie samego już teraz rymy zakochane: „Miesza się we mnie przyrodzenie samo, w takim, ach takim jestem stanie, damo!” Zaprawdę, przykra sytuacja. Ale druhowie jego Trembecki i Krasicki w gorszych, jak usłyszymy, bywali. Zostawmy teraz w pokoju ks. biskupa, którego jeszcze przy niejednej pracy z królem współ spotkamy i z poważniejszej obaczmy strony. Niechaj się pocieszy i koi strapienia miłosne wertowaniem annałów historycznych w swej izdebce. Są na dworze ludzie inni, źli i postrach budzący.

Więc najpierw o najszałeńszym z warcholów, co często miał głowę zapitą, a zawsze — duszę pianą. Gdy nieprzytomny wpadnie na zamek i zaklnie po hajdamacku, bledną wszystkie fircyki, a wibrujące w rękach dam wachlarze zamierają w bezruchu... *Qui est là?* To Branicki — Belzebub i Cezar Borgia polskiego oświecenia! Nikt nie wie, co robi: czy za chwilę rzuci się królowi do kolan, czy też nakrzyczy mu grubiaństw ostatnich. Bo jedno i drugie równie było łatwe.

Król rozmawia z nim, niczem stryj Hamleta z Laertesem i ma jeszcze potem cierpliwość spisywania tych upokarzających dialogów! Repnin radził sobie lepiej, kładąc zawsze na czas rozmowy nabite pistolety na stole. W Ksawerym Branickim upostaciowała się chyba wszystka buta dawnej „polakeryi, której był żywym, ostatnim speciminem w geście, słowie i stylu“. Bielidła rokoka nie miały się tej rogatej sarmackiej duszy. Choć znał na wylot wszystkie dwory Londynu, Paryża, Petersburga, choć bywał na wojnach francuskich i w salonach, z Katarzyną grywał w lombra, (co nie wielu ludziom było wolno), z Ludwikiem XV. dyskutował o Wolterze, mimo to zostanie zawsze już nie rubachą, ale nieokiełznanym opilcem hajdamackim! Przy całej sile żywiołu natura pasywnicza. Jeden z tych ludzi, którzy, jak mówi Kraśzewski, „mają dość siły, aby podgryzać dęby potężne, ale o własnej mocy utrzymać się nie mogą“. Nie tyle o władzę i ambicję panowania idzie panu hetmanowi, ile o folgę chwilowym szalom i zachciankom, o rozkoszną świadomość, że wszystko jego kaprysu usłucha.

Nic też znamiennejszego, jak stosunek Branickiego do króla! Zamłodu już odda się duszą stolnikowi, ratując go dwukrotnie od niezaszczytnej śmierci, raz w Petersburgu, drugi raz w czasie reasumpcji trybunału. Będzie dlań walczył z Barszczanami, a nawet, gdy królowi potrzeba gotówki — potrafi zdradzić za pieniądze sekrety polityczne Saldernowi! Zawsze nieobliczalny: dziś dyszący pomstą strasliwą, jutro przesadny w objawach czułości. U króla widoczna dziwna słabość do Branickiego: magnata zeń czyni, daje starostwa, buławę, szarżę generalską, kupuje pałace w prezencie, by zaraz nazajutrz drżeć w obawie

przed nim, jako hersztem swych wrogów. Bo przecież ten zły duch opozycji najwięcej burzy rozpęta, a w lipcu r. 1791 uplanuje nawet zamach stanu z zamiarem zwalenia konstytucji i porwania króla z Łazienek. Branicki godzien jest monografji. Jakże lęka się go Potemkin i nawet wszechmocny Stackelberg, szczególnie po małżeństwie hetmana z siostrzenicą Potemkina. A te jego plany! Warcholskie, śmieszne, dziecinne! Zamawia w Holandji ruble fałszywe, by zniszczyć skarb rosyjski, chce Kronsztad wysadzić w powietrze, to znowu obiecuje Czartoryskiej (która i jego amarów spróbować musiała!), że ją zrobi królową polską... Czasem błysnie gestem wspaniałym, jak wówczas, gdy raniony ciężko w pojedynku z Casanovą, rzuci mu worek z 400 dukatami i doradzi, gdzie uciekać. Ale, że gesty wspaniałe były pojawem rzadkim wśród codziennych burd i awantur, dlatego przycichało wszystko strwożone, gdy pan hetman pojawiał się na dworze.

O ileż łatwiejsza sprawa z nieświeskim Heljogabalem, który pod sobolami litewskiej przekory i nadczłowieczeństwa chował duszę dziecka! Z niekoronowanym królem Litwy, Radziwiłłem „Panie kochanku“, mimo wszystkie walki, prędzej król doszedł do ładu, choć wiele wody upłynęło, nim Panie kochanku uznał monarchę w człowieku, którego by przedtem nawet do konfidencji nie dopuścił. „Nim rzeknie Najjaśniejszy, trzykroć się zakrztusi“, audjencje u dworu nazywa oddawaniem królowi wizyty. Nie trwają one nigdy długo, bo król ledwo znosi uporczywe gadulstwo bajczarza. Jak cała postać dowiecipnisia przeszła w legendę, tak i o jego stosunku do króla krążą uciészne historyjki.

Kiedy Radziwiłł powrócił z wygnania, trwały długo pertraktacje o pierwszą audjencję u króla, bo nie chciał zgodzić się na ucałowanie ręki królewskiej. Próżno go namawiano.

— Nie widziałem, Panie kochanku, żeby wojewoda stolnika po rękach całował!

Król na wieść o tem kiwnął z uśmiechem ręką:

— Niechże nie całuje!

Znowu źle, bo nagadał ktoś Radziwiłłowi, że nie całować, też nie wypada, bo nuż ludzie powiedzą: O, król odmówił mu tego zaszczytu! Rada w radę, nowe negocjacje, na których ostatecznie postanowiono, że przeprosiny odbędą się w szczupłym gronie zaproszonych osób. Będzie tylko prymas, Ludwik Tyszkiewicz, biskup Turski i kuzyn Maciej. Jadąc do zamku, gotował się Radziwiłł przez całą drogę, by taką wypalić orację: „Daruj, W. K. Mość! Cała moja wina, że nie umiał ocenić przymiotów mojego Króla i Pana“. Ale cóż, kiedy zapomniał języka, a przystąpiwszy do monarchy, zdołał bąknąć tylko:

— Panie kochanku, Najjaśniejszy Panie, bardzo przepraszam...

Wtedy król, nie słuchając końca:

— Mości książe, Panie kochanku, kochamy oba ojczyznę, pracujmy też oba dla jej dobra!

Już był niedźwiedź udobruchany do cmoknięcia gotów, gdy król, rękę wstrzymawszy, sam go w czoło ucałował.

Tak sobie opowiadano w Nieświeżu, a świadom rzeczy pan Ambroży Wejła opowiadanie spisał. Później rozmaicie bywało, jak znowu zaświadcza Ochocki. I tak, gdy z rozkazu monarchy wprowadzono mundury wojewódzkie, Radziwiłł wybrał się do króla w kontu-

szu tak podartym i połatany, jakby go wczoraj na tandecie kupiono. Pyta tedy Stanisław August o przyczynę szczególnego stroju. Na to wojewoda, trzepiąc się po kontuszu:

— Panie kochanku, bo ten kontusz, to już na szesnastym wojewodzie wileńskim! Stare łachmany, ale nie każdemu się w nie stroić...

Cóż robić z Radziwiłłem? Król musiał zjeść przegryzkę. Naogół naśmiewano się obficie z wojewody, że mu z pisanem ciężko, że kapłony palcami z półmisków bierze, ale gdy się bywało postawi, to dwór cały języka w gębie zapominał. Tak działo się na przyjęciu króla w Nieświeżu w r. 1785, tak i w czasie balu warszawskiego na pomyslność Korony i Litwy, co 2 milony złp. kosztował!

Z litewskich swych, piękniejszych niż królewskie, przepychów zjeżdża do Warszawy Michał Kazimierz Ogiński, hetman-„klarynecista“; zwany tak dlatego, że grał doskonale na skrzypcach i wogóle znał się na muzyce. Płochy, piękny, przytem łatwowierny i naiwny, jak dziecko, królowię litewskie w kosztownych grodeturach, zawsze w orszaku złocistych janczarów. Zanim przeszedł do opozycji, bywa ten kuzyn króla, ożeniony z Czartoryską, na dworze stałe. Raz, (opowiada o tem Heyking), wpada na zamek zdyszany, wołając:

— Właśnie umarł mój kolega!

Przypuszczano, że to o pisarzu Sosnowskim mowa.

— Nie, Sire, to — Jan Jakób Rousseau!

Koleżeństwo owo stąd sobie wykombinował, że Jan Jakób napisał raz operę, a pan hetman czynił to z pasją także, przy wydatnej pomocy jakiegoś Wło-

cha. Lubił także układać wiersze, które zań pisał pan Chomiński, smarował płótna, z czego malarze robili obrazy, a nadto uważał się za trzeciego architekta w całej Europie. Nakoniec dokonał wiekopomnego wynalazku: skonstruował pedały do harfy.

Przemile wesołki i pustaki rozbijają w puch sztywną etykietę polskiego Wersalu. Wśród żartownisiów, z których jedni należeli do typu *narrateur'ów*, inni zaś *causer'ów*, nie wiedzieć komu należne berło pierwszeństwa. Czy szambelanowi Żaboklickiemu, który rozśmieszy nawet melancholika Zabłockiego, a zawsze ma w zapasie wierszyk solą i pieprzem posypyany, czy też czcigodnemu Czaplicowi? Dziwny to człowiek, ten pan łowczy koronny, Celestyn ze Szpanowa Czaplic, herbu Kierdej. Senator uroczysty i w powszechnej estymie, znawca praw i statysta, pamiętny marszałek sejmu Czaplicowego, a przecież wisus nad wszystko lubi „kobiet niewinne pieszczoty“ i pustackie piosenki, które sam układa na uroczystości. Na rękach nosi dwór marszałka, gdy weźmie do rąk gitarę i zanuci swą strofę ulubioną:

„Niech żyje zawsze ten luby kątek
„Z którego mamy życia początek!“

A malarz Vogel, albo pazik Turkułł? Zygmunt Vogel malował bardzo zmyślnie i miło swe pejzaże, ale bawił ludzi jeszcze lepiej, zawsze dumny z tego, że rodził się jak król w Wołczyń. Nazywano go serdecznie poprostu „Ptaszkiem“. Turkułłowi znów wszystko wolno. Jest on Stańczykiem Stanisława Augusta. A przytem także wierszami sypie *ex abrupto*. Nieraz wystrychnie na dudka najbardziej poważną per-

sonę, często królowi samemu ostro dotnie, albo pani Grabowskiej; pamiętna zaś jest sprawa, gdy przy oglądaniu złotych medali królów polskich, wrzucił zřęcznie jeden z nich za obszewkę fioletową Naruszewiczowi.

— Gdzie jest Władysław Warneńczyk? — zapytał po chwili król, gdy medale złożono do pugilařesów.

— Zginał pod Warną — rzekł Turkuł — jak temu ks. biskup pořwiadczy...

Ksiądz biskup kosem okiem spojrział na figlarza i z przerażeniem odnalazł medal w swych szatach.

...W tem umilkł gwar, bo śpiewa panna Bacciarelli.

Wszystko, Krysiu, będziesz miała,
Byleś tylko sama chciała:
Koronki, klejnoty, szaty,
Fraucymer ładny za katy,
Modne kolaski, karety,
Pazie, francuzy, stangrety,
Strojne sługi do parady,
Pałac wielki w kolumnady!

A chór powtarza społem:

Wszystko Krysiu będziesz miała,
Byleś tylko sama chciała!

Nagrodą śpiewaczki jest poklask ogólny dla córki najlepszego z królewskich przyjaciół. Mademoiselle Anusia, niepiękna, ale w sentymenty bogata, cieszy się sympatją całego dworu. Ojciec chce z niej mieć godną spadkobierczynię talentu, kształci ją więc w malarstwie. Uczy się naprzód w domu także i u matki minjaturzystki, kształci się w portretowaniu i robi konterfekt Greczynki Wittowej, potem wojażuje trochę.

Dużo powodzenia ma w śpiewie, to też produkuje się na koncertach, śpiewając po polsku i włosku. Więcej o śpiewaczce nie wiemy, słyhać jeno, „że zakończyła smutno żywot wielce egzaltowany“.

Możnaby bez końca mnożyć konterfekty oryginałów i prezentować coraz nowe procesje bywalców. Nie o wszystkich wszelako mówić trzeba i warto, bo ileż wśród nich figur mętnych i podejrzanych! Grzebiący w brudach Essen powie o nich krótko: „Osoby najwyższego urodzenia, a przecie dopuszczają się występków i zbrodni“. Kto ich karze? Nikt. Gdzie kryją się? Na dworze królewskim, w Warszawie należą do najpierwszych świeczników towarzystwa. Możecie tu poznać wojewodę, który ukradł sygnet, starostę fałszującego weksle i karty, a wreszcie kawalera maltańskiego, do którego rzekła raz pewna dama: „Pan niewiele zyskał, ukradłszy mi zegarek, bo on kosztował tylko 80 dukatów“. Zaprawdę jednak nie odnoszą się te brzydkie insynuacje do wielu ludzi, o których nie wspomnieliśmy. Nie kradł, jako żywo, zegarków Imć. Benedykt Hulewicz, równie głęboki łacinnik, jak figlarny dowcipniś; nie fałszował weksli orientalista Dzeduszycki, uczący króla po turecku, albo gruby i porwoczy Wojciech Mier, ani nawet Arnold Byszewski, choć różnie mówiono o tym rycerzu szczęścia, co z kozaka czerkiesika zostawszy masztelarzem, dopiął później stopnia generała i komendanta. Zakończmy wreszcie wspomnieniem o serdecznym przyjacielu starych lat królewskich. Był to ostatni jego sekretarz, Badeni, człek daleki od spraw politycznych, ale sercem oddany królowi, co nieraz, zmęczony pracą przy biurku, zasypiał jak dziecko na jego ręku. O ile tego nie czynił w białych ramionach kobiecych. O nich,

o świegotliwych dworzech, co były, lub tylko chciały być metresami króla, powiemy osobno, tak, jak na innem miejscu mowa będzie o braci malarskiej i literackiej, jakoteż o ludziach, których pełno na dworze w każdym kącie, choć słowa po polsku powiedzieć nie umieją — o przybyszach cudzoziemskich.

4. W PĘTACH INTRYGI.

Wprawdzie madame de Genlis poucza w swym dykcjonarzu etykiety dworskiej, że wszelka intryga jest rzeczą bardzo brzydką i nie powinien jej cierpieć troskliwy władca na swym dworze, wprawdzie zaleca dalej, że szanująca się grande dama nie może być *artificieuse et intrigante*, lecz zawsze *aimable, douce* i *naturelle*, ale któżby tego słuchał? I w tym względzie Łazienki mogły iść z Trianonem w zawody. Przestronne apartamenty, rozkoszną wonią angielskiej wody wypełnione, są labiryntem intryg co najwyszukańszych. W tem jarzmie chadzają wszyscy. Wre bój nieustanny *à outrance* o wpływ na wiotką duszę króla epikurejczyka, o klucze szambelańskie i protekcje, o wyderkafy i szmatki orderowe. „Żelozia“ chytra a zjadliwa, wraz z obludą w uśmiechu skrytą, pracują od świtu do nocy. Bogini świegotka włada niepodzielnie.

Wyleci słówko wróblem z Łazienek, obiegnie pałac Saski i Repninowski, by wrócić wołem do królewskiej garderoby. Kichnie kto u dworu, a zaraz z Pałacu błękitnego pada odzew zjadliwy i rozdąsany: Na zdrowie! Zasadnicza intryga, jądro historii polskiej

w XVIII. wieku, tj. bój homerycki Czartoryskich z Potockimi, Radziwiłłami i Sapiehami, jest tutaj tylko tłem w dalekiej perspektywie, tłem, na którym dopiero wiją się nieprzeliczone gniazda swarów pomniejszych, ale upartych wśród rodziny samej. Gniazda coraz inne i nowe. Z początku, gdy rządzą dworem wujowie Czartoryscy, bije w mury taran tych wszystkich walk, jakie wie dzie rodzina. Ale gdy w r. 1776 umrze ks. Michał, a w r. 1782 ks. August, wojewoda ruski, wówczas ster polityki obejmą bracia królewscy i siostrzyczka. Wszystkich osaczy ambasador rosyjski, z którym Czartoryscy pójda solidarnie przeciw niewygodnemu królowi, gotowi każdej chwili do jego detronizacji.

Wojen domowych liczą na dworze tuziny, to z nuncjuszem papieskim, lub zwolennikiem Sasów, prymasem Podolskim, który z okien swego pałacu, gdzie mu pani Oemchen lupanar urządziła, patrzy i knowa zawistnie przeciw spacerującym w ogrodzie zamkowym dworkom. Księżna generałowa kopie dołki pod panią krakowską, panie Brzostowska, Wielopolska i Ossolińska łączą się już w pierwszym roku w triumwirat przeciw Ciołkowi. Marszałkowa Lubomirska — której mąż tak bardzo nie lubi króla, jak ona go nienawidzi — dyszy pomstą ku matce ks. Józefa i księżnej generałowej Czartoryskiej, Branicki zaś dałby im wszystkim napić się wody tofańskiej tj. takiej, która kości ludzkie w próchno przemienia.

Śmiało rzec można, że jeden jedyny bawił na dworze człowiek, który plotek nie słuchał, w obmowy się nie bawił, intryg nie rozszerzał. Był nim zaś... głuchoniemy szambelan Wilczewski.

Łatwo pojąć, jakim okiem patrzą na siebie metresy królewskie „bywsze“ i aktualne, „gratyskowe“.

czy pensjonowane! A więc: co ks. wojewodzicowa mówi głośno o władczyni Puław, co jedna Sapieżyna, ta mścisławska, myśli pocichu, o drugiej, tej litewskiej, w chwili, gdy spotkają się razem w antyszambrze królewskiej, gdzie przywiódł obie wspólny cel: suplika o wsparcie pieniężne!... A *Fredericus rex*, gdy mu o tem doniosą, napisze, jakże niestety słusznie, w swoich dziełach: „Rozum w Królestwie polskiem popadł w zależność od niewiast. Intrygą rozstrzygają o wszystkim“. Cóż zostaje nieszczęsnemu królowi? Najczęściej: *principe de non intervention*; trzaska w takich razach drzwiami i idzie sztychy oglądać w bibliotece.

Przykładem najlepszym celności strzałów „famili“ przeciw królowi jest sprawa pani Geoffrin. Uwielbiał ją król, jak nikogo na świecie, i szczycił się przyjaźnią siedmdziesięcioletniej staruszki z ul. St. Honoré. Miesiącami całemi pracuje, by ją do Warszawy sprowadzić, komnaty przyozdabia, karetę osobną budować każe. Nigdy mu może na niczem tak nie zależało, jak na tem, by przyjaciółka encyklopedystów odniosła najlepsze wrażenie, może nawet na stałe w Warszawie zamieszkała — i cóż się dzieje? *Les plus cruels ennemis du roi* stary ks. wojewoda z żoną dołożyli starań, aby odrazu po przyjeździe Francuzki lancetem intryg przeciąć nici tego wyjątkowego sentymentu. Po miesiącu opuści p. Geoffrin Warszawę, *sed quantum mutata!* Rozżalona, skwaszona, zawiedziona. Już nigdy więcej nie napisze w liście do króla: *Mon cher fils*, poprzestając na oficjalnem: *Sire!* Augustowa Czartoryska nagadala źle ubranej żonie fabrykanta luster, poprostu impertynencyj, ksiązę wojewoda w sposób bardzo niewybredny oczernił „drogiego syna“ przed nią. Bezsilność króla widać tu

w całej pełni. „Przeklinał — sam powiada w pamiętnikach — chwilę, w której ją sprowadził na dwór i ledwie co nie żądał, żeby sobie pojechała“.

W dziesięć lat później wybuchnie skandal, wobec którego zbledną wszystkie dawne intryżki. Trucicielska afera majorowej D'Ugriumow, przebiegłej „awan-turierki“ o krzaczystych brwiach, rozdmucha nowe płomienie nienawiści między Zamkiem królewskim a Pałacem błękitnym, zniszczy doszczętnie ostatek stosunków wzajemnych, a zakończy się klęską Czartoryskich i wyjazdem ks. marszałkowej do Paryża na zawsze. Awantura wstrząśnie całą niemal Rzeczpospolitą i na wszystkich dworach Europy wzbudzi żywą ciekawość swym przebiegiem. Bo przecież nie byle co się stało: aresztowano kamerdynera królewskiego i adjutanta Komarzewskiego, a króla samego chciano skompromitować jako truciciela i podżegacza do zbrodni. Od czasu afery królowej duńskiej, która w r. 1774 z pomocą lejbmedyka, swego kochanka, chciała zde-tronizować męża, od czasu procesu o naszyjnik królowej francuskiej, nie było skandalu tak soczystego!

W styczniu r. 1785, w czasie premiery opery „Król Teodor“, rozniosła się wieść o aresztowaniu Ryxa pod zarzutem usiłowanej zbrodni otrucia. Wrażenie było w Warszawie niesłychane, a coś dopiero na dworze! „Powracam właśnie od dworu — pisze Ignacy Potocki — nigdy smutniejszej nad dzisiejszą nie było gali. Król się wcale widzieć nie dał. Lubo pełne pokoje, jakaś smutna panowała odludność i samotność, każdy w ustroni sąd osobny układał y najmniejsze rozważał okoliczności“.

Nie będziemy opowiadać przebiegu sprawy i procesu, o którym wiele pisano. To jeno zaznaczyć

trzeba, że intryga zawiodła, *coup d'état* opozycji przeciw królowi nie udało się zupełnie. Pomimo najusilniejszych zabiegów siostry ciotecznej króla, ks. marszałkowej, która złotem i błotem walczyła przeciw znienawidzonemu kuzynowi, udowodniono przed sądem marszałkowskim bezpodstawność oskarżeń Dogrumowej. Co więcej! Wyszło na jaw, że podobną intrygę proponowała ona już przedtem, ale... stronie przeciwnej, a gdy się nie powiodło przekonać króla, że ks. Adam pragnie go otruć, wtedy przebiegła hetera, ujęła kij z drugiego końca: oto zdołała wmówić w otoczenie Czartoryskiego, że właśnie król — za pośrednictwem Ryxa i Komarzewskiego — zamierza otruć ks. Adama. Skazana na pręgierz, piętnowanie znakiem szubienicy i wieczne więzienie, wydostała się z niego później i mieszkała do zgonu na łaskawym chlebie w dobrach Czartoryskich.

Zaczem przejdźmy do głównej kwatery wszelkich intryg, do pałacu ambasadora rosyjskiego.

5. SUWERENI KRÓLA.

Nie należy ani na chwilę zapominać o ich obecności i władzy, z rokiem każdym rosnącej. Żelazna obroż, którą pan ambasador, *alias* poseł uppełnomocniony Najjaśniejszej Imperatorowej, wtłoczył na skronie Rzeczypospolitej, zacieśnia się i zacieśnia. Repnin zacznie tę pracę i Repnin jej po Stackelbergach i Bułkakowach dokończy, a dwór, jakże często, ułatwi! Przez cały niemal ciąg rządów Poniatowskiego ambasador rosyjski jest instancją rozstrzyga-

jąca. W wielkich sprawach politycznych zapewne? Nietylko, także i w innych. Uszom nie wierzymy, gdy Anglik Harris opowiada, że król prosił go raz o protekcję i to w takiej sprawie... Oto zażądał pan Repnin, aby tańce rozpoczęto przed kolacją, gdy król pragnął ich dopiero — po kolacji. Prośby nie zdały się na nic i dopiero interwencja Anglika przyniosła królowi zwycięstwo: tańczono po kolacji.

Odrazu po swem przybyciu do Warszawy próbuje Repnin tonu ostrego i bezwzględnego i jest wprost zdumiony pokorną uległością dworu. Król będzie się uskarżał innym posłom na surowość Repnina („traktuje mię w taki sposób, jakiego ja wstydziłbym się wobec najlichszego z mych służących“), ale nieszczęsny defekt cywilnej odwagi nie pozwoli mu choćby na słowo sprzeciwu. A zresztą wie od początku, że bez Rosji w Warszawie niema na tronie Poniatowskiego. I oni wiedzą także. Pisał przecież Saldern w r. 1771: „Gdybym opuścił Warszawę z wojskiem i armatami, to w 24 godzin później Barszczanie ukamienują króla w pałacu“. Suwerenność ambasadorów ujawnia się w ceremonjale towarzyskim. Weszło odrazu w zwyczaj, że król nieraz godzinami siedzi w teatrze, bo kurtyna szła w górę dopiero po przybyciu ambasadora; weszło w zwyczaj, że król polski musiał w poczekalni ambasadorskiej czekać na udzielenie łaskawej audjencji!... Stackelberg po rozbiorach będzie kazał kasztelanom przynosić sobie krzesła, co jest jeszcze drobnostką wobec tonu repniewskiego na sejmach. „*Pan Bohomolec paszoł won!*“ krzyczy poprostu, obiecując w razie oporu „nogą w tył“, a do biskupów mówi się w tonie rozkazującym: „*Gowori inflanckoj!*“ W Instrukcjach, danych na

drogę Repninowi, nakazano mu surowość wobec „woskowej lalki“, nie przypuszczając wszelako, że *woszczenaja kukła* będzie potulną nad podziw. Gdy Repnin na wieść o zdobyciu Krakowa przez Rosjan i klęsce konfederatów barskich dał bal, król wziął udział w zabawie i, gwoili uciesze gości, naśmiewał się z dawnego obyczaju Sarmatów.

Zgodnie z sytuacją polityczną poseł petersburski grał skrzypce pierwsze. Nierównie mniejsza rola przypada posłowi pruskiemu, a już całkiem mała Austriakowi. Panów Benoit i Rewicky'ego lekceważono tak, jak bano się Repnina, dopiero marchese Tulipano, czyli *serpent de l'Italie*, chytry organista sejmu Wielkiego, Lucchesini, w którego postawnej żonie kochał się Niemcewicz — stłumi na czas jakiś wpływy Petersburga.

Walczyli ambasadorzy rosyjscy kiesą i fartuszkim. Lista pensyj jurgieltnicznych powiększała się z rokiem każdym, a wpływy fartuszkowe sięgały głęboko w życie dworu i państwa. Poseł Katarzyny nie tylko decydował o każdym kroku i aprobował każdy krok Rady i króla, nie tylko miał w mocy najdrobniejsze nadania wakansów i urzędów, lecz także hetmanił pustym serduszkom pań warszawskich. Historia polityczna nie umiałaby wielu faktów wytłumaczyć, gdyby tajem jej było, jak obłądnie kochał się w księżnej generałowej Repnin, lub gdyby nie znano romansu Salderna z hetmanową Ogińską.

Puste i lubieżne dworki z Zamku warszawskiego padają z rozkoszą w objęcia ambasadorów, generałów rosyjskich i oficerów. I naodwrot przybysze z północy nie są w stanie oprzeć się urokowi małych rączek i ząbków białych, jakich nie znali nad Nową. Nawet

o pani Grabowskiej mówią, że kocha się w młodym Zubowie. Słynna z rozpusty madame Załuska afiszowała się z Igelstromem, którego podejrzrywano też o stosunek z ks. marszałkową. Wdziękom ks. Heleny Radziłłowej uległ Sievers, oczarowany jej śpiewem, zaczęł asystować począł pani Camelli. Młody Stackelberg przypadał więcej do gustu pannie Kossowskiej, niż sam ks. Józef. Januszowa Sanguszkowa miłowała Kręczetnikową, zalotny Bibików próbował szczęścia u pani Ogińskiej i dostał za to własnoręcznego noża od carycy! Rekord osiągnęła przecież głośna kochanica ambasadorów, pani Ożarowska, która dzięki temu wykołatała dla męża buławę hetmańską. Król i tu także ustępliwy. Cóż więcej mógł zrobić, skoro nawet własną kochankę odstąpił Repninowi, łudząc się wpływem, jaki tą drogą ewentualnie da się uzyskać? Wolał, że taki ambasador kocha się na miejscu, niż gdyby się miał powtórzyć kaprys Salderna, który przywiózłszy sobie raz z Rosji nieokrzesaną i łabątką Moskwiankę, wymagał, aby ją traktować, narówni z siostrami króla. Grand-damy warszawskie martwiły się tym skandalem więcej, aniżeli pierwszym rozbiorem Polski! Ale zwolna doszło na parkietach salonów do porozumienia z przybyszami. Ambasadorzy umieli się bawić grzecznie i lekkomyślnie, kochali gorąco, a dla dam byli grzeczni uprzedzająco.

Bo czyż nie nazwać grzecznym srogiego skądinąd Sieversa, gdy tak pisze do swej córki: „Jedna z pań tutejszych bardzo mię o coś prosiła. Dałem jej w liście tytuł Jaśnie Oświeconej i odmówilem prośbie. Powiesz, że byłoby lepiej napisać poprostu: *madame*, a prośbę spełnić? Cóż, kiedy to nie było możliwe“.



MARTEAU LUDWIK: MADAME GEOFFRIN

Demoraliser pour asservir, oto hasło, w myśl którego rządili i ujarzmiali Polskę, najpierw sami przez króla opłacani, potem jemu pensję wypłacający. Uczynili z Warszawy przedmieście Petersburga, a odradzająca się Rzeczpospolita nie miała jeszcze dość siły, by wyrwać krzew trucizny z korzeniem.

6. GALA ALBO ASAMBLA U DWORU.

Słowo: „gala“ wyjaśnia Tadeusz Czacki, nadawane uroczystościom dwornym, potem i biesiadom partykularnym, jest od arabskiego *cal* lub *calo* a t suknia honorowa“. Nawiasem powiedziawszy, na złego trafiliśmy objaśniacza, bo czcigodny Tadeusz Czacki, znany asceta i odludek, nietylko nigdy na galach dworskich nie bywa, lecz nawet słynie wszem wobec z roztargnienia i pogardy form towarzyskich. Wiadomo, jak raz postąpił, zaskoczony wizytą królewską. Porwał się z ziemi, gdzie rozciągnięty śleczął nad rękopisami i przewiesiwszy przez siebie wstęgę orderu Białego Orła, wybiegł naprzeciw monarchy w koszuli i skórzanych pantoflach, ale zato z dekoracją.

Ale nie o Tadeuszu Czackim mamy tu mówić. Gala dworska, na której jawiło się wszystko, co błękitne, wyjąwszy chyba zaprzysiężone wrogi króla, była sejmikiem wytwornej Warszawy. Szał radości, jak zając przeskakiwał opłatki morałów, wedle słów Porcji w „Kupcu Weneckim“, a okazji nie brakło nigdy. Dzień 8-my maja, jako uroczystość imienin królewskich i zarazem święto orderu św. Stanisława, Nowy Rok, Niedziela Wielkanocna, oto terminy najweselszych

asambli. Koło południa wysłuchano przykładowie *belle messe* w kościele Bernardynów, zaczem jechało się na Zamek, a król w dniu takim przy obiedzie pił dwa, miast jednego, kieliszki wina. Raz tylko od czasów Baru zmaćił się rząd zabaw i przyjemności, gdy po straceniu Ludwika XVI. ogłoszono 6-cio tygodniową żałobę dworską, drugi raz miał się przerwać niedługo potem, ale już na zawsze.

Gala, albo asambła dworska zaczynała się od tańców. Ludzie rokoka umieli i mogli tańczyć. Trwał błogi czas pokoju i nijakie „frukta belli“ nie dukały rycerzom w krzyżach, czy goleniu. A już dla króla taniec był najwyższą z rozkoszy. Wiemy przecież, z jaką przyjemnością odczytuje zawsze ten ustęp z podróży Holendra Bernoullego po Polsce, w którym powiedziano: „Króla polskiego stawiają w rzędzie najlepszych tancerzy. Widziałem go tańczącego z widocznym powabem i gracją“. I nic dziwnego, skoro ongi, jak z dumą wyzna w pamiętnikach, uczył się tańczyć u samego Marcela, a Marcel był twórcą menueta. Ludzie rokoka pół życia przetańczyli“. Tancmistrz pomoże ci więcej, niż Arystoteles“, pisał lord Chesterfield do syna, a tej dziwnej maksymy nikt w żart nie obracał. Ludwik XIV. przez dwadzieścia lat zgłębiał tajemnice kontredansów i płaśał własnonożnie na baletach dworskich. Każdą galę dworską w Warszawie uprzyjemniały dźwięki menueta z gluckowskiego „Orfeusza“, którego potem zastąpią precudne aksamity „Don Juana“. Złożoną pałeczkę aranżera najchętniej dzierży w dobranem kółku król sam, o ile nie odbywa się ceremonialny *bal paré* z całym przepychem etykiety lub też *bal réglé*, na którym *ad hoc* osobnego wybierają monarchę. Moda tańczenia

tak o władnęła elegantkami, że, gdy angielski poseł Harris przybył do Warszawy, „tańczyły z nim wciąż przez dni jedenaście“. Dwór pruski przyznać musi, że na naukę tańców trzeba jechać do Warszawy. Sejm czteroletni dzisiaj nazywamy Wielkim, u współczesnych nosił on nazwę weselszą: sejm tańczącego. W czasie obrad w niedzielę tańczono u prymasa, w poniedziałek u marszałka Mniszcha, we wtorek u Szczęsnego, w piątek u Ignacego Potockiego. Król w niedzielę przed południem przyjmował w Łazienkach Izbę poselską. W cieniu drzew i przy szmerze kaskad podawano śniadanie, zaczęła zebrana societa udawała się na bal do sali koncertowej. Po skończonym polonezie i kadrylu, konferował król ze stronnictwami, a wypocząwszy, kończył przerwana zabawę *entrechatami* menueta, przytakuje boskiemu Platonowi, który rzekł przecież: „Taniec jest miłym, radosnym darem bogów, a niezdarnymi mazgajami nazywam jego przeciwników“.

Po tańcach — karty. Do stolika karcianego zasiada u schyłku 18-tego stulecia cała Europa, a już we Włoszech i w Polsce dniami i nocami nie wstają od puli. W Wenecji, wedle zapewnień Chłędowskiego, gra gondoljer i praczka, rzemieślnik, mnich, prokurator i dogressa. A w Warszawie? Wystarczy sięgnąć do satyr Krasickiego, otworzyć karty jakiegokolwiek pamiętnika, albo posłuchać, co mówią o polskim karcieciarstwie oficerowie francuscy w służbie barskiej. Pot leje się z czoła „faro-damom“ (tak Horacy Walpole nazwał zwolenniczki Faraona), mierzwi fryzury, porywa za sobą róż z policzków i — wieś za wsią co wieczora. Staropolski marjaż, tryszak i pancerola poszły dawno w niepamięć, kwindecz, faraon i lombre należą

teraz do najulubieńszych. Fałszywa gra w Polsce weszła u Włochów w przysłowie.

Gdy przyjęcie jest szczególnie uroczyste, z cercelem i prezentacjami, karciarze uciekają do bocznych pokoi. Na salonach włada wtedy surowy ceremonjał, z pod którego wolno się wyłamać chyba tylko kochance królewskiej, lub też synom Apollina. Dla tych jest zawsze pole do popisu, a turnieje wierszokletów ulubione ponad wszystko! Opis takiego dorywczego turnieju odszukał Leon Potocki w starym pamiętniku. Było to na balu u księstwa marszałkowstwa Lubomirskich, w uroczystym dniu 8-mym maja. Pani Grabowska rozmawia na sali z królem. W oczach ma miłość i szczęście, w ręku bukiet ze świeżych kwiatów, z których gdy upuściła różę, stojący niedaleko Stanisław Potocki podniósł ją czemprowadziej i temi odzywa się słowy:

„Mówią, żeś piękna, jak róża nadobna,
„Ja mówię: róża piękna, bo tobie podobna!“

— Cóż ty na to, Panie Trembecki? — zapytał monarcha swojego nadwornego poety. — Czemu tak zachmurzyłeś czoło, czyliż widok nowego współzawodnika już tobie mowę odbiera?

— Królu — zawoła smętnie dworak:

„Czegóż się dzisiaj wszyscy dziwujecie,
„Że poetę utwarza ta polska Wenera,
„Gdy mnie, staremu pocie,
„Kadencje nawet odbiera“?

Odurzona pochlebstwy generałowa (bo do piękności było jej daleko), zakłada co tylko podniesioną

różę za gorset od niechcenia. Na to szambelan Szymanowski, co „Wenerę z Knidu“ tłumaczy:

„Gdyby śniegu drobina spadła na Twe łono,
„Widząc swą białość, Twoją białością przyćmioną,
„Śnieg-by się nawet z tego zarumienił
„I ze wstydu się topiąc, w lżę-by się zamienił“.

— Czyż serce twoje kolego — rzeknie z nagłą By-szewski, adjutant króla, do stojącego obok generała Grabowskiego, nie raduje się na widok hołdów, jakie Twej żonie przypadają?

Grabowski sam nie wie, czy ma się gniewać, czy z wdzięcznością przyjąć komplement. Z kłopotu wybawiają go w czas rymy Węgierskiego, który pali bez zająknięcia:

„Że wyjął jedno żebro Pan Bóg Adamowi
„I z niego stworzył Ewę, to nam wierzyć każą.
„Ja wierzę! Odtąd bowiem któremuż mężowi
„Żony bokiem nie wyłożą?“

Zgrabne, lotne i dowcipne były te rymy, ale też często sztuczne i zimne. Bo sztuczność i ziąb jest klątwą tej epoki, o której jakże wyraziście świadczy wyznanie jednego z paryskich galantów: „Prawdziwe uczucie spotyka się dziś tak rzadko, że, powracając z Wersalu, zatrzymuję się niekiedy na ulicy, aby popatrzeć na — psa, ogryzającego kości“!

A cóż rzec o tonie rozmów towarzyskich, które zrazu toczyły się po francusku, a potem po angielsku, gdy lokaje francuski język rozumieć zaczęli? Co rzec o swobodzie tonu w czasach, w których chłopcy siedemnastoletni opowiadali sobie najdrażliwsze anegdoty, panie przepisywały skwapliwie Trembeckiego

„Ode do Priapa“, Józef II. bawił księżną Czartoryską dowcipami tak drastycznymi, że ich nikomu powtórzyć nie chciała, w czasach nareszcie, kiedy to caryca Katarzyna nie wahała się przy stole nazywać księcia Kazimierza Sapiehy pieśzcotliwem mianem: *ce pisseur*? Ta sama Katarzyna, której wierszowanych nagrobków pośmiertnych, kursujących obficie w Polsce, w żaden sposób reprodukowac nie można.

Wszystkie sztychy sprośne, schowane dziś w sekretnych oddziałach muzeów europejskich, krążyły z rąk do rąk, zasię brzydkie wierszyki odczytywały sobie damy półgłosem, zasłaniając się wachlarzami w miejscach drażliwych. Moralności nie zawsze stawało się przez to zadość, bo na skrzydłach wachlarza (w Paryżu przynajmniej) wyobrażone były nieraz sceny tak nieprzyzwoite, iż nie wiedziano: czy lepiej chronić się za wachlarzem, czy raczej wachlarz sam wstydliwie zamknąć do kantorka? Mimo wszystko pozory pozostały zawsze wytworne, nieprzystojność rzeczy nigdy się w słowach nie objawiała, a język konwencjonalny pętał wybuchy namiętności.

Gdy niema gości i zabawy oficjalnej, na dworze bywa ciszej, ale nie mniej wesoło. Wielkie zabawy wymagają prac przygotowawczych, więc dwór cały krząta się, ładząc kostjumy i niespodzianki na *bals champetres*, na owe kostjumowe maskarady pod gołym niebem, których tak wiele bywało w Łazienkach i na Wiśle, w Powązkach i Wilanowie. A często tak wymyślne jak raz na kanale łazienkowskim, gdzie to na okwieconych łodziach i bacikach pojawił się orszak bogiń greckich, gdy tymczasem panowie łuskami trytonów opancerzeni pływali, chlupiąc się w wodzie,

Czasem, ale rzadko — muzyka. Rozrywki muzyczne są na drugim planie, bo król ucha dla muzyki nie posiadał, chociaż rozumiał jej potrzebę na dworze. Gitara hiszpańska i klawikord, fletnie i skrzypków kompanja uprzyjemniają zawsze galę dworską. Muzyków też nie brakowało. Z dworu biorą przecież początek słynny wiolonczelista Wagner, oraz głośni kompozytorzy Stefani i Kamieński.

I w małym kółku dworaków też wieczorami zabawić się można. Najpierw loteryjki poetyckie, zabawa ulubiona dlatego, bo grają w nią sam Wolter i stary Fontenelle. Każdy z wieszczków dworskich, Naruszewicz, Szymanowski lub nawet sam Krasiński, wyciąga literę alfabetu; gdy wypadnie O, wówczas musi ułożyć odę, S zobowiązuje się do sonetu, a przy P wystarczy przysłowie. Bardziej dostępną jest rozrywka, polegająca na wyszukiwaniu nazwisk szlacheckich, zaczynających się od różnych liter alfabetu, a kończących się różnemi spółgłoskami. Ulubione wreszcie bywały *tableaux*, czyli żywe obrazy z dzieł dawnych mistrzów, jakoteż doskonała na zimowe wieczory moda spisywania swych własnych charakterystyk. (Dochowały się do dziś w pamiętnikach króla, oraz w zwierzeniach ks. Generałowej Czartoryskiej). Wogóle obmyślanie nowych zabaw jest rzeczą konieczną, skoro z rozkazu króla brakło jednej, a naczelnej: picia. Na dworze upijać się nie wolno. Dworacy więc czynią to na mieście; król z pasją trzebi ten nałóg powszechny i w końcu postawi na swoim; dymiący łeb, zjawisko gdzieindziej pospolite, to rzadkość na warszawskim dworze. Natomiast obficie pije się tyzannę. Jest to „lekarstwo najlepsze na chorobę galicką”. Słabość owa powszechna i prawie modna, więc któżby

się tego wstydził? Tyzannę podają po jedzeniu, niczem deser, albo likiery. Ludzie rokoka nie widzą w tem nic zdrożnego.

Dworacy znają jeszcze jeden przybytek, gdzie się mile czas spędza. To łoża masońska. Stanisław August już w r. 1777 wszedł do łoży niemieckiej *Rose Croix*, a nie był tam wcale królem, jeno zwyčajnym kawalerem różanym, znanym pod imieniem: Salsinatus. Doszedłszy do „8-mego stopnia tajemnicy“, zaniepokoił się wzrostem i szerzeniem się tej organizacji, której nie był pewny od chwili, gdy sprytny Ignaś Potocki począł ruch masoński ku swoim naginać celom. Posyła tedy zaufanego Glaire'a, by w masonerji strzegł interesów królewskich. Tenci postanowił sprawę unieszkodliwić i utworzył łożę pań. Odtąd masonerja polska XVIII. wieku nabrała wybitnie towarzyskich znamion. Wszystkie najpierwsze damy złożyły przysięgę na kobiercu i przypięły fartuszki siostrzyczek od chwili, gdy księżna marszałkowa przywiozła wieść o tej modzie z Londynu. Płochę dworskie bawidamki, przyjmują udział w tajemniczych posiedzeniach, dzieląc między siebie urzędy o straszliwych nazwach. Ten jest „sztuardem“, inny „pieczętarzem“, tamten „wielebnym mistrzem katedry“, lub też „bratem strasznym“, czyli „przysposobicielem“, a każdemu przysługuje dostojny tytuł „czterykroć wielebnego kawalera“.

Można się wcale przyjemnie zabawić w łożu masońskiej! Ukryta orkiestra wykonywa na dany znak przepisane utwory, w salonie, wyścielonym kwiatami, palą się wonne kadzidła, brakuje tylko, żeby, tak jak w Berlinie, przysięga odbywała się na... Owidjuszowską „Sztukę kochania“. Szczególnego uroku nadają wieczorem wyszukane kostjумы braci i siostr. Taki

np. wojewoda Mokronowski, papież masonerii polskiej i wielki mistrz „Wschodu narodowego“, nosi komżę ze wspaniałego atłasu z frędzlami złotymi, na szyję ubiera krzyż w rodzaju biskupiego. Szampan w czasie uroczystości leje się strumieniami, a o wystawnych kolacjach świadczą do dziś słone rachunki. Tymczasem w dworach szlacheckich opowiada się cuda niestworzone o Belzebubie, wynurzającym się z garnków kwaśnego mleka i djabelskiej służbie masonów. Tłum oświecony temu nie wierzy, a tem mniej lalusie, którzy chętnie garną się ku nowym, a wcale przyjemnym lokalom zabaw.

Wspomnieliśmy powyżej o dworku szlacheckim, lecz nie pytajmy go dalej o zdanie, bo każdy szlachetka dobroduszny a nie-uczony, mówić nam będzie o dworze w słowach — mocnych. Mowcy na sejmach przestrzegają Rzeczpospolitą, by obywateli nie wysyłała do stolicy gwoździ zepsucia, a co o tem wszystkim myślał szary tłum gdzieś w Brześciu Litewskim, Łęczycy lub Nowogrodzku, nie trudno pojąć. Musiała przecież szlachcianeczka każda zazdrościć damie dworskiej, że codziennie rano kawę pija i nosi różowe pantofelki, a brat Łata z irytacją targał wąsika. Było o czem gadać, toż mówiono, co się zmieści, a nawet wychodząca, tuż pod boki króla gazeta ks. Łuskiny, nieraz ostro królowi przycięła“. Każdy śmie rezonować. — użalał się „Monitor“ w r. 1770 — jakby statysta jakiś o tajemnicach dworu i skrytych gabinetowych sprzętach. Łada chetka, chłystek, lub pomiotło, co ledwie w gębie obrócić może to słowo „król“, gada o królu bez potrzeby, a obmawia w sposób obelg i uwłóczenia sławy pełen“. Ale nie im się tem martwić. Ludzie z dworu króla Stasia nie mieli czasu kłopotać się

swą złą reputcją, bo każdy dzień niósł z sobą emocje. *On danse surtout à Varsovie, pisał brygadjer Jakubowski do przyjaciela, on est chez nous comme en France sous Louis XIV. Les plus grandes fêtes au milieu des batailles perdues.*



W MALARNI KRÓLA JEGOMOŚCI.

„Jemu z różanej cedząc biały fosfor dłoni
Ranny z rosą szkarłat goni,
Czyste tło srebrnym z góry szafirem się śmieje,
Tęcza w kolorach szmaragd leje”.

Naruszewicz. Oda do malarstwa.



iszą tuż obok siebie na
ścianie w złotych ramach,
a przecież nigdy jeszcze
w galerji antenatów tak
bardzo nie odrodził się
jeden od drugiego. Boho-
maz, czerniejący na spę-
kanem płótnie, o drewnianej ręce
i woskowej twarzy — to pra-
dziad, człowiek czasów saskich. Kontusz
zswisa mu cudacznie, bo malarz nie umiał dać sobie
rady z fałdami, w oczach zaś nieruchawych nikt duszy
nieśmiertelnej nie odgadnie. A tuż obok syn jego —
inny żywy człowiek! Uśmiechnięty, głąki i zgrabny,
jak był naprawdę. Mówi, kim on jest i jakie czasy
były, w których żył. Dopiero wiek XVIII. nauczył Sar-
matów, że w złociste ramy nie godzi się kłaść piktury
byle jakiej i lada malunków cudacznych, dopiero wiek
oświecenia rozkochał Polskę w sztukach plastycznych.
Tym razem naprawdę wdzięczni jesteśmy modzie

oświeconej, która nakazała wytwornisiowi pozować malarzom niemal co tygodnia. Raz da się z profilu wykroić w czarnej sylwetce, to znowu portretować w owalnym pastelu; dzisiaj pozuje cierpliwie do minjatury na słoniowej kości, jutro do ogromnych rozmiarów portretu na płótnie. Minjatura w złoty medaljon oprawna będzie siurpryzą dla kochanki, portret olejny zostanie dla potomności. A jak są wybredni w doborze malarzy! Gdy głośnem stało się na świecie imię pani Vigée Le Brun, nie może się wzięta artystka opędzić polskim zamówieniom. Warto zobaczyć, ile to nazwisk senatorskich zawiera katalog kilkuset wykonanych przez nią konterfektów. U kolebki nowożytnego malarstwa polskiego stoją tedy eleganci rokoka. Za ich to sprawą urodził się wspaniały portret polski XVIII. wieku, pogromca bohomazów w dworach i w dworach szlacheckich, im zawdzięczamy pierwsze polskie minjatury i pastele, im nareszcie owocną imigrację sztuki Zachodu do Polski. Od kogoż zaś, jeśli nie od króla, brali przykład i zachętę?

*

*

*

Bez malarzy i bez dzieł sztuki nie pojmował wogóle życia Stanisław August. Chłopcem małym, za pierwsze oszczędności, kupi sobie w Holandji rzekomego Rubensa, starzec złamany, na kilka dni przed śmiercią, będzie jeszcze studjował w Ermitażu! Posłowie, wysłani doń po elekcji, zastaną stolnika, zajętego malowaniem szaty koronacyjnej. I jakże go lubieć nie miały dzieci Appellesa! Taki Per Kraft aż w Szwecji, nad jeziorem Melar, o malarni króla polskiego zasłyszany, Norblin rzuci dlań Francję, Bacciarelli zaszczyty

i profity z Habsburgów, Smuglewicz karierę u jakiegoś lorda angielskiego, nareszcie Wall pożegna się bez namysłu z profesurą w akademji florenckiej, aby malować pod okiem Poniatowskiego.

Ktokolwiek zapukał do drzwi malarni królewskiej na Zamku z paletą lub szkicownikiem w rękę, przyjmowany był z otwartemi rękoma. Jeśli malarzem był, jak się patrzy, sypało się odrazu złoto i zamówienia, jeśli czeladnikiem, lub adeptem dopiero, a iskrę bożą miał w sobie, też wystarczyło. Zasadzał go maestro na trójnogu przed sztalugami i rychło szedł do królewskiej łaski projekt „pensjonowania“ i wysyłki. Była taka sobie mała różnica. *Fredericus rex* wysyłał swoich poddanych do twierdzy w Spandau, Ludwik XIV. więził ich w Bastyljach, Stanisław August zaś, owładnięty pasją cudną stworzenia sztuki polskiej, łożył na wojaże artystyczne. Rzym i Florencja, Paryż i Monachjum zobaczą znowu, po dwu wiekach absencji, żaków polskich na studjach. Wiedział król, że artystów trzeba szukać, pamiętał, że Watteau był dzieckiem pobijacza dachów, Norblin synem karczmarza, Orłowskiego znaleźli Czartoryscy w szynku, a ojciec Diderota ostrzył noże w Langres. Tak i Stanisław August odszukał Gruszeckiego w klasztorze bazylijańskim w Supraślu, na Kucharskim się poznał odrazu, z Vogla wykształcił milutkiego pejzażystę, Lesserowi kazał robić minjatury, zaś porucznika gwardji Oleksińskiego, gdy ciągle coś na służbie rysował ukradkiem, ukarał surowo — oddając na naukę malowania. A Norblin stał się Norblinem, to znaczy mistrzem malarstwa obyczajowego, li tylko z zachęty króla.

Tu już król ma rację, kiedy obcych nad swoich przenosi! Tak, jak nie ufał, że kamień z Dębника po-

trafi marmur kararyjski zastąpić, tak i talentowi polskiemu do plastyki narazie nie dowierza. Zaczem plejadzie artystów zagranicznych, którzy zjechali do Warszawy, przydarzyła się — jak głupkowato mówi Fournier — dziwna awantura i stworzyli szkołę malarstwa narodowego w Polsce.

Nie byle jakie lakierniki, ale wprawne majstry, zgłaszają się na apel królewski! Dziwnie pobłażliwy dla cudzoziemców wszelkiego innego zawodu monarcha — w sztuce nie zna żartów! (Nie miałyby co robić u niego taki „artysta“, jak ów Włoch, Alfierini, co to małżonce Jana III. zrobił baranka z puchu łabędziego, z malutką chorągiewką, podziwianą dlatego, że wypisano na niej słowo „Alleluja“ 18.250 razy, t. j. tyle razy, ile dni królowa przeżyła).

Artyści króla Stasia różnie się zachowują. Jedni, jak Marteau, Grassi i Bacciarelli, zadzierzgną najserdeczniejsze węzły z Polską, inni (Joffroi, Monaldi, Merlini) pozostaną zawsze niechętnymi przybyszami. Ci zabawią przelotem, aby, uzbierawszy garściami polskiego złota, rentjerami do domu wrócić, innym uśmiechnie się praca zbożna pod szczodrem skrzydłem opieki króla-mecenas, a wtedy znajdują w Polsce nie tylko dobrze zaopatrzoną pracownię, ale i drugą ojczyznę. Zjeżdżają od pierwszych dni królowania, kiedy jeszcze w Warszawie nie było nikogo, a tylko Bellotto Canaletto został się z czasów saskich. Zaprawdę, wędrówka ludów! Z Francji i z Włoch, z Bawarii i ze Szwajcarii, z północy dalekiej i z południa! Bacciarelli urodził się w Rzymie, Lampi pochodził z Trydentu, Grassi przyjechał z Torunia, Graff i Schellenberg byli Szwajcarami, Pitschman Triesteńczykiem, Norblin, Marteau, Joffroi, Lebrun rzucili

Francję dla Polski, Per Krafta wydała Szwecja, Bellota Wenecja, Drezno przysłało Kamsetzera, a Lugdun Pillementa; sztycharz John jest Prusakiem, minjaturzysta Kaiser Bawarem, dekorator Jarząbek nareszcie był narodowości czeskiej!

W tem zbiegowisku przeróżnych plastyków, rzeźbiarzy i architektów, dekoratorów i portrecistów, jednego człowieka nadewszystko król sobie upodobał, jednemu najbardziej zaufał. Wprawdzie Fontana (po nim Merlini) komenderował architektami, wprawdzie Le Brun przewodził rzeźbiarzom, ale tylko jeden z nich Rzymianin Marcello Bacciarelli stał się dla Stanisława Augusta tem, czem był Velasquez dla Filipa IV, a Michał Anioł dla papieża Juliusza: dzierżył najwyższe marszałkostwo sztuki na warszawskim dworze. Jeszcze za Augusta III., powołany jako kopista do Drezn, podobał się bardzo stolnikowi. Daremnie Kaunitz pragnie ściągnąć go do Wiednia, młodemu malarzowi przyszedł król przypada dziwnie do gustu, tedy zostaje w Warszawie. Będzie odtąd przez długich lat trzydzieści służyć mecenasowi, wraz z całą swą rodziną, synem, sekretarzem królewskim i córką minjaturzystką.

Wybór był dobry i na czasie. Historia sztuki nie zna może drugiego malarza w Europie, który tak umiał wszystkie pieszczoty rokoka na swej palecie skupić. Obrazom Bacciarellego braknie tego samego, czego brakowało i epoce: słabe w ekspresji nie mają siły wyrazu, ale zato jakaż wytworność i gładkość pudrowana we wszystkim! *Il se distingue des maitres de son temps par une harmonie délicate et de fines colorations*, stwierdza francuski esteta.

Jakże pilnie pracuje dobre Włoszysko wśród zamkowych próżniaków! Posłuszny famulus królowego faustyzmu wprowadza w życie każdą inicjatywę suwerena. Z górą 300 płócien wychodzi zamalowanych jego pędzlem. Portrecista, nie ma wprawdzie zmysłu dla malarstwa historycznego, ale trudna rada, skoro dla dekoracji Zamku i Łazienek potrzebne są płótna z dziejów Polski. Ukochaniem artysty jest osoba króla, uwielbia go wprost jako motyw malarski. Chyba Naruszewicz jeden tyle zdołał wysmażyć na cześć króla panegiryków, ile rozmaitych portretów jego stworzył Bacciarelli. Lubuje się w miękkich rysach, aksamitnem oku i słodkiem wejrzeniu stolnika, w gładkich linjach torsu, ale nadewszystko ciągnie go królewska ręka, biała, krągła, piękna, rasowa. Odtwarza życie jej nabiegających krwią błękitną żyłek, jej formę, rzeźkość i wytworność. Maluje wiele i z gorączkową szybkością, koloryt „trzyma“ blady, niby pudrem przysypany, (w Warszawie mówią prostaczki, że dzieje się to wskutek pośpiechu, bo nagabywany o obrazy malarz królewski nie ma czasu na silniejsze nakładanie farb).

Żeby tylko samo malowanie! Ponadto jest Bacciarelli generalnym dyrektorem budowli królewskich, sprawuje dozór nad kopalniami marmuru, opiekuje się ogrodami, prowadzi korespondencję króla w sprawach artystycznych, zamawia obrazy i kopje, ma obowiązek prowadzenia studjów dokładnych nad organizacją akademii sztuk pięknych w Europie. Bo to się kiedyś dla Warszawy przyda. *Le peintre du roi de Pologne* nosi na głowie całą troskę urzędnika Zamku i Łazienek, pertraktuje z jubilerami, użera się z lyońskim tapicerem, z architektem i rzeźbiarzem. On był głównym pracownikiem w „komisji budowli“, powo-

lanej do życia 1. kwietnia 1777, która kierowała pałacami, fabrykami i budowlami króla. Z czasem stanie się najpierwszą osobą na dworze. Już w r. 1776 podwyższono mu pensję z 1300 na 3.000 fl. „Jest moją wolą — brzmi rozkaz królewski — aby p. Bacciarelli miał nadzór naczelny nad wszystkim, co dotyczy budowli... i jakiegokolwiek dekoracji w Zamku warszawskim i Łazienkach i aby nic się tam nie działo bez jego wiedzy i wbrew jego zdaniu“.

Od pilnego, poważnego służbisty czegożto król nie żąda. A czasem w porze zgoła nieodpowiedniej. Oto np. 25. lipca 1796 pisze do Bacciarellego Stanisław August: „Każ mi wyrznąć w stali pieczętkę dwustronną. Na jednej chcę mieć busolę z napisem: Zawsze ku tobie! Na drugiej niechaj będzie węzeł związany, którego dwa końce ciągną dwa ptaszki. Jeden leci w prawo, drugi w lewo. Napis: Oddalenie przywiązuje mnie do ciebie. Jedno i drugie niech narysuje Lesseur, wygrawiruje Reichel na plakiecie owalnej wedle wzoru! I to wszystko, uważacie, w roku pańskim 1796!

Mimo tak różnorodne zajęcia nie zapomina o malarni Imć dyrektor. Rankami całemi siaduje na ulubionym trójnogu przed sztalugami, poprawia malowania i odsłania adeptom tajemnice sztuki, tak bardzo dotąd w Polsce zaniedbanej. Uczy ich, czym jest proporcja, czyli rozmiar człowieczy, wyjaśnia zasady „kromatyki, czyli farbowania“, oraz „wymysłu, czyli kompozycji“. Eksplikuje, że cień na ciele ludzkim należy oddawać asfaltem, że unikać trzeba żywego blasku kolorów, a wszystko przysypywać, jak gdyby pudrem, że wreszcie strzec się wypada akcentów szorstkich, bo malarz epoki rokoko musi być artystą

wytwornym. Nakoniec, jako na dworaka grzecznego przystało, tłumaczy wychowankom, że osoba wysoko urodzona nie może być w konterfekcie brzydka. Prze-bóg! Wszystkie księżniczki urodziły się piękne. Malarz winien być dworakiem i pochlebcą o giętkim pędzlu. Słabo aplikującym się uczniom profesor surowo doradza, aby się udali raczej do pana Dangla na naukę — lakiernictwa!

Z inicjatywy Bacciarellego powstanie z czasem podręcznik sztuki malowania. Wyda go drukiem i napisze malarz, Antoni Albertrandy, brat historyka. Jest to: „Wiersz o malarstwie“ (Warszawa, u Grella 1790). Podobnie, jak Dmochowski, pisząc swą „Sztukę rymotwórczą“, przypuszczał, że posiadał wszelkie sekrety twórczości i wystarczy trzymać się tylko jego regułek, aby zostać Horacym i Wergilim — tak samo i Albertrandy podaje niezawodne przepisy, jak stać się Tycjanem i Rafaelem.

Stanisław August darzy artystę przyjaźnią najczulszą. Trzy i cztery razy dziennie zachodzi do malarni, „konkluduje imaginację do przyszłego malowania“ i długie trawi godziny na gawędach.

Tak Juliusz II. mostem zwodzonym zachodził do pracowni Michała Anioła, tak Karol V. i Filip II. rozmawiali się w sztuce Tycjana.

W mieście wszelako mówią o tem jak najgorzej. „Bacciarelli — relacjonuje stary plotkarz Magier — zajmował się nieraz w swym gabinecie oddaniem w pędzlu obrazu jakiej znakomitej damy. Wiedząc o skłonnościach ku niej króla, przy malowaniu obecnego, wychodził, położywszy paletę z farbami, do siebie, nieco tam zabawiwszy“... Ks. Kitowicz znowu srodze urąga modelkom, przekonany święcie, że sztuka ma-

larska jest tu jeno pozorem, bo w tem dziwnem „muzeum, gdy zejda się malarze, zaraz między nich na stół wchodzi płatna niewiasta, rozbiera się do naga, układa się w różne figury, w których ją malują. Król zaś Jegomość, siedząc w łoży, przypatruje się temu“. Bacciarelli był tedy w oczach ulicy niczem więcej, jak tylko stręczycielem królewskim. Na jakieś tam inne zasługi jego mało kto zwracał uwagę. A on tymczasem zawstydział króla samego patriotyzmem! Zrozumiał, że nie wystarczy, aby sprowadzeni ze świata artyści sami malowali, ale trzeba, by także Polskę malować uczyli. Także i podróżnik Szulc odczuje to trafnie, rzekłszy, „że trudno mówić o sztuce polskiej, skoro artyści, co się nią zajmują, byli i są cudzoziemcami!“ Bacciarelli domaga się tedy nieustannie wciągnięcia jak najszerzego grona uczniów do malarni i przypomina królowi niemal codzień potrzebę założenia Akademji.

Jeżeli pośród uczniów, stypendystów i współpracowników malarni królewskiej, znalazły się rychło pędzle tubylcze i talenty polskie, niemało w tem zasługi energicznego Włocha. Z jego szkoły wyszedł w r. 1790 artysta tej miary, co Kazimierz Woyniakowski, najtęższy portrecista, jakiegośmy w XVIII w. mieli. U Bacciarellego uczył się Wall, zawsze wierny manierze nauczyciela, realista Smuglewicz i Lesseur w białych pończochach. Do uczniów Imć dyrektora należy Tokarski, który, po studjach rzymskich, został kustoszem galerji królewskiej, dalej Jasiński, dekorator teatralny, Oleksiński, malarz medaljonów i pierścieni, rozdawanych na prezenta, nareszcie Franciszek Padarewski, gospodarz malarni Plerseh, dekorator Pomarańczarni, słynny z arabesk

Ormianin Byczkowski, wzięci i płodni sztycharze Regulski, Teodor Rakowiecki i w. i.

Maestro ma także uczenice. Malarka nie jest w XVIII. w. dziwowskiem, kandydatek na Angelikę Kaufmann i p. Vigée Le Brun nie braknie. Pani Beata Czacka jedzie aż do Gdańska uczyć się sztycharstwa, Anna Potocka studjuje u Viviera i rysuje dość zręcznie widoki Łazienek, Józefa z Mniszchów Potocka raczyła uczyć się u Albertrandy'ego. Maestro ma cztery uczenice: obok córeczki swej, o której już słyszeliśmy, pannę Neuf Germain, kopistkę obrazów flamandzkich, oraz panny Guszowską i Rajecką, które czuły modny pociąg do pastelu i minjatury. Ta ostatnia pensjonarka, wysłana do Paryża na prośby Marteau, urządziła protektorom psikusa, albowiem poszła tam zamaż. Ale dobry król, dowiedziawszy się o brzydkim postępku, nietylko nie pogniewał się o to, lecz przeznaczył także szczodłą pensję dla francuskiego męzulka!

O szkole sztuk pięknych marzy się Bacciarellemu już od r. 1767. Otrzymawszy rozkaz organizacji *de l'établissement des beaux arts*, studjuje signor Marcello z zapałem urzędzenia podobnych instytucyj w Rzymie i Florencji, szaleje w poszukiwaniach zdolnych profesorów portretu i kompozycji, prosi o kredyty na sprowadzenie zbioru odlewów gipsowych, na pracownię z górnem światłem. Sprawa ta przyjdzie później pod obrady na obiadach czwartkowych. Światły wojewoda Mniszech opracuje projekt, jeszcze bardziej wyczerpujący. „Nie masz potrzeby chcieć tu dowodzić, jak wielce sztuki wyzwolone potrzebne są krajowi“ — powiada słusznie wojewoda i radzi także pozbyć się cudzoziemskich pędzli. — „Niech prym Polakom dany

będzie. Trzeba ubogiej szlachcie dać sposób do nabycia talentu, przez który, bez upodlenia szlachectwa, mieliby sposób do życia i nie potrzebowali wysługiwać się możnym". — Szumne projekty urzeczywistniono w części tylko. Choć nie została nigdy otwartą Akademią, jako szkoła systematyczna, przecież w latach 1770—1780 praca wrzała w niej wydatna. Aby nie obciążyć skarbu Rzeczypospolitej, król gwarantował szkole 5.000 dukatów z własnej szkatuły. Do pracowni, urządzonej wedle wzoru drezdeńskiego, sprowadzono kolekcję sztychów, reprodukcji, oraz odlewów gipsowych. Wszyscy niemal bawiący w Warszawie malarze nauczali w Akademii: Duhamel był sekretarzem, Tokarski inspektorem zbiorów, zaś Bacciarelli dobrym duchem wszystkiego. A sztuka polska dopiero w przyszłej epoce ocenić miała doniosłość tej pracy.

Gdy młode pokolenie stawia pierwsze kroki, mistrzowie obcy tymczasem malują zawzięcie. W jednym dziesięcioleciu powstaje więcej obrazów w Polsce, aniżeli ich przedtem wieki całe wydały, pełni się praca tak entuzjastyczna, jakiej nigdy przedtem i długo potem nie widziano. A cóż się maluje? Portrety, niemal wyłącznie portrety. Król daremnie wzdycha do ulubionych obrazów rodzajowych i historycznych, a przyklasnąłby z pewnością dzisiejszemu historykowi sztuki, który mówi o tej epoce: *Mais pour tant de portraitistes combien peu de peintres des moeurs!* Portrecistą jest Grassi, który słynie z doskonałego chwytania podobieństwa w swych miękkich, karminowych pieścidłach, portrecistą jest młodziutki Lam pi, księżycowy pięknoduch o pajęczej delikatności techniki, portrecistą jest, pomimo wszelkie usiłowania króla, Bacciarelli. portrecistami urodzili się Per Kraft

i Graff, Marteau, Lesseur i rzemieślniczo sumienny Pitschman. Trzej ostatni biorą rekord pracowitości: wykonali we trzech parę tysięcy minjatur, podobizn i konterfektów. Mają wprawę i płodność fotografów i są też nimi, a przeto nieocenieni: bo dali nam poznać zbliżka *cette existence somptueuse des grands seigneurs polonais à la fin du XVIII siècle*.

Malarzy rodzajowych i pejzażystów ze świecą szukać. Norblin sam niemal jeden potęgą talentu przeciwstawia się manji konterfektów. Stanie się też dla Polski tem, czem był dla Francji Watteau. Jak tamten Holender stworzył francuskie rokoko w malarstwie, tak znowu ten Francuz malarzom polskim na życie polskie zwrócił uwagę. Obok Norblina, stary Belloto, który lubił wielkie płótna i zamalowywał je krajobrazami i widokami pałaców Warszawy, a „rokokowy świat oglądał obiektywnymi oczyma”. Trzecim pejzażystą jest Vogel. Rysuje chińskie domki, pałace, mosty i łabędzie, produkuje romantyczne sielanki i ckiwe pejzaże. Ogromnie dokładny i wypieszczony w delikatnych liniijkach swoich obrazków.

Artyści wiodą w Warszawie życie jedwabne. Wojażują po magnackich dworach, flirtują z grande damami przy pozowaniu. Chyba za szczodrych czasów renesansu tak opływali w dostatek rycerze palety! Król dba o wszystko, aż stękają pozycje budżetu. Mamy przed sobą listę wydatków z pierwszych lat mecenasostwa. Pan Bacciarelli *et sa femme* pobierają 400 dukatów pensji rocznej, nadto 150 na mieszkanie, 120 na powóz i konie, 40 na opał, a 120 na możliwość odwiedzania teatrów. Wystarczy!

I jednego tylko człowieka braknie w tej kompanji. Artysty, o którym dojdą wkrótce zaszczytne



MARCELLO BACCIARELLI: PORTRET WLASNY

wieści z nad Sekwany. To — K u c h a r s k i ! Osobliważ to dola sztuki polskiej; tworzą ją i z pieluch dobywają przybysze, gdy kwiaty swojskie na cudzych grzędach kwitną. Wzamian za Norblina i Bacciarellego daliśmy zagranicy Kucharskiego i Chodowieckiego ! Wspomniały sztycharz gdański, ilustrator „Myszeidy“, W. Daniel Chodowiecki wynarodowił się już dzieckiem. „*Von meinem Vater her bin ich ein Pole, ein Abkömmling einer braven Nation*“, pisał wprowadzie w swym pamiętniku, ale pozostał Niemcem, jako człowiek i malarz. Kucharski znowu, raz Polskę rzucawszy, nigdy później ani słowem się do niej i o niej nie odezwał. Ten pupil nie udał się królowi. Rzecz dziwna. Stanisław August, tylu ludzi obcych do siebie przyhołubiający, zraził sobie odrazu Warszawianina, który we Francji stanie wkrótce jako modny portrecista obok Greuza i p. Vigée Le Brun !

Tuż po elekcji wysyła król młodego chłopca do Paryża. Snać poznał się na jego talencie, skoro raz po raz zaleca pani Geoffrin, by się małym opiekowała. Nie szczędzi pieniędzy, daje go uczyć u Van Loo, chce posłać do Rzymu. Trzy lata trwa nauka na koszt królewski. Oboje z panią Geoffrin wierzą w genialność chłopaka, ale z przesłanych obrazków król jeszcze niezadowolony. Zaczyna mu tedy, swoim zwyczajem, zadawać tematy. Kucharski nie słucha dobrych rad. Czuje się portrecistą, a król, chcąc go nakierować na malarza historycznego, przesyła gotowe pomysły biblijne i wschodnie do wykonania. Potem ginie ślad wzajemnych stosunków, nieposłuszny pensjonarz wymyka się z pod opieki i idzie drogą własną. Rewolucja daje mu niespodzianie sławę i wziętość. Pełniąc służbę, jako gwardzista narodowy, u wrót więzienia

Marji Antoniny, portretuje ją i Delfina. Te dwa portrety, powtórzone wiele razy, sprawiają, że „*célebre Kukarsky*“, będzie przez wiele dziesiątków lat na ustach całej rojalistycznej Francji. Do Polski nigdy już w długiem życiu nie wróci. Najpierwszy uczeń zawiódł srodze Stanisława Augusta i zabrakło jego głosu mocnego w tej pieśni kolorów, jaką do życia powołało warszawskie rokoko!

Malarze Stanisława Augusta przetrwają króla i jeszcze za Księstwa Warszawskiego pełnić będzie jego polecenia Bacciarelli, wdzięczny za wszystko i za popłacone naostatku długi. A króla wygnanego pocieszy Sztuka, bólów koicielka, jakgdyby w wywdzięce za służbę wierną. W ostatnich gorzkich latach petersburskich przyjdzie mu spotkać się z osobą, którą tak zawsze pragnął mieć u siebie w Warszawie. W tym samym bowiem czasie arcymistrzyni portretu europejskiego: madame Vigée Le Brun przeniosła swoje *soupers grecs* z Paryża nad Newę. Zawarli od razu z królem przyjaźń serdeczną, o której jakże pięknie świadczą dobre słowa w pamiętniku artystki! Przegwarzają sobie o sztuce we czworo z markizem de Riviere i lordem Whitworthem wiele wieczorów.

Przypomni dobra wróżka królowi jasne czasy Łazienek i umili końcowe dni zajęciem, które zawsze i nadewszystko lubiał: będzie jej pozował do portretu, ostatniego już z kilkudziesięciu portretów swoich. Pozując tak przez godzin wiele, rozmarzy się stary król i ukoi, pomknie myślą nad Wisłę, otoczy troską serdeczną swój gaj Akademosa i przyjaciół malarzy, przywiedzie na pamięć Rembrandty i Greuze'y ukochane, malarnię swoją przypomni, oraz ciernie wszystkie z róż królowania wyrosłe!

O CUDZOZIEMSKIEJ SZARAŃCZY.

„Podam ci jeden sposób, ty nie mów przed nikim:
Jeśli chcesz, byś u naszych panów był szczęśliwy,
Zrób się na czas Francuzem, albo też Anglikiem”.

Węgierski.



tóż nie słyszał o Casanovie, najmilszym z awanturników? Senor Giacomo Casanova, kawaler de Seingalt, przemierzywszy wzdłuż i wszerz kontynent, zakosztował wszelkich radości życia, jakie tylko znano w Paryżu i Rzymie, w Madrycie i Kolonji, w Warszawie i Petersburgu. Nosząc wysoko tarczę swego sowizdrzalstwa, żył wyłącznie z gry w karty i z dowcipów, a jak w soczewce zbiegły się w jego postaci znamiona czasu. Świat cały zwędrował senor Casanova, ale tak dobrze, jak w Warszawie, nie było mu nigdzie; więc, gdy ją wesołek musi opuścić, czyni to z uczuciem, którego prawie nie znał: ze smutkiem. Tylu przyjaciół, tyle dusz bratnich! Tak łatwo o worki dukatów! W każdym pałacu i na każdej reducie plejada płci obojej koleżków jego ze świata. Znajome, Bóg wie skąd, hetery bank trzymają na salonach, ciesząc się zaufaniem, którem ich nikt dotąd nie darzył. Jest osławiony major Salvi i baron z wyspy św. Heleny, jest głośny

hrabia Juljusz, Tomatis i wielu, wielu innych. Przy tej sposobności czyni Casanova doskonałą uwagę o królu: „Króla ogarnia zawsze niepokój — powiada — ilekroć dowiedział się, że bawi w Warszawie cudzoziemiec, którego on jeszcze nie zna“... Tę łaskawość królewską dla cudzoziemców odczuje senor Giacomo i na własnej skórze, zarówno wtedy, gdy mu brakło pieniędzy, jak i potem, gdy za pojedynek z Branickim zagrożą mu więzą, albo gorszemi jeszcze następstwami. Ta łaskawość królewska nie jemu jednemu przypadła w udziale. Odrazu po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta zaroilo się w Warszawie od wszelakiego autoramentu gości cudzoziemskich, którzy aż do końca rządów stanisławowskich wyciskać będą niepożądane piętno na fizjonomji epoki.

Warszawa leżała przy głównym trakcie, wiodącym z zachodu na północ, a północ właśnie była modnym celem pielgrzymek, ziemią obiecaną obieżyświatów, którym w ojczyźnie ziemia paliła się pod stopami. Do Rosji jeździli dyplomaci i encyklopedyści, w Polsce zatrzymywali się rycerze szczęścia i wydrwigrosze. *Nennt man die besten Namen* najślynniejszych „pędziwiatrów“, to z pewnością co drugi z nich choć raz w życiu zawadził o Polskę, co trzeci zaś napisał mniej lub więcej ograniczoną książkę o swej wyprawie.

Żeby tylko tak znakomici awanturnicy, jak np. książę de Nassau, lub osławiony bawidamek, hr. Lauzun, który, zanim będzie stracony przez trybunał rewolucyjny, przeżyje w Warszawie najboleśniejszy zawód miłosny z ks. generałową Czartoryską, albo nareszcie owa „*la chevalière d'Eon*“, tajemniczy ptaszek, przebrany w szaty kobiece, a przeznaczony pono przez

Ludwika XV. na amanta Katarzyny, figura, z którą już w Petersburgu skrzyżował szpadę stolnik Poniatowski. Żebyż tylko oni — ale byli i inni, mniej znakomici! Francja XVIII. wieku, cynicznie wobec nas obojętna, Francja Ludwików, która nierozumną, nieudolną i nieuczciwą pomocą przyspieszy tylko katastrofę Baru, przysyła Polsce swe najpiękniejsze idee i swych — najgorszych ludzi. Rzecz jest dziwna: nie pozyskamy dla siebie nikogo z prawdziwych luminarzy, choć nie raz wejdą z nami w bliski stosunek. Ani Russa, który zaznajomi się z Wielhorskim i napisze swą głośną książkę o rządzie polskim, ani Mably'ego, czy Quesnay'a, ani Duponta de Nemours, czy księdza Baudeau, gdy z taką ciekawością badać będą nasze stosunki gospodarcze, ani wreszcie znanego pisarza Pyrrhisa de Varille, choć był guwernerem u Sanguszków. Do żadnego z wybitnych umysłów nie będzie miała szczęścia Rzeczpospolita ani dwór! Omamieni przez Katarzynę encyklopedyści, ubiorą na oczy jej okulary, „nauczą Polaków być ludźmi, ale zohydzą ich ojczyznę przed światem“. Do Polski przywędrują okpiświaty i wyzyskiwacze, którzy nas co najwyżej nauczą zawieszać firaneczki u okien, grać na gitarze i śpiewać przy klawikordzie.

Wszystkich przyjmujemy z otwartymi rękoma! Bo jakże mogło być inaczej w czasach, w których sama nieznajomość języka polskiego i obcość pochodzenia stanowi odszczególniającą zaletę, w czasach, w których bieliznę do prania posyła się do Paryża, a lokaj z Medjolanu, lub oszust z Lyonu znaczy więcej, niż dwóch senatorów w Warszawie, w czasach nareszcie, kiedyto comtessy Grymaśnickie, „retur-

njując" z Paryża, myślą jeno o sfrancuzieniu nazwisk i paryskiej wymowie polskich wyrażeń.

Cudzoziemcami byli senatorowie i dyplomaci, szewcy i krawcy, dentyści, generałowie i powoźnicy. Cudzoziemski akcent erotyczny otwierał najpierwsze alkowy, a już wprost zaprzaństwem dobrego obyczaju było nie mieć francuskiego metra przy dzieciach. „Po dwunastu latach skończonych — napisze później pani Nakwaska w swych pamiętnikach — nie był mi obcym żaden z wielkich tragiczków i poetów francuskich, ale listu najlichszego nie umiałam po polsku napisać i kilku grzecznych słów tą mową wyrzec nie byłam zdolną“.

Napróżno wysilała się literatura. Krasicki w „Doświadczyńskim“, Naruszewicz i Piotrowski w satyrach swoich nie wiele zaszkodzili cudzoziemcom, z których co drugi był defraudantem, zbiegłym przed okiem sprawiedliwości, co trzeci stał na żołdzie obcym. Nigdy przedtem i nigdy potem nie widziano w domu polskim tylu darmożjadów i „pasożytów, zmiatających obiady i wieczerze“. Pospolity wydrwigrosz nosił tytuł szumny: *maitre de plaisir*, a spoglądają na takiego, jak na bożyszcze. Podziwiano rzekomo najświeższy, paryski krój jego fraka, naśladowano harcopfy i podwiązki, patrzono spokojnie, jak kradł w żywe oczy, dziękowano, gdy rabował. A cóż rzec o cudownych lekarzach, głoszących się codzień w „Gazecie Warszawskiej“? Pan Prevost np. siostrzeniec, gdyby się kto pytał, dentysty króla francuskiego: „zab z jednej osoby, drugiej osobie tak wsadza, że się przyjmuje“, pan Embry leczy olejkami z języków węzowych wydęcie gardzieli, sprzedaje proszek turecki na febrę, oraz „specyfik do konserwowania scyzory-



PESZKE: PORTRET SMUGLEWICZA

ków". U każdego niemal magnata bogaci się jakiś zawłoka. Bert zbił majątek u Mniszchów, Vulliamiez u ks. Adama Czartoryskiego, Constancon, Auberge-nois i Cerenne u Potockich, wiadomo też dobrze, ile kosztował ks. marszałkową rzekomy biskup z Lyonu, którego darzyła bezwzględnem zaufaniem!

Każdy głosi się naturalnie kuzynem Burbonów, markizem, — conajmniej hrabią. Nieraz wprowadzie zdarzy się, że jakiś prawdziwy arystokrata francuski, zabłąkawszy się do Polski, brzydko zdemaskuje mniemanego comta, lub duca, (Ludwik XVIII. w Białymstoku), mimo to choroba cudzoziemszczyzny graso-wała epidemicznie. A nie zapomnijmy przytem o półświatku zagranicznym, o tancerkach europejskiej sławy, o które Branicki strzelał się z Casanową, o śpiewaczkach, forytowanych więcej, niż metresy w mitrach książęcych? Kiedy słynna mamselle Binetti przybyła do Warszawy, już po 12-tu dniach miała wspaniale urządzone apartamenta i złote zastawy, piwnice ze staremi winami i ekwipaże, wraz z tuzinem adoratorów.

Król sam najgorliwszy w przyhołubianiu szarańczy, spadłej na Rzeczpospolitą. Z jego słabości i z bezmyślności dworu wyrósł ich wpływ. Ze szczególnem upodobaniem dobiera ich do gabinetu i tajnej rady, która stoi przecież ponad ministrami i radą senatu, nobilituje i daje indygenaty, sypie pensje „gratyskowe" za zasługi, albo zgola niewiadome, albo bardzo wątpliwe, albo też całkiem niedwuznaczne. Wiemy już, że baletnik Vestris był w większej cenie, niż najpierwszy mąż stanu, a przez rok cały będzie król czynił zabiegi o pozyskanie z dworu Ludwika XV. lekarza Scio, o którym mówią, że

pięknie deklamuje, śpiewa i gra na gitarze. Szlachta pieni się! Jaki taki szlachetka, odważywszy się raz na dwór królewski, nie umie ludzkim językiem porozumieć się z tymi podskakiewiczami. Naśmiewają się co gorsza z jego czupryny i szarawarów, piętnują słowami: „ten Polak!“ Jeżeli co wykopało przepaść między tłumem szlacheckim a Łazienkami, to właśnie cudzoziemscy faworyci. Nobilitacje, indygenaty doprowadzają szlachtę do wściekłości. Ten król, który „dziada rodzonego pokazać nie mógł“, ośmiela się im, szlachticom dubeltowym czwartego gradusu, narzucać świeżo upieczonych towarzyszy herbowych, waży się naruszać rodowe tabu! Mimo to wszędzie pełno szarańczy. Król oddaje im najważniejsze agendy państwowe z tą samą łatwością, z jaką poleca im wieczorem przyprowadzać sobie piękne mieszczyki warszawskie, lub kurtyzany paryskie najświeższego stempla. Agendy zagraniczne Rzeczypospolitej pozostają w rękach niegodnych zaufania „ambasadorów“. Monet i Mazzei uganiają po Paryżu, aby zdobyć dla króla pożyczki, których większa część tonie w ich własnej kieszeni.

Trzeba nam koniecznie poznać bliżej chociażby kilku z tych panów.

Prym niechaj dany będzie handlarzowi żywym towarem i kordjalnemu przyjacielowi króla, szambelanowi Corticelli. Niewiadomo, co więcej podziwiać u tego człowieka: olśniewającą znajomość dzieł Russa i Spinozy, obycie z ideami racjonalizmu, czy też talent szczególny do fałszywej gry i kuplerstwa? Zrazu bardzo przystojny, później zniekształcony chorobą weneryczną, garbaty i odrażający, prowadzi jawny handel królewszczynami, wywozi dziewczęta z Wiednia do Warszawy, to znowu posłuje, ku zgor-

szeniu całego Wiednia, na dworze habsburskim, w międzyczasie dopuszcza się kolosalnych oszustw w żupach wielickich i sprzedaje sól polską królowi pruskiemu. Ale że był giętki i oświecony, a umiał się nisko kłaniać i pięknie konwersować po włosku, francusku i niemiecku, więc go przez wiele lat król utrzymywać będzie na świeczniku i zaszczyci godnością generał-adjutanta. I głęboko dotknięty czuje się słowami Józefa II., który miał wyrzec na widok Corticellego: „Czyż król polski nie mógł mi już nikogo innego przysłać, jak tylko swego kuplera?”

Pan szambelan Corticelli nie należy bynajmniej do wyjątków. Oto inny przyjemniaczek: Antoni de Friese. Sekretarz kompanji manufaktur wełnianych, pomaga królowi w pisaniu pamiętników, a równocześnie jest agentem Repnina i płatnym przez dwory denuncjantem żołnierzy kościuszkowskich. Będzie króla przez lat wiele naciągał, a potem, po abdykacji, oskarży w Grodnie o marnotrawstwo. Albo taki szambelan Boscamp, internuncjusz, zakała gabinetu królewskiego, Rumun z pochodzenia, powieszony, przynajmniej jeden. Miał dostęp do najpoufniejszych misji państwowych i uprawiał działalność publicystyczną za rosyjskie dukaty. Tajnym agentem Igelströma jest monsieur Littlepage, zajadły targowiczanie, figura niesłychanie łapczywa na grosz, bardzo czynna w machinacjach rozbiorowych, nieustannie w jakichś misjach tajemniczych.

A pan redaktor Mehée? Olbrzymiego wzrostu, kosmaty i obszarpany, *comme ces brigands, qu'on voit dans les romans d'avantures*, agent policji tajnej Ludwika XVI i konfident carycy, jakobin, opłacany przez Rosję, przyjechał do Warszawy z poleceniem zwal-

czania ustawy majowej, a, zostawszy na życzenie i z poparcia króla wydawcą i redaktorem *Journal de Varsovie* napisał potem bezczelną i oszczerczą książkę „*Histoire de la révolution de Pologne en 1791*“, w której gładko udowodnił, że „mało jest na świecie krajów, gdzie głupstwo i pycha większą przeciw Francji (!) zięją nienawiścią“.

W porównaniu z kreaturami podobnemi o ileż mniej szkodliwi są zawodowi rycerze szczęścia: już to taki włóczęga i oszust, jak „hrabia“ *Manuzzi*, ożeniony przez króla z Jedwiżką *Opeską*, albo też *Tomatis*, gracz fałszywy i birbant osławiony, kupczący pięknnością swej żony, którą po całym świecie sprzedaje, szczęśliwy przedsiębiorca teatralny, co potem zakupił Królikarnię, wybudował tam pałac, oranżerję z wspaniałym parkiem, dla urządzania wesołych orgij.

Ilustracją zapatrywań wszystkich, grasujących w Polsce cudzoziemców, niechaj będzie francuski pamiętniczek znanego nam już *Reverdila*, który miał nie tylko obowiązek czytać królowi do snu książki, ale i żenić się z dymisjonowanemi metresami. Zarozumiały próżniak obraża się w swym pamiętniku o każdą wymówkę króla, gniewa się, ilekroć każą mu coś robić, a przemyśliwa ustawicznie, jakby to *corriger la fortune*. „Wszyscy inni cudzoziemcy robią majątki *et à moi rien!* — woła z rozpaczą. — Za tyle trudów, względów i małżeństw uganiałem się za fortuną, teraz jej będę oczekiwał z rękoma założonemi w łóżku“. Taki *Boscamp* jest bardzo bogaty, *Barnevyl* zdobył posadę w Radzie Nieustającej, tylu durniów i nicponiów robi karierę, tylko on nie może nawet wykołatać zdwojenia liczby świec i karety z parą koni!

Także i zgoła pospolite oszusty nie omijają stolicy. Jeden taki np. przedstawi królowi projekt radykalnego usunięcia wszystkich żebraków, którzy byli plagą Warszawy. Poleca ich zgromadzić w osobnym domu, gdzie zakładał jakoby wielkie dla nich schronisko i każe się przebrać w nową odzież. Dowcip bowiem leżał w tem, iż żebracy w sakwach swoich mieli wiele złota, które sprytny oszust skonfiskował i umknął cichaczem. Drugi znów leczy wszelkie choroby zapomocą cudownej mikstury, przyrządzanej z „pereł, prażonych na wolnym ogniu“. Pacjentki winne były złożyć możliwie wielką ilość pereł panu konsyliarzowi, który je nibyto rzucił do tygła, a właściwie chował zręcznie do kieszeni.

Jakże bardzo wstydzić się musi za nich wszystkich, jak ubolewać nad łatwowiernością Polaków, tak bliskich jego sercu — szanowny książę de *Ligne*, *grand seigneur* wyjątkowej kultury, pisarz, rycerz i wytwórniś, który zostawił po sobie aż 32 tomy dzieł oświeconych, ożenił syna z księżniczką Massalską, daremnie przemyślał, bawiąc na dworze królewskim, nad ratunkiem dla Polski, a tuzinkową płytkość umysłów współczesnych przerastał, jak mało kto inny! Nie sposób o nim mówić tutaj, w tak niedwuznacznem towarzystwie! Więc niema w czeredzie cudzoziemców, ludzi godnych szacunku i dobrego wspomnienia? Niewielu bardzo, a przeto tem skwapliwiej ich poznajmy. Do przyzwoitych zgoła należy Szwajcar, doktor *Lafontaine*, znany ze swego przysłowia „djabeł porwaj“, przyjaciel Kościuszki, później chirurg generalny armji Ks. Warszawskiego, który zakończył życie nad Berezyną, dalej rodak jego, Maurycy *Glaire*, „niezbrukany nikczemnością“, aktualny kon-

syljarz gabinetowy, organizator masonerii, wysyłany w ważnych misjach do Paryża. Też wspomnieć tu można o Gigliottim, przebiegłym i rozrzućnym sekretarzu króla, ale człowieku uczciwym, o poczciwcu starej daty, teatynie i pedagogu Portaluppiim, bo o braci artystycznej, która w tak przeważającej liczbie rekrutowała się z zagranicy, mówiliśmy już poprzednio.

Dwom należą się słowa uszanowania dobrze zasłużonego. W części przynajmniej ratuje honor zagranicy sekretarz króla, *monsignore* Scipio Piatolli, polski Talleyrand XVIII. stulecia. Wszakże to u niego w domu, w skromnym pokoju na Zamku królewskim, stała kolebka ustawy 3-go maja i odbywały się w najgłębszej tajemnicy owe chwalebne narady, na które król wymykał się *incognito*, w towarzystwie głuchoniemego Wilcza. W zaufanem gronie czytano i roztrząsano pokolei paragrafy przyszłej konstytucji, a niepokaźny Florentyjczyk, „wyrocznia nowatorów“, przemawiał co chwila *con fuoco*, oddając na usługi konspiracji niepospolity talent polityczny, dzielne pióro i wysoką inteligencję. Może najlepszym uczynkiem, jaki przydarzył się w życiu ks. marszałkowej, było ściągnięcie Piatollego do Polski. A długą przebył drogę, nim się znalazł w rządzie współtwórców ustawy majowej. Żądza roboty politycznej rozrywała go na wsze strony. Najpierw papista, potem ścigany ostro jako heretyk, raz jakobin, to znowu szef gabinetu paryskiego ks. Lubomirskiej, zrazu walczy zaciekle przeciw królowi, by w czasie Sejmu stanąć przy nim jako duch dobry, zwalczany przez całą kamarylę dworską i wszystkie kierowane przez ambasadora „kwochy“! *Monsignore* Scipio, były profesor wszech-

nicy w Modenie, nie zrobił w Polsce kariery, ani majątku. Poprzestał na 20 dukatach miesięcznej gaży, ale pięknej roli, jaką odegrał na dworze, mogło mu wielu, bardzo wielu dworaków pozazdrościć!..

Generał Fryderyk Kokcej (Cocceji), tak wdzięcznie wspominany w pamiętnikach króla, to typ rzadki w XVIII. stuleciu: najwierniejszy z faworytów i dziwny manjak honoru. Chociaż Prusak najczystszej krwi! Syn pruskiego kanclerza i ministra rzuca wskutek jakichś przejść przykrych służby poczdamskie i, mimo łaskawość Fryderyka, przenosi się do Polski. Króla ujął sobie odrazu bystrością kultury i sercem. Dość powiedzieć, że porwany przez konfederatów monarcha do niego w pierwszej chwili śle list z prośbą o ratunek. I tak się stało, że gdy król pruski pętlę na Polskę zarzuca, syn jego kanclerza ratuje króla polskiego w najcięższej opresji! Oddaniem swoim zawstydzia wujów Czartoryskich i mówi wprost: „Najpierwszą powinnością moją jest być wiernym mojemu władcy!” Nie znaczy to bynajmniej, że był Kokcej pierwszym w duszy królewskiej. Stanisław August fatalnie nie znał się na ludziach i nie odróżniał szumowin od czystych charakterów. Wystarczyło mu jakże często słowo układne, giętki ukłon, lub frazes dobrze z francuskiego poety zacytowany, a wtedy „odebrawszy zapewnienie miłości od nich, z wylaniem serca twarz ich po kilka razy całował!”

*

*

*

Już więcej szczęścia mieliśmy do podróżników-pisarzy cudzoziemskich o Polsce. Obrzydliwy, podobno koronowany autor niecnego paszkwilu „*L'orangoutang*

en Pologne", oraz znany nam już oszczerca Mehée są na szczęście wyjątkami. Nie brakło wprawdzie pośród piszących o Polsce ludzi nawskrós nam nieżyczliwych. Do tych należy przede wszystkim i niestety pisarz świetny, twórca „Pawła i Wirginji”, Bernardin de St. Pierre, który z bezgranicznem lekceważeniem pisał swą płytką i pobieżną „Voyage en Pologne” (1770). Relacyj stetryczalego rezydenta saskiego, Essena, wypełnionych bezmiarem plotek, nie można także czytać spokojnie. Z wyraźną ku nam niechęcią nie kryją się też wcale dwaj reprezentanci Francji rewolucyjnej, Fortia de Pilles (1792). Obiektywnie, bez sympatji i złej woli piszą wszyscy inni: Vautrin i Kausch, hr. de Segur, Bielefeld i Casanova. Wrażenia kobiet podróżujących (lady Craven, madame de Crecqy, księżna Daszkow) są krótkie, płytke i pobieżne. Nietyle z lotu ptaka widziane, ile z mózgu ptasiego wysnute. Niezwykłą, zadziwiającą życzliwością odznacza się dziennikarz niemiecki, Eryk Biester (1791), który tak pobłaźliwie osądza Rzeczpospolitą i tak dodatnie odnosi wrażenie, jak to się żadnemu Polakowi nie trafiło. Ale trzem podróżnikom winniśmy wdzięczność szczególną. To autorzy sumiennych i wyczerpujących obrazów życia Polski: Inflantczyk Szulc, Anglik Coxe i Holender Bernoulli. Gdyby nie oni, nie znalibyśmy obyczaju i kultury Polski Stanisławowskiej tak dokładnie, jak znamy. Te trzy książki są źródłem zasobnem, do którego nieraz historyk epoki sięga po informacje. Te trzy książki, choć krytyczne i obiektywne, są też holdem, złożonym kulturze polskiej XVIII. wieku i dziełu mądrego króla.



LESSEUR W.: PORTRET WLASY



OBIADY CZWARTKOWE.

*Uczta w Olimpie Jowisza z bogami
Nigdy nie miała tej sławy
Co obiad, czwartku, ma dziś między nami,
Gdzie mądrość stawia potrawy!*

„Zabawy przyjemne i pożyteczne” 1775.



gdy piększą się wszyscy, więc i Muza polska zasiadła przed lustrem, by rozczesać swój warkocz, niesforne od wieków spletany. Kołtunem dotąd zlepione włosy, jęły się spletać w kosę porządną,

oraz w ozdobne piętrzyć pukle. Bo rażno zabiegają fryzjerzy! Stanisław Konarski, co to pierwszy ośmiał się być mądrym, Franciszek Bohomolec i Adam Naruszewicz i książę biskup Warmiński, zakasawszy po łokieć haftowane „pleureusy“, uwijają się wokół toalety. I wkrótce maskara w strojnisię przemieniona.

W blaskach słonecznych lśnią znowu szczyty polskiego Parnasu, zefirek słodki przepędził precz mgły ciężkie. Jeszcze wczoraj „akademja wszelkiej sciencji pełna“ ogłupiała nieuczonych ludzi, co jeno Alwara gryźć, jak rzepę, umieli, jeszcze niedawno ślepego rymokletę (Bieżanowski zwał się i żyje dotąd) Homerem polskim, ba nawet „ojcem ojczyzny“ okrzyknęto w podzięcie za półtora sta panegiryków. A dziś?

Jakże prędko i gorączkowo uczą się ludzie, wpatrzeni w hasło: „Doskonalijcie władzę rozumu, a zbliżycie się do prawdy, szczęścia i spokoju!“ Wróciły widno czasy owe wspaniałe, w których senator polski za pan brat chadzał sobie z Erazmem z Rotterdamu i Eneaszem Sylwuszem, zbierał laury wdzięczne od papieży, przeto, że najpiękniej w Europie łaciną włada; wróciły, zda się, wieki dumne, kiedy to królowi polskiemu hołd niosły najuczeńsze rozумы świata, a Jan Czarnoleski lipę polską na Olimpie zasadził! Ta sama i przedziwna, jak wtedy, żądza światła kołacze się w piersiach Polaka oświeconego. „Budząc się — pisze gdzieś Trembecki — widzę wokół siebie Platona, Cicerona i Montaigne’a, którzy opowiadają mi wiele pięknych rzeczy. Resztę dnia spędzam z Monteskiuszem, Janem Jakóbem i Saint-Pierrem i biorę od nich uświadomienie; czasem przyjdzie Vergili, aby nas rozczulić, to znów Lafontaine ucieszy bajką i powiastkami nieśmiertelnemi; wieczorem zasię w tem samym łóżku zasypiam z szanownym Homerem!“ A skoro jest w modzie uczoność i oświata, to należy dorównać w biegu narodom najpierwszym. „Wesele Figara“ grają w Warszawie u pani Godzkiej pierwszej, niż na to pozwolono w Paryżu, przed wielkością Szekspira korzy się nisko, król polski, choć jeszcze nie dała na to aprobaty Francja literacka. Polska wchodzi w modę. Rousseau, Wolter i Mably, debatują nad jej ustrojem, Delille sławi ogrody puławskie. Marмонтel przesyła królowi egzemplarz „Belizarjusza“ z zapewnieniem, że jego elekcja jest datą w historii ludzkości, Diderot tylko z powodu choroby nie wstąpił, tak jak Grimm do Warszawy, a Wolter, mimo wszystko złe, co dla Polski zrobił, pozostaje w żywej

korespondencji ze Stanisławem Augustem, „krzewicielem mądroj tolerancji“. Z pod pras warszawskich bieżą tłumnie książki, liczba drukarń i księgarń pomnożona w dziesięćkroć. Encyklopedyści polscy roznamiętnieni pracą. Brak im fantazji twórczej, są zimni i oschli, choć mówią wiele o „czułości serca“, za to posiadli wszystkie sekreta dobrego gustu, rozwinęli kunsztowne formy klasycznego stylu. Strofa polska podszeptuje Krasickiemu takie tajemnice, jakich skąpiła nawet Janowi Kochanowskiemu; wiersz, którym władają poeci, jest tak wytworny, jak ich życie. Dramat przeży się w powiśkach i powieść nowożytna, satyra, elegja i sielanka, traktat moralny, i dziejopisarstwo. Co miesiąc pisze nową „dramę“ pan Zabłocki, co tydzień „Zabawy przyjemne i pożyteczne“ radują czytelników i słyhać poświst ostry satyry „Monitora“.

Dwa nakazy nadewszystko święte obowiązują poetę. Unikaj pospolitości — *évitez la bassesse* to pierwsze, *étudiez la cour*, ucz się mądrości u dworu, rzecz druga. A dworów było dwa: królewski i puławski. Król i rówieśnik jego, książę Adam, obaj najpierwsi siewcy oświecenia polskiego, to współzawodnicy nie tylko w walce o koronę, lecz i o mnożenie cywilizacji w Polsce. W Warszawie i Puławach biją źródła kastalskie, a król bierze prym i palmę w wyścigu.

Étudiez la cour, brzmi hasło, zaczem u dworu widać coraz nowych gości. Codziennie jak rok długi, lecz we czwartek szczególnie. Stołnik Poniatowski, wojażując po Europie, nauczył się wielu rzeczy, które się potem przydały królowi polskiemu. Przyjrząwszy się zbliżającemu się schorzałej Francji przedrewolucyjnej, spostrzegł, że sercem i tętnem Paryża jest salon, że prąd oświecenia urodził się przy kominku i kieliszku.

wina. Nie na martwych, choć wystawnych *soirées* dworskich, a na *cercle*'ach literackich i podwieczorkach, których Fontenelle, chociaż stuletni staruszek, do śmierci nie opuszczał. Oglądał to na własne oczy król za dni swej młodości. Nie pozwoliła wprawdzie papinkowi „maman“ Geoffrin brać udział w zebraniach, ale tem lepiej zrozumiał ogromne znaczenie owej dziwnej herbatki, która elitę Paryża z Buffonem, Russem i Marmontelem na czele gromadziła w mieszkaniu żony fabrykanta luster. Przy ulicy St. Honoré częściej decydowały się losy Francji, niż w Wersalu, a wielka rewolucja odbywała pierwsze próby z sordiną w ciszy gabinetu.

*

*

*

W alejach łaźienkowskich gromadzili się goście o drugiej lub trzeciej z południa i, przechadzając się w szpalerach, przybycia króla oczekiwali. Wśród arcy-mądrych labusiów w fioletach, wśród senatorów z Apollinem w herbie, kobiety nie znajdziesz na lekarstwo. Gospodarz pojął to jeszcze w Paryżu, że Muzom nie w smak niewiasta. Bo strojnisia, chociaż doda salonowi splendorów i pieprzyka, ale też i niechybnie zmaci tok uczonego dyskursu. Pani Geoffrin ani jednej kobiety do siebie nie puściła, nie znosi ich też na *cercle*'u literackim marszałkowa Luksemburska, oraz „Muza encyklopedji, madame de Tencin. „Kochanek wszystkich żon“, co bez kobiety życia nie rozumiał, przyznał Paryżowi rację i zdobył się na czyn heroiczny: na obiedzie czwartkowym nie słyszano ni razu szczebiotu niewieściego!

Tymczasem na pokojach wydawał marszałek dworu ostatnie dyspozycje. W sali bawialnej usta-

wiono stoły w podkowę. Nakryć jest zazwyczaj dwa-naście. Nieco więcej, niż u Woltera w Cirey, a zato nierównie mniej, niż przy ulicy St. Honoré. A wygląd stołu inny, niżeli dotąd zwykle bywał w Polsce. Niema brudnego ręcznika, wzdłuż stołu przeciągniętego, którym sobie biesiadnicy pokolei usta wycierają, niema mis obręczowych, w które każdy łyżką swoją sięga. Król dba zarówno o wykwint stołu, jak umysłów. Środkiem, przez całą szerokość, leżą lustra na drobnych nóżkach, na nich stoi muz dziewięć z białego alabastru, które umyślnie z Włoch sprowadzono. Wpółśród Muz marmurowe wazon y z kwiatami, a w zagięciu podkowy mała fontanna. Goście siedzą tylko po jednej stronie stołu. W lustrach odbija się łyskliwe światło kandelabrow i starannie na ten dzień przeczesane pukle zaproszonych gości. Nawet Trembecki odziewa się czysto we czwartek. Jest jeszcze kilka nakryć w rezerwie, bo nużby kogoś niespodzianie z marszałkowskiego stołu wezwano?

Do *menu* czwartkowego nikt szczególniejszej wagi nie przykład a. Wie dobrze Imć pan Tremo, że nie o potrawach w dyskursie będzie mowa, a kielichy po nich pójdą tylko *ad hilaritatem*. To pewna, że nie podadzą *antiquo more* bigosu hultajskiego, ani sztokfisz a, za to nie braknie nieodłącznej „królewskiej zwierzyny“, t. j. baraniny, bo król za nią przepada. Potrawą czwartkową były jarząbki, tak przedziwnie słoninką szpikowane, że Aleksander Fredro, słysząc o nich w drugim pokoleniu, z westchnieniem obli-zywać się będzie. Napojem czwartkowym jest „Popiel“, („wino pewne węgierskie, kosztowne i stare, a tak mocne, że król sam go nie pija, a innym tylko po kieliszku

małym pozwala“). Rzetelny był ten „Popiel“, bo myszką mocno zatraćał, zaczem na obiadach czwartkowych lepiej działo się, niżli na assamblach w Cirey, gdzie podawano cienkusza straszliwego, któremu dopiero Wolter smaku dodawał zapomocą pieprznych dowcipów z „Pucelle“.

Już zasiadł król Jegomość do stołu na krześle *cum insigniis regalibus* i kompanji toż samo uczynić zezwolił, już szambelan urzędujący zupeł królowi nalewa, tedy czas i sposobność przyjrzeć się zbliżka biesiadnikom.

Przewodniczy zebraniu naturalnie ten, „który wszystkie załatwia ekspensa: dowcipu, wiadomości i wina i mięsa“. Bez jego towarzyskiej słodocy, bez jego bystrości i lotności nie dałyby się czwartki pomyśleć. Król cieszy się zawsze przez cały tydzień na czwartek, a na obiedzie nie widziano go nigdy w złym humorze. Jest w kole najbliższych przyjaciół i niema na sali ambasadora rosyjskiego. („O jakże tęsknię ja do ulgi od zbytniej i prawdziwie już zbytniej pracy! O jakże miłe będą znowu czwartki“, wyzna w liście z r. 1776). Któż obok króla? Rozumie się, że ks. biskup Adam Naruszewicz, który ma prawo do podwójnej racji „Popiela“; jego wierszyk, chociaż djabło ciężki, jest wydarzeniem dnia, z jego dowcipu, jakkolwiek rubasznego, wszyscy śmiać się muszą, a gdy czyta nudno mądre ustępy ze swej historii, któremi król się zachwyca — towarzystwo ziewa ukradkiem. Lecz Naruch już wszystkim zwyczajny jako domownik, kto inny zato w niezwyklej chadza tu estymie. Nie byle kto, nie byle kto! Niech nam wierszyk go sprezentuje:

„Biskup warmiński, gładysz gładkich sentymentów,
Nie lubi mieć o wiarę trudów i zakrętów,
Czyli w tej, czyli w owej wierze żyć jest jedno,
Lepiej zawsze w rozkoszy, niż tam, kędy biedno!...”

Krąży również po mieście figlarny rysunek, przedstawiający księdza biskupa przy mszy św., do której mu panny w robronach usługują. Ale niktby się nie ośmielił wspomnieć o tem polskiemu Wolterowi, o którego przyjaźń i obecność we czwartki król skwapliwie zabiega. Mimo wszystko, co pomiędzy nimi zaszło, mimo, że już dawno nazwał przyjaciela młodości „niewdzięcznikiem“, jakiego dotąd nie było i nie będzie. Wiadomo, że od czasów barskich jeszcze łączy „Mineta“ z królem stosunek dość etykietalny, a dawne stosunki przyjaźni nie naprawią się nigdy, niemniej jednak talent wspaniały odbiera hołdy należne. („Gasło wszystko — notuje kronikarz — gdy zjawił się przy stole“). A gdy z Heilsberga przysłał wiersz jakiś do odczytania we czwartek, król odpisuje mu rozradowany: „Wiersze Waszej Księżęcej Mości poznałem zaraz czyje są i w tem się ze mną zgodziła cała nasza czwartkowa kompanja, która, gdy na suche czasy skarżyć się poczyniała, z osobliwą słodyczą przyjęła to pocieszenie *de rore coeli!*”

Król gotówby nawet partję lombra na obiedzie czwartkowym urządzić, gdy dowiedział się, że śpiewak „Myszeidy“ najchętniej pisze pomiędzy jedną a drugą kolejką i ma u siebie zawsze inkaust i papier przy kartach. Cóż, kiedy go ciągnie gdzie indziej!... Woli płaszczyć się przed Fryderykiem i znosić choćby upokorzenia przy cienkiej zupce w Sans Souci, niż tutaj błyszczeć w glorii wielkiego pisarza. Fryderyk tak go polubił, że nawet kosztą podróży z Heilsberga do

Poczdamu płaci, a także długi wszystkie! Dwór pruski bawić się nie umie, tedy wieńczy biskupa kwiatkiem, dukatem i wierszykiem, byle im tylko zabawy urządził! W to graj wesołkowi! Opowiada ucieczne anegdotki, zgłębia niepotrzebnie ośmieszając w nich Stanisława Augusta, urządza dla dworu festyny u siebie w Heilsbergu, przebiera grafinie za nimfy, obrzuca je kwiatami, są fajerwerki rzadkie i szlichtady, są tańce i festiwale, bo będą za to dla grzecznego biskupa pieniądze.

W każdym calu inny jest faworyt drugi. Siedzi właśnie przy stole czwartkowym osowiały, wieczysty żebrak i genjalny poeta, oczajdusza, zafantowany za życia, pan szambelan Trembecki. Czy znano gdzieś indziej na świecie poetę i to poetę wysokiej miary, którego by pan i król, nie mogąc sobie w inny sposób dać z nim rady, oddał pod kuratelę kamerdynerowi i nakazał surowo, iżby „Trembecki bez woli i wiedzy swego opiekuna Bruneta nic czynić się nie ważył?” Tedy jest osowiały pan szambelan. Nie jada mięsa i nie pije wina, nie lubi tych ludzi i lekceważy ich. Jest przedmiotem uwag i docinków, gromiony nieraz przez Naruszewicza za zmyślenia. Przychodzi tylko z musu i czyta rzadko swe gładziutki wiersze pochlebne, lub „Syna marnotrawnego”. Absentować się nie wolno, gdyż osoba poety jest własnością króla. Pamiętne przecież ultimatum, które mu król postawił w r. 1781. Ultimatum straszliwe: „Ale jak mi we czwartki nie będziesz bywał, to i płacić przestanę. Ja ciebie samego chcę mieć w prowizji”. A on wyprasza się, jak może: „O jedną tylko bagatelkę mam jeszcze jak najpokorniej suplikować, abyś mię, Sire, już na czas dalszy od bywania na czwartkach uwolnić raczył”. Nic nie po-

maga, więc dalej prosi: „Przez jakoweś przeczucie zawsze ja tego zgromadzenia unikał, na którym bywać W. K. Mość swym powtarzanym przynaglałeś mię rozkazem“ i oto teraz „ten fatalny czwartek, pretekstów starej mody przeciw mnie dostarczył“.

Ta pretensja do czwartków fatalnych, zaiste śmieszna, bo przecież „pretekstów“ przeciw Trembeckiemu całe jego życie dostarczało. Pono kiedyś w Paryżu był straszliwie honorowy, ognisty i zawadjacki, zabijał markizów, klucze całe w karty przegrywał — w Warszawie jest pochlebcą najpokorniejszym i rycerzem industrii zgoła pospolitym. Nieustająca zebrania na prawo i lewo, szantaże i wymuszenia szambelana, znudziły nawet Stanisława Augusta. Talent boży, największy dar słowa, jaki kiedykolwiek miał w Polsce literat — marnuje, aż grzech patrzeć. Nie-dościgniony gładysz rymów i peryfraz, tłumacz przedziwnie subtelny — cóż nam po sobie zostawił? Kilkadziesiąt wierszy, zebranych, jakby od niechcienia, trochę przekładów i prozy historycznej, wiele drobiazgów z dewizą wyraźną: *pour corriger la fortune*, a dopiero pod koniec życia jedyny wysiłek twórczy: „Zofjówka“.

Tak myślano i mówiono o Trembeckim na dworze, ale szczególnie zjadliwie docinał mu młokos, rogaty i butny, z którym się często wzajem asafetydą obrzucali — starościc Węgierski. Jeśli to wogóle prawda, że ten na Wolterze ostrzony jęczyczek dopuszczony bywał do splendoru czwartków? Jest przecież paszkwilistą, co „pięć Elżbiet oczernił“, a jego szyderstwa z drzemiających gości czwartkowych obiegly całą Warszawę. Marnuje się, jak Trembecki i także szkoda wybornego talentu.

Gdyby Tomasz Kajetan Węgierski nie miał istotnie wstępu na te sympozja, lub, co jeszcze lepiej, gdyby Apollo wogóle nie miał dzieci w Warszawie — o ileż głódziej wiodłoby się nieszczęśnikowi Bielawskiemu! Jedyne, jak sam twierdzi, filar sceny europejskiej obok Racine'a, twórca najcelniejszych, w swem mniemaniu, wierszy, ponadto wielbiciel wszystkich kobiet i zawsze o dobrym apetycie. Gdybyż tylko nie ci szydery! Patrzy Bielawski niespokojnie od talerza, czekając, z której strony strzał padnie. A pada co czwartku. Kto żyw, kpi niemiłosiernie, nie zliczysz ucinków, dwuwierszy, czy nagrobków, składanych pilnie przez cały Parnas. Bielawski odciąć się nie potrafi, bo tępy jest w słowie i myśli pomалу. A skoro siądzie z nieszczęsną miną przy Węgierskim, wtedy król — bywało — woła marszałka Woynę i każe się mu pośredku na znak, że wojna między poetami. Pociski dowcipów wybuchają co chwila. Mówi np. Węgierski:

— Mości Bielawski! Chciej na moją instancję wydać jeszcze jedną komedję, ale w ten sposób: weź treść z Moljera, niech ci Potocki z Wyrwiczem rozkład zrobią, Karpiński da rymy, Zabłocki wiersz napelni, a u spodu tytułu, którego inwencję ja na siebie biorę, napisz: „Na prośbę Imć pana Węgierskiego nie napisałem wcale tej komedji!“

Wspomniano wyżej o Karpińskim. Ale ten jest gościem rzadkim. Na Pokuciu mało mówiono mu o galanterji i przeto nie wie pan poeta serca, że nie wypada rąbać wszem wobec prawdy niegrzecznej. Darownie król nalega, by przyjeżdżał częściej. Przepowiada sobie pocichu werset z Juwenala: *Quid Romae faciam? Mentiri nescio.*

Od Karpińskiego Bohomolec tu przydatniejszy. Podwójnie rada kompanja czwartkowa ks. Franciszkowi. Naprzód, że głowa uczona, gust wyborny, powtóre: piosenkarz. Podobno „Kurdeszowi“ swemu zawdzięcza, że się tak szybko w gronie senatorów literackich znalazł. Jeśli to prawda, że on wogóle owego „Kurdesza nad Kurdeszami“ napisał. Bo mówią, że raczej stary Czaplic. Dla przeplatania humorem materij poważnych ks. Franciszek nadaje się doskonale. Na jego komendę śpiewają wszyscy, jako kto umie, w gronie Apollina:

„Fraszka taka mądrość dzika,
Co pozorem myśli straszy,
Pieśń powabna myśl przenika,
Sercu wesołość od flaszki.
Po szklaneczce do piosneczki,
Po piosneczce do szklaneczki...”

Na intencję nowej piosneczki napełniono kielichy, a wtedy *inter pocula* raczył ks. biskup Krasicki nową strofę do Bohomolcowych przydać:

„Wieńczmy czoła nasze różą,
Dla dziwaków tylko kolce,
Dobrze nam się czasy wróżą:
Niech się rodzą Bohomolce!”

A król śpiewów nie broni, bo przypomniał sobie może z lat młodych, jak to uroczysty Montesquieu nucił figlarne kuplety przy kominku u pani Geoffrin. Zaczem dyskurs powraca znowu do tematów uczonych i ten sam ks. Bohomolec radzi teraz wraz z królem, o czym pisać się będzie w najbliższym „Monitorze”.

Za to, że od lat wielu pracowicie komedje na teatrum układa, nazywają Bohomolca „polskim Moliérem“. Jest to krzywdą oczywista dla Franciszka Zablockiego, któremu raczej ten honor przynależy. Gdzież równać z nim Bohomolca? Pisarz „Sarmatyzmu“, aplikant gorliwy teatru nowoczesnego, scenę czuje jak nikt inny, lecz chwalić się nie umie. Niski i niepokazny, mówi mało i ciężko, a rudej peruki nigdy nie pudrował. U króla w łaskach oczywistych. Za akt „Fircyka“, odczytany we czwartek, medal od króla znalazł w serwecie i aplauz słuchaczy, tak powszechny, niczem Beaumarchais, gdy niedawno temu w Paryżu czytał zachwyconym biskupom i senatorom „We-sele Figara“.

Wojciech Bogusławski bywał także gościem częstym. Zdarzyło się, że siedział raz u stołu obok dumnego kasztelana.

Ten słysząc króla, łaskawie do artysty przemawiającego i zowiącego go po nazwisku, myślał, że to jakiś magnat uczony, lub dworzanin królewski. Chcąc więc okazać mu grzeczność swoją, korzysta z najpierwszej przerwy w rozmowie i rzecze:

— Jaka to szkoda Mości Dobrodzieju, że u nas w Polsce taka bywa konfuzja imion rodowitych!

— W czymże to panie kasztelanie i komu szkoda? — zapytał artysta.

— Otóż samemuż Wpanu Dobrodziejowi: chociaż pierwszy raz mam honor go widzieć i słyszeć jego nazwisko, a już mnie to obchodzi, że się tak właśnie zowie jakiś tam szerepetka, kuglarz, co to, Mości Dobrodzieju, na teatrze udaje, przedrzeźnia i ludzi śmiesz.

— Właśnie to ja sam nim jestem — odpowie Bogusławski — co czasem hrabiów, czasem kasztelanów i błaznów udaję, Mości Dobrodzieju!!

To mówiąc, przybrał zupełnie jego ton i hardą minę.

Dowcipów nie składa, lecz milczy opryskliwie historyk i współredaktor „Zabaw przyjemnych“, Albertandy. W poszanowaniu, ale nielubiany. Ledwie go widać, bo wzrostem chłopaczka 12-letniego mało co przewyższa. Pomarszczony, niby owe pergaminy, na których przepisywaniu pół życia strawił w bibliotekach zagranicznych, poza fajką i kawą świata nie widząc, nudny i nieciekawy, jak jego dysertacja o niebieskich rumakach Apollina. W brzydocie i wzroście nie ustępuje mu wielkogłowy Piramowicz. Lecz tego lubią wszyscy. („W obcowaniu i mowie przyjemny, w pedagogii gruntownie uczony“). Chreptowicz gada po francusku „jak Angielczyk“, ale w opiniach chwiejny, a przeto wedle Węgierskiego czyścica godny. Najmłodszym w całym gronie jest Ignasz Potocki, ten, co zasłynie z czasem jako współtwórca ustawy majowej. Bardzo pewny siebie i zarozumiała sztuka, szczególnie od czasu, gdy wziął za żonę marszałkową Lubomirską. Oczy ma koloru swego fraka, tj. niebieskie, a obiad czwartkowy nie jest dlań nowością. Bywał na rozmaitych „cenaclach“ w Rzymie i Paryżu, zaczęł radby tutaj ton nadawać. A jest tu reprezentantem najwspanialszej instytucji, jaką król stworzył, Komisji edukacyjnej.

Sztuki plastyczne trzymają się razem. Gromadka spora, bo, obok nieodstępnego mistrza Marcello, jest Vogel, Lesseur i Smuglewicz. Najpotrzebniejszy wszakże

Marteau, gdyż robić ma szkice do portretów gości czwartkowych, nieodzowny i Bacciarelli, bo go ciągle pytają o sprawy sztuk pięknych.

Ludzi pospolitych, albo zgoła głupich nie znajdziesz ani za grosz. Nawet i ci dworacy, którzy tylko z tytułu funkcji dworskich, lub przyjaźni królewskiej bywają tu dopuszczeni — to osoby uczone i we świecie obyte, jako że wszyscy podróżowali wiele. *Par exemple* choćby taka trójca ludzi światłych i szanownych, jak biskup Szembek, ks. Wyrwicz, lub wojewoda Mniszech. Wyrwicza znajomość geografii i kultura ceniona w całym świecie, a Szembek z Mniszchem też niepoczcwie dziś zapomniani. Hilary Szembek był biskupem i to nie byle jakim w Płocku i Pułtusk. Należy do najwybitniejszych współpracowników kodeksu Zamoyskiego, ułożył plan i prospekt tego dzieła. Krasickiemu pomaga wydatnie w ułożeniu dykcjonarza, czyli „zbioru wiadomości pożytecznych“, poprawia rzecz i rozszerza. Jako znawca przyrody znosi co czwartku różne dziwne kwiatki i robaczki. Michała Mniszcha nazywa Bernoulli „najuczeńszym szlachcicem polskim pod względem gruntowności“. Biegły w słowie i piśmie zagranicznym, (gdyż studjował w Lozannie i Paryżu), używany jest Mniszech przez króla do pisania artykułów w prasie zagranicznej, które się potem głośno odczytuje wśród obiadu.

Liczny poczet gości poznaliśmy już, a przecie daleko jeszcze do owej trzydziestki uczestników, którą wylicza Magier. Albowiem są między nimi dworacy, ci, bez których król nigdzie kroku nie robi, są przyjezdni, którzy czasem tylko zaglądają, a mała jeno garstka bywa u stołu czwartkowego stale. Czasem intruz zaśląka się na salę, że nie wiedzieć, co z nim począć.

Podobało się np. królowi zaprosić raz na czwartkowe *diner* Branickiego, chyba tylko po to, aby ugłaskać i polechtać niebezpiecznego warchołę. Więc ks. biskup Naruszewicz aż odę z tej racji napisał: Co tu porąbiasz, wodzu, w obcej stronie? Nie chodzi bitny Mars po Helikonie!

Branicki był, za to brakło człowieka, który wszak krzesło kurulne w literaturze dzierży: ks. Adama Czartoryskiego, człowieka, który już od dawna zbożną pracę oświecenia czyni. Ale cóż, nie znoszą się obaj z królem wzajemnie!

* *

Po skończonem *menu* wszczynają się dyskusje uczone, a dukt ich przechodzi szybko z przedmiotu na przedmiot. Na szybkości zmian polega właśnie *l'esprit*. Niema też ustalonego programu, raczej *le beau désordre* w lekturze i rozmowie. Tedy będzie najpierw astronom ks. Poczobut objaśniał tajemnice gwiazd, których światło do ziemi dąży lat kilka tysięcy, a zaraz potem Trembecki przedstawi królowi kwestję bardziej przystępną i zrozumiałą „o pokarmach, najlepszych, mniej dobrych i szkodliwych”. Nikomu z wieszczków nadwornych nie wolno pojawić się we czwartek z próżnemi rękoma, a to pod grozą niełaski majestatu. Naruszewicz, w braku ody, albo satyry, delektuje króla ustępami ze swej „Tauryki”, Zabłocki szczęśliwy z powodzenia „Fircyka”. Jowjalny brygadjer Jakubowski bąka swoje, marne zresztą, bajki, ksiązę podskarbi Poniatowski opowiada z afektacją o swych podróżach i zbiorach chińskich. Albo też wszyscy skupili się nad nowym planem rekonstrukcji Łazienek, poczem

czytają manuskrypta, które do wtorkowego numeru „Zabaw przyjemnych i pożytecznych“ zebrał ks. Bohomolec. Czasem, ale to rzadko, król swoje własne wiersze przedłoży do ogładenia, a poeci jego trują się tak, jak Wolter nad pismami Fryderyka. Wyrwicz wiedzie wytrwale krucjatę przeciw nowotworom językowym. (Czyż bowiem godzi się używać takich dziwólągów, jak np. „pamiętnik“ (wymyślił je właśnie pan redaktor Świtkowski), lub też kaleczyć uszy wyrazem „posiedzenie“, skoro po polsku mówi się — sesja!...)

Każdy strzępek, choćby z twórczości encyklopedystów, mały drobiazg pana Woltera, czy korespondencję Grimma chłonie się tu z nabożeństwem. Nieopisana już radość wówczas, gdy Wolter i to własnoręcznie list do króla wystosuje, lub gdy Akademia berlińska przyśle królowi dyplom zaszczytny członkostwa. Wysilają się wtedy, a wysilają nad odpowiedzią. „Panie! — napisze po naradzie król do Woltera — Każdy człowiek, czytać umiejący, powinien się uważać za nieszczęśliwego, jeśli ciebie nie widział. Gdyby król, mój poprzednik, żył o rok dłużej, widziałbym Rzym i Pana“.

Króla zajmuje wszystko, lecz trudno od gości jego żądać, aby ich także wszystko interesowało: gramatyka Kopczyńskiego narówni z kanałem Ogińskiego, manufaktury grodzieńskie nie mniej od „Satyr“ Krasickiego. Więc, gdy przyjdą do głosu pedagogowie z Komisji edukacyjnej, wtedy nudzą się literaci, mąż stanu nie słucha wywodów malarza, architekt Kubicki ziewa, znudzony całą socjetą. Wybicki skarży się w pamiętnikach, że siedział na rozmowach literackich, jak na tureckiem kazaniu, a znowu „zagadniony od króla

w materji prawniczej, z przykrością od beletrystów był słuchany“. Stąd powód do reform i przemiana w charakterze obiadów w r. 1771. Uczestnicy czwartków jęli się dzielić na sekcje, czemu początek dali prawnicy, założywszy towarzystwo osobne z Potockim i Wyrwiczem na czele.

Na deser przychodzi na stół lektura swawolna: raz wierszyk brzydki i dwuznaczny o „słowiku“, lub też „oda do żeniącego się młodzieńca“. Jeśli zaś wiersze czytane nazbyt są nieudolne, pada znagła, po skończonej lekturze, jadowite słowo ks. biskupa warmińskiego: „A teraz módlmy się za umarłych!“.

Tymczasem penduły szóstą godzinę wydzwoniły, a na salę weszło dwu kamerlokajów: jeden trzy śliwy niesie na małej farfurce, drugi na srebrnej tacy list z adresem: *au roi*. Ten list, to tylko zmyślenie, bo wewnątrz pusty i zawsze opieczętowany. Ten list, to jest sygnał i wskazówka dla obecnych, że czwartek skończony. Na widok farfurki i tacy „obecni z należą Naj. Panu rewerencją, pośpiesznie opuszczają salę, a król z kompanją najczęściej jedzie na teatrum“.

Na wieczystą rzecz pamiątkę zawisną portrety uczestników w jednej z sal zamkowych, Marteau je namaluje, Naruszewicz inskrypcją ozdobi. Szczególnie zasłużeni medal „*merentibus*“ od króla dostaną i z dumą go wnukom pokazywać będą. A w Europie fama rozbiegnie się wkrótce, że salon czwartkowy Stanisława Augusta roznieca światło nad Wisłą. Komplement najwyższy w czasie, kiedy to nawet papież Benedykt, uby umocnić swe *préstege*, starał się nawiązać stosunki z salonem pani de Tencin. Wojażerowie zagraniczni daremnie będą próbować, by uzyskać wstęp na czwartkowe *diners de fondation*, a bezimienny

wierszopis w „Zabawach przyjemnych“, tak zakończy swą odę pochwalną :

Że król, pan mądry, tak nauki zdobi,
Jak żaden z naszych pradziadów,
Że cudem przedtem niesłychanym robi
Akademije z obiadów —
Jest ci więc czego czwartku powinszować,
Gdyś tak przez króla uczczony!
Potomnym wiekom trzeba zanotować:
We czwartek — obiad uczony!



Przez lat blisko dwadzieścia trwały czwartki, od r. 1770 mniej więcej po czasy Sejmu Wielkiego. A jakimż plonem się szczyca? Tu leżała się pierwsza myśl założenia Komisji edukacyjnej, tu dojrzał i pogłębił się projekt wydania „Zbioru praw“, tu postanowiono po raz pierwszy przystąpić do napisania gramatyki polskiej, stąd brali Zabłocki, Krasicki, Trembecki i Naruszewicz wszystkie nieomal impulsy twórcze, tu wreszcie rodził się „Monitor“ i „Zabawy“. Słowem czwartki towarzyszą bujnym lotom literatury oświecenia. Lotom owym przyjrzyć się warto.

Jako Minerwa z głowy jowiszowej wyszła na świat literatura stanisławowska z umysłów oświeconych. Tak głupio i ciemno było przecież doniedawna! W dwadzieścia zaledwie lat po takim zwierciadle głupstwa, jak „Nowe Ateny“ ks. Chmielowskiego,

rozlega się skroś Rzeczypospolitej wspaniały głos Krasickiego, którego rychło polskim Wolterem i Pope'm nazywać będą. Na ugorze, porośniętym chwastami głupawych panegiryków, dojrzał ledwie zasiany, łan dostały, chlebny, złoty. Ciemne mnichy tak cudacznie poczynają sobie z mową polską, że zdziczała do niepoznania, lecz oto przyszedł z odsieczą polski encyklopedysta. I zaraz tam, gdzie wczoraj jeszcze nie było jednej myśli rozumnej, jednego rytmu pocziwego, drży melodia słowa, jakiej od śmierci obu Kochanowskich nie słyszano. Jacy szermierze biegli, jacy żonglerzy kunsztowności przeróżnej! Wszystkie kwiaty Parnasu pachną, wszelakie formy poetyckie wdzięczą się barwami. Gdyby im fantazji nie brakło, gdyby nie ziąb uczucia i serca pudrowane, żyliby do dziś jako poeci. A na wszystkich innych polach to samo. Wczoraj jeszcze czytano w kółko jedne i te same Magielony i Elefantyny, dziś kiełkuje powieść nowożytna: „Doświadczyński“, „Pani Podczaszyna“, „Polak w Paryżu“, oto polskie odbłyски wszystkich typów romansu europejskiego, walczące dzielnie przy boku literatury politycznej Sejmu Wielkiego. W teatrze nie było jednej sztuki przyzwoitej, przez wiek cały i sceny nie było wogóle, teraz co tydzień ma Warszawa nowość krajową. Sam Zabłocki napisał i przerobił 64 utworów scenicznych, a Bohomolec i ks. Czartoryski, a Bogusławski, ten polski Iffland, który „pisze, gra i grających tworzy“!

Z teatru zajrzyjmy do redakcji „Monitora“, co chwali się kilkudziesięcią tomów zapisanych troską o polski obyczaj i cywilizację. „Zabaw przyjemnych i pożytecznych“ nikt dziś czytać nie będzie, to prawda, ale czy Francuz dzisiejszy nie weźmie do rąk „Journal

des savants“, lub Anglik „*Spektatora*“? Wszakże uznać trzeba ich budzielską pracę. Sejm polski nie słyszał od dwu wieków takich jak dziś krasomówców! Mogliby śmiało z Mikołajem Lasockim, Oleśnickim i Zamoyskim jechać na sobory świata i błyszczeć jak tamci. A hasła literatury politycznej i wskazania kuźnicy kołłątajowskiej? Dotąd żywe, mimo wieków przedział.

Spytajmy teraz pana Michała Grella na Marywilu o ruch literacki. Pan Michał jest biblijopola i księgarzem Jego królewskiej Mości, tedy wie najlepiej. W trójnasób wzrasta za króla Stasia liczba księgarń i drukarń, pan Grell zasię, prowadzący swą firmę „pod znakiem poetów“, pod patronatem popiersi Sarbiewskiego i Naruszewicza — najpierwszy w rzędzie wydawców oświeconych. Jakież to książki wydawał przedtem? „*Abhandlung von den Nutzen und Wirkung des ungarischen Weines*“ (1761), lub „Obowiązek damy chrześcijańskiej“ (1764) w najlepszym razie! Dziś drzwi się nie zamykają od oświeconych klientów, a codzień wpływa propozycja wydania w przekładzie nowej pracy Diderota lub Marmontela. „Iżby na pięknym papierze księgi swe imprymował“, przykazano Grellowi w przywileju królewskim. Jak ściśle dopełnił polecenia, zaświadczy wam biblijograf, wyszukawszy na półce bibliotecznej edycje Krasickiego i Naruszewicza, lub też przepyszną księgę, zdobną w sztychy, miedzioryty i girlandy, pt. „*Sielanki polskie*“ (1778). Nie mogły wytrzymać konkurencji wszystkie kramiki z kalendarzami Duńczewskiego i „*Żywotem Genowefy*“ i zbankrutowały doszczętnie!

Dalekie od cnót spartańskich, często występków wszelakich pełne jest życie poetów XVIII. stulecia.

Moralnemi były jednak ich dzieła. Działo się, jak zawsze i wszędzie, po myśli starej maksymy: *Fais ce, que je dis, ne fais pas ce, que je fais*. Błędy i zdrożności ludzi oświecenia znajdują w słowie drukowanem osąd surowy, nicość moralna bawidamków rokoka, przepędzona będzie przez różgi satyry i po wielokroć ujrzy się we wklęsłym zwierciadle szyderstwa. Naruszewicz plastyką swych satyr, ironją Krasickiego, sztychy zjadliwe Węgieńskiego, kaznodziejski rytmus ks. Piotrowskiego, ileż razy ratują wiek XVIII przed wyrokiem potępienia! Twórczość polska czasu tego wznosi się na cokół moralny, którego tak bardzo brakło życiu polskiemu.

Swoistości w niej mało. Krzew literacki wieku oświecenia nie rośnie o własnej sile, owija się powojem wokół Francji, klasyków rzymskich, rzadziej Anglii i Niemiec nowych. Nikt z poetów nie jest wolny od zarzutu naśladownictwa, niema prawie utworu, któryby wyrósł sam, bez kośćca pożyczonego. Lecz tak być miało w ich rozumieniu. Bo twórczość literacka — tak sądzą — to nic innego, tylko naśladowanie wzorów i troskliwe przesadzanie latorośli obcych na grządkę własną. W tej transplantacji celują jak nikt inny. Pisząc, mają przed oczyma otwarte egzemplarze Boala, Woltera, Delilla, Anakreonta i Lafontena. Literatura stanisławowska jest bystrą i pojętną wychowanką Francji, jest uczenicą racjonalizmu romańskiego. Leniuchuje często i próżniaczy, ale dotarła do sedna rzeczy, odkryła sekret inkluza, na który niema polskiej nazwy: *l'esprit*. Ma urok uśmiechu, grację w ruchach, słodycz w konwersacji, a szpada władą, aż patrzeć miło! Znać, że lekcje brała u fecht mistrzów

Encyklopedji, co jednym pchnięciem przeszli serce starej Francji.

Literatura stanisławowska jest wietrzną płochą, tylko z pozoru. Bo umiała i chciała uczyć swoje społeczeństwo. Skarga XVIII. stulecia zawinał w pukiel włosy rozwichrzone i cukrem posypał pioruny. Na spodzie każdej fraszki i dowcipu kryje się morał i myśl o użyteczności. Dziś wiemy i widzimy wyraźnie z odległości: w zwartym szeregu robotników, co przyszli rozrzucać gruz i miał starej Rzeczypospolitej, prężą się nie same dłonie żylaste, dłonie twórców Ustawy majowej i Insurekcji kościuszkowskiej, widać nie tylko surowe, potem zroszone fizjognomje Kołłątaja, Staszica, Zamoyskiego i Kościuszki — ale pracują też raźnie współ, odprysnęli się galanterji, wesółki czwartkowe, perfumowani rycerze z Okrągłego Stołu króla Stasia...





PORWANIE KRÓLA PRZEZ KONFEDERATÓW. (WEDLE RYCINY WSPÓŁCZESNEJ)

SA MAJESTÉ L'AMOUR.

*Skarb w letargu, grosz w świat bieży,
Podatek się ostawuje,
Generał śpi, żołnierz leży,
Tylko jedna Venus czuje...*



y więzień, oswobodzony z pęt upajała się kobieta XVIII wieku wolnością. Dawne wieki wzbra-
niały jej prawie ukazywania się wśród ludzi, twierdząc, że „która czyta, śpiewa, gędzie z tej rzadko cnotliwa będzie“, czas nowy zwolnił je z wszelkich rygorów. W tym czasie, w którym prze-
wielebny ks. Konarski odważył się być mądrym, one ośmieliły się być — wiarołomnemi. Miejsce surowych przykazań o małżeństwie, zajął dekalog, ułożony przez *la philosophie régnante* we Francji, z podpisem Woltera i sygnaturą Fragonarda. Któżby uważał mał-
żeństwo za sakrament? To co najwyżej umowa, ma-
jąca na celu chyba tylko podtrzymanie nazwiska, umowa, która nie wiąże ani sumienia mężczyzny, ani swobody kobiety. W Paryżu wystarczyło, jeśli mąż przez cztery dni w roku bawił w towarzystwie żony, resztę poświęcali oboje „konsztom kochania“. Tych

„konsztów“ reguły były proste“. *Il n'y a de bon dans l'amour, que le physique*“, pouczał już genialny Buffon. Mówiąc: „kocham cię“, nie chciał wiek XVIII. niczego innego powiedzieć, jak tylko: „pożadam twych wdzięków“. Poeci warszawskiego oświecenia są bardzo moralni w słowach, pozatem należą nierzadko do owego klubu młodzieńców, który ma na celu popieranie grzechów przeciw VI-mu przykazaniu, a wystrzega się starannie wyłączności miłosnej. Dziewica stała się anomalją, hetera błękitna regułą. „Mieliśmy dotąd — pisze z bolem ks. Jezierski — podzielone stany kobiet na: panny, mężatki, niepanny, wdowy, teraz na koniec przybyła nowa hierarchja: rozwódek“. Vautrin zaś boi się, że córki księcia kanclerza litewskiego, dzięki zbyt częstym rozwodom, chyba całą Polskę poślubią. I tak odeszły w przeszłość czasy, nad którymi ongi unosił się poeta:

„Piers, która pochop i w niechcącym wzmaga,
Nie była nigdy odkryta i naga,
Ale modlitwą zaprzątnione członki
Różańce, albo nosiła koronki,
Korespondencyj do żadnych Gamratów,
Wstyd sam zabraniał — ani amatorów
Nie słychać było...“

Kobieta XVIII. wieku rozkazała, by ustawić namiętność miłosną na ołtarzu kolorowym i strojnym, wśród dekoracyj, jakich nie znał Rzym starożytny, ni Kleopatra, Renesans, ani Grecja platońska. Guerin i Watteau, Fragonard i Boucher wiją amorom rokoka wieniec nieśmiertelny. Architekt oświecony zbudował wnętrza przytulne dla par zakochanych, do usług stanęło ogrodnictwo i rzeźba. Wpółśród laurów kuli-

stych, na ścieżkach, wysypanych kolorowym piaskiem, w cieniu strzyżonych szpalerów Powązek i Wilanowa, uśmiechają się szarmancki do wyfiolkowanych Adonisów w liljowych pończochach. Ukryta nad kaskadą drzew grupa Canovy uczy pieśnied wymyślnych i do uści-sków zachęca. Miłości służy przyroda cała:

„Dlatego strumyk szemrze w swym biegu,
By amant wzdychał na jego brzegu,
I wonne kwiaty i miękkie trawy
Są dla miłosnej stworzone sprawy“.

Cóż mówi książka, w safran oprawna, która osu-
nęła się na ścieżkę z rozigranych kolan warszawskiej
Pameli? Książka mówi, że miłość pary kochanków jest
nie tylko szczęściem najwyższym, ale sensem, sztuką
i religią życia. Zerwanie związku dwojga serc, to dla
świata klęska większa, niż np. śmierć Newtona. W te
słowa nauczał filozof genewski Rousseau, a Werter po-
szedł jeszcze dalej, rzekłszy, że z zawodem miłosnym
kończy się dla człowieka byt, a przeto należy pozba-
wić się życia. Rady kochanka Lotty posłucha wkrótce
jeden z szambelanów króla Stasia i popełni pierwsze
w Polsce samobójstwo z miłości. Naogół jednak polska
Heloiza nie weźmie sobie zbyt do serca tych skraj-
nych nakazów. Jak gdyby pamiętała o tem, że w wieku
XVIII., obok płaczącego Wertera z Heloizą, chodził też
po świecie markiz de Sade i Katarzyna II., że u księga-
rzy króla Jegomości widniały za szybko cukierkowe
przygody „Pawła i Wirginji“, tuż przy nierównie cie-
kawszej „Pucelce“ Woltera, i „Sofie“ Crebillona
młodszego. Środkiem tylko jeździ cnota, środkowa
droga złota. Heloiza polska wie także, iż bardzo mo-
ralny jest polski poeta w dziełach, ogłoszonych dru-

kiem, ale znacznie mniej cnotliwy w utworach nie-drukowanych, słowem, że pięknie śpiewają poeci, ale jeszcze więcej racji miał monsieur Champfort, wprowadzając „konszty kochania“ do funkcji wymiany dwóch kaprysów, zetknięcia się dwojga rodzajów... Kobieta polska XVIII. wieku nie dosięgnie owych wyżyn rozpasania, na których stoją elegantki Wersalu i Murillowskie Angielki z dworu Stuartów — wybierze ona drogę pośrednią i dokona wyboru w maksymach literackich. A było w czem wybierać, bo uczuciowość literatury wieku XVIII. przemierzyła drogę ogromną. Zważmy tylko, jaka przepaść różnicy dzieli płaksiwą Pamelę od plugawej markizy de Merteuil. Czytając, czynią damy polskie wybór wśród tych idei niczem w balowych toaletach, Od Rousseau'a i Richard-sena uczą się łzawego sentymentu i głębokich westchnień, (aż dziwić się trzeba, że tyle łez wylewać mogły co chwila kobiety, tak silnie szminką i pudrem piękzone). Biorą za swoją każdą tęsknotę Heloizy, lecz także podoba im się radosny, choć zabeczany smutek „Nocy Younga“, przepadają za Osjanem, wdzięczne staremu bardowi za lekcję schadzek w poświęcie księżycy, ale najukochańszym metrem gotowalni pozostanie zawsze i mimo wszystko autor „Niebezpiecznych związków“, stary rozpustnik Laclos. Gdyby „Żona modna“ Krasickiego, albo też starościna Gadulska z „Powrotu pośła“ zechciały nam nieco więcej opowiedzieć o swych czułych „tendressach“, wytrzymałyby niechybnie porównanie z bohaterkami francuskiego romansu. A kawaler Szarmancki Niem-cewicza nie jest-że posłusznym uczniem wicehrabiego de Valmont?

Rozgłośna książka o „Niebezpiecznych związkach“ będzie ludziom rokoka taką wyrocznią w sprawach miłosnej moralności, jak był traktat Machiavella dla etyki politycznej XVI. wieku. Więc ilekroć nas dolećca słowa dziecięco-czułej piosenki z XVIII. wieku, lub gdy czytamy jaśniejące niewinnością frazesy listu miłosnego, pamiętać zawsze trzeba, że za tą łzawą woalką dziewicy pleni się często pospolita rozpusta. I to rozpusta smutna, bo sztuczna i trzeźwa, więcej histeryczna, niż sentymentalna, a gasnąca tak szybko, jak rakietą na lodach szlichtady w Łazienkach. Miłość ludzi rokoka, dziecko intelektu, jest zabawą towarzyską, czerpaną z książek sekretnych i sztychów swawolnych, miłość ludzi rokoka jest wieczną tęsknotą, której nie umieją dać nazwy.

Nieuczona szlachcianka z białego dworku zgryzot takich nie odczuwa. Miłuje poprostu, a gorąco, zdrożna lektura nie krzywi linji jej afektów. Bo i cóż ją miało zepsuć? Jakie książki czytała? Przygody „Meluzyny“, a prócz tej „Historję prawdziwą o hrabinie Altdorfskiej, która jednym porodem 12-tu synów powiła“. W salonie magnackim pogardzano jednak takim afektem nieumytym. Wśród musujących uciechą gajów Erosa przechadza się w Warszawie człowiek pewien, zgorszony i bolejący, że ludzie nie rozumieją ckliwych wierszyków, które mu z serca płyną: śpiewak Filona i Laury, orędownik uczucia, biedaczek, co raz jeden tylko w ciągu lat dziewięciu miał możliwość ucałowania swojej ukochanej — Imć Franciszek Karpiński.

Potem wypali się docna szal erotyczny. Ochłonnawszy, zobaczą rozigrane modnisie z przerażeniem pustkę i popioły wokół siebie. *L'isle de félicité* od-

mieni kształty. Wzgardzone uczucie powróci znowu na ołtarze, zmysłowość do alkowy. Przemiana, jaka wstrząsnęła ks. generałową Czartoryską, przedzierzgnąwszy ją z zalotnej fircynelli w „matkę spartankę“, zajdzie też w duszach wielu jej rówieśnic. Owe damy, co tak ofiarnie bufet trzymały w kuloarach Wielkiego Sejmu, są już inne. „Miłość ojczyzny doszła do szaleństwa — napisze wtedy ks. Lubomirska do Glaire'a — oddajemy się jej z niezwykłą gwałtownością“.

Rozszerzyliśmy się nad miarę w charakterystyce, aby tem lepiej pojąć kobiety króla Stasia. Jak w Watykanie renesansowym była kasta osobna faworyt kardynalskich, tak i w Polsce XVIII. wieku roiło się od metres króla Jegomości. Spółkrólowały Dalile wraz z nim w Rzeczypospolitej, ucinając coraz włosów Samsonowi.

1. „MAŻ WSZYSTKICH ŻON“.

Razu pewnego przywiedziono przed króla starca, wyżej stu lat liczącego. Był krzepki i zdrow nad podziw. Tedy go pyta monarcha z ciekawością o tryb życia i zwyczaje, które mu pozwoliły dożyć tak późnego wieku, a szczególnie o skłonności do kobiet. Odpowiedział staruszek, że się nigdy nie żenił i kobiety nie zna... „Toś kiep“ — rzekł król i odwrócił się nieledwie z odrazą. Nie rozumiał bowiem Stanisław August życia bez barw uśmiechu kobiecego. Nie miałoby uroku, ni woni, pozbawiłoby człowieka najczulszych wzruszeń i nieomal racji bytu. Nauczył ten król Polaków szanować kobietę, a życie jego od sza-

lonych lat młodziemca aż po siwe pukle starca jest jednym ukłonem w stronę kobiety i służbą dla niej słodką, niewolniczą. Szuka najpierw młodzian miłości, znalazłszy nieszczęśliwą, pożąda zapomnienia, szaleje, rozprasza się i rozdrabnia, aż wreszcie wyżyty i spopielający, zawinie do przystani małżeńskiej. Tęskni do niebieskich oczu, małych nóżek i ładnych zębów (Zofia Greczynka, którą dla króla przywiózł Boscamp ze Stambułu, nie podobąca mu się z racji stopy niezgrabnej). Ale i mała nóżka nie jest wszystkiem. Raz brakło uczucia, to znowu *liaison* przerwane znudzeniem. Bawi się Don Juan „zelozią“ i zawiścią kochanek wzajemną, pyszny ze swego machiawelizmu, a nie wiedzący, że częściej on sam jest przedmiotem zabawy i wyzysku. Zakochany student, „submitujący się do stopek ze swemi pilno na zawsze usługami“, to znowu „umizgus figlarny“ z komedji Marivaux, a zawsze godzien tytułu markiza de Richelieu, którego nazywano „mężem wszystkich żon“. Na stoliku u Richelieu’ego znaleziono w chwili śmierci pięć nierozpieczętowanych biletów miłosnych, zaś w zielonym gabinecie Łazienek miejsca nie starczyło na galerję portretów kochanek królewskich. Czy mamy chować dyskretnie nazwiska, czy godzi się zdradzać tajemnicę alkowy? Dyskrecja? Przenigdy! Byłaby grubym przewinieniem przeciw obyczajowi epoki. Wszakże każda z pań warszawskich wzdycha i tęskni do uścisku miłosnego króla i radaby zostać metresą, chociażby *en titre!*... A jeśli jest nią lub była, to radaby pysnić się z tego przed caluśkim światem.

Korowód główek jest barwny i nieprzeliczony. Metresy stałe i dorywcze, królewne chwili i władczynie długich miesięcy, księżniczki krwi i magnatki naj-

pierwszych rodów, szlachcianki z puszczy brzeskich i gwiazdki z litewskich dworów, mieszczyki warszawskie i zagraniczne awanturnice, modelki z pracowni Bacciarellego i pomywaczki z kuchni Tremona. Obok „demi-repsy” cnotliwa matrona, są wojewodziny, wojewodzicowe i wojewodzianki, znajdzie się starościna obok fabrykantki fajansów, kanclerzyna wespół z wdową po tapicerze, włoska markiza tuż przy „marmuzeli” z nad Sekwany. Są angielski, greckie, włoskie, francuskie, niemieckie i żydowskie, jedne znane z nazwisk, drugie okryte woalem tajemnicy. Słowem najśrodsze panoptikum piękności, które o sobie mogły powiedzieć z dumą, jak było w zwyczaju: *je l'ai eu*, to znaczy: byłam jego kochanką... Ale jest jeszcze drugi, liczniejszy orszak. Te, co wzdychały daremnie, w „resentymencie” życie trawiając, bo obca im słodycz wejścia na tajemne schody i nieznana rozkosz oglądania królewskich *chambre à coucher*. Daremnie zabiegają w tym celu u kabalarki pani de Puget Lhulier.

O hojności królewskiego Adonisa legendy krążą: jednym płaci rulonem „dusiów”, innym tytułem księżym, starostwami, lub nawet hetmańską buławą dla męża. Opływały panie we wszystko. Bonafini za facytę dwóch wieczorów otrzyma 3000 dukatów, pani Schitter jedzie na koszt króla do Grecji. Są na dworze ludzie osobni, których obowiązkiem żenić się z dysmisjonowanymi metresami. Po Manuzzim bibliotekarz Marek Reverdil spełniał rącho to zadanie. Najpierw żeni się z jakąś Marcjanną Konstancją L., za co otrzymał podwyższenie pensji i obietnicę świetniejszej kariery. Obrotny człowieczek rychło wysłał ową „żonę” do Szwajcarii, a za nią i syna, którego

tymczasem powiła. W jakiś czas potem królowi sprzykrzyła się następna kochanka, każe więc Reverdilowi rozwieść się z ową Marcjaną Konstancją, a powieść przed ołtarz panią Dählke, na której utrzymanie pobiera 240 dukatów miesięcznie!

A choć tak daleko zaszły finezje rozpusty, na dnie serca czał się zawsze wierny, nieszczęsny sentyment i mógł ze Słowackim powiedzieć Stanisław August, że „świat zeszedłszy, kochał jedną!“

2. PRZEKLENSTWO ŻYCIA.

Gdyby nie natura Stanisława Augusta, gdyby nie czasy wogóle lekkomyślne, nie wahalibyśmy się powiedzieć, że ona to właśnie wszystkiej jego pustoty erotycznej winna! Ona, o tyle innych zbrodni przed trybunałem dziejów oskarżona, tylu istnień ludzi i narodów gnębicielka najpotworniejsza i przepożęzna wpośród Meger świata! Miała dwanaście koszul i trzy suknie ta mizerna księżniczka niemiecka, gdy zjechała nad Nową, lecz wkrótce potem świat cały zadrżał przed majestatem — Katarzyny II! A biedakowi roіło się, że wygra z nią sprawę. Galaretę o spż ciskał. Wyolbrzymał drobną awanturkę w swem oszalałem miłością sercu i kochał ją zawsze ten wieczny dzieciuch, aż pod siwy włos, nieświadom omyłki człowieka i króla. Nawinał się pod rękę w nieobecności Sałtykowa, zaimponował krojem zachodnim i obyciem w świecie, rozprószył nudę chorobliwą następczyni tronu i — sam nie wiedząc, jak to się stało — został kochankiem wielkiej księżnej. Sprawa

wiadoma i głośna. Król sam przedstawi ją obszernie w pamiętnikach, Branicki rozgada w całej Polsce, jak to wielki książę-mąż za kołnierz ułapił stolnika *in flagranti*, a ks. biskup Krasicki wcale niepotrzebnie naśmiewać się będzie z tego przed Fryderykiem, twierdząc, że przysłemu królowi polskiemu groziły wtedy trzy kary: spalenie w piecu, otrucie, albo kastracja.

Lecz pocóż plotek słuchać, gdy sam Stanisław August przyznaje się do wszystkiego w pamiętnikach. Powiada: „Miała wtenczas lat dwadzieścia pięć, była „dopiero co po pierwszym połogu i w tej pełni „piękności, która jest najwyższym rozkwitem każdej „pięknej kobiety. Przy włosach czarnych płeć miała „ośniewiającej białości, rumieńce żywe, oczy duże, „niebieskie, wypukłe i pełne wyrazu, rzęsy czarne „i bardzo długie, nos cienki, usta, rzekłbyś, wołające „o pocałunek, ręce i ramiona najprzedniejszych kształ- „tów, kibić wysmukłą, wzrost raczej słuszny, niż mały, „chód leciutki, a przytem nadzwyczaj dostojny, dźwięk „głosu miły, śmiech zaś również wesoły, jak i jej „humor, dzięki któremu z największą łatwością prze- „chodziła od najpłochszych i najdziecinniejszych za- „baw do tablic zapełnionych cyframi dyplomatycznymi, „a trud fizyczny przy ich odczytywaniu nie trwożył „jej bynajmniej, zarówno jak sama treść, chociażby „przedmiot był jak najpoważniejszy i najsurowszy. „Taką była kochanka, która się stała panią moich „losów; oddałem jej całą moją istotę w o wiele „szczerzem rozumieniu, niż te słowa zwykli pojmować „wszyscy w podobnem znajdujący się położeniu. „A szczególniejszem losu zrządzeniem, chociaż liczy-

„łem już 22 lata, mogłem jej złożyć w ofierze to, „czego nikt nie posiadał“...

Może go nawet i kochała następczyni tronu w owych latach, „pełnych nudy i samotności, które zmusiły ją do przeczytania wielu książek“, może go i kochała, zanim pojawił się barczysty Orłow, *der rechte Mann für das gewaltige Weib*, (jak rzekł słusznie pewien Prusak), ale jako caryca miała króla już dawno za hetkę-pętelkę i tylko straszliwie wyzyska znajomość jego słabej duszy, ulepi powolną figurynkę z adoratora i usadowi na tronie polskim. Bynajmniej nie o jego osobę chodziło. („Jeśli się uda, o ile nie, niechaj Kayserling zrobi królem Adama Czartoryskiego“). Nieszczęśnikowi nieprędko otworzą się oczy. Będzie długo się łudził. Po porwaniu króla w r. 1771 powiedziano w relacji posła angielskiego: „Mimo, że król tuż po swem uratowaniu z rąk morderców, zanim mu jeszcze ranę przewiązano, napisał rzewny list do imperatorowej, dotąd słowa odpowiedzi, ani życzeń nie otrzymał! Jest on ogromnie zmartwiony tą opieśzałością“. Nie widzi, że ją w zupełności przestał obchodzić jako człowiek, a tylko trzyma go na tronie, jak arcywygodnego suwerena. Pomimo tego zawsze, nawet w czasach Sejmu Wielkiego, najboleśniejsem będzie dla króla, że o Imperatorowej mówią w izbie złośliwie. Rzeczpospolita ma na swym tronie szekspirowskiego Antonjusza i może powtórzyć dosłownie:

...Wódz nasz, jej złudzeń ofiara,
Jak dziki kaczor, gdy go spłoszą dzieci,
Wśród najzaciętszej walki za nią leci!

A zjazd w Kaniowie, czy to też nie scena szekspirowska? Po raz pierwszy obaczyć ją ma po tylu

dziesiątkach lat! Już prawie starzec, a czeka z drżeniem, jak ongi, ongi w Petersburgu. Trzymiesięczne czynił przygotowania, wydał trzy miliony złotych polskich, aby przez trzy godziny rozmawiać i nawet trzech słów poważniejszych nie usłyszeć. Cała armja ruszyła z królem z Warszawy, 44 landar i koczów, karet i kolasek, brankardy z cukiernią i kredensem, bryki z futrami, miedzią, kocz z mąką, srebrem i piwnicą. Jechali kucharze i pasztetnicy, krawiec królewski i froter, kawiarz, siodlarz i Turczyn, kredence-rze, pomywaczki, rzeźnicy, nawet kobieta do pilnowania drobiu. A przedtem dwór cały z ks. Naruszewiczem i księciem Józefem pośrodku. Caryca też miała do podróży cały dom na kołach z gabinetem, biblioteką i salonem na ośm osób. Zaczem, jako niegdyś Kleopatra Antonjusza na wspaniałej nawie, przyjęła go w wyłożonej gondoli na grzbiecie Dniepru. Znają dobrze historycy dalsze dzieje Kaniowa: pustość dyskursów obłudnych, iluzje króla i bezowocność wysiłków polskiej racji stanu. Warto też od-czytać diariusz Imć Naruszewicza o podróży kaniowskiej, aby zrozumieć, jak cynicznie obesła się Imperatorowa z wojażerem warszawskim, już wcale dawnej zażyłości niepamiętna i nawet w cukrowanych słówkach oszczędna. Że jednak własnoręcznie order św. Andrzeja na piersi mu przewiesiła, *mon frère* mówiąc, jak dawniej w listach miłosnych, że mu kapelusz w sposób najczulszy, a dowcipny podała — więc w najlepszej myśli wracał do dom król Jego-mość. Nie czuł ni teraz, ni później przekleństwa tego uczucia, które pęd jego najgórniejszych zamierzeń stłumiło. Stłumiło, bo postąpił niepraktycznie: zamiast

na wyjeździe z Petersburga zanucić piosnkę włoską: *femina e vento, si cambia in un momento* — kochał ją przez całe życie!

3. AMORY „GRATYSKOWE I EKSPENSOWANE“.

Zaledwie zasiadł pomazaniec na królewskim tronie, za kochanicą petersburską jeszcze rozróżniony, a już wszczął się turniej pośród dam. Król dobry każdą pokolei uszczęśliwia, dwór zaś ma się czemu przyglądać, bo z miesiącem każdym niemal zmieniają się nazwiska i konfiguracje w tem erotycznym *mel-melo*. I nikt się temi rzeczami w Warszawie nie gorszy. Nawet mężowie wesołych pań, którzy chyba całkiem wyjątkowo wyjeżdżają oburzeni zagranicę (Sapieha), lub też bywają zagranicę wysyłani (Schmitt).

Naprzód historia dwóch kuzynek króla Jegomości, co się wzajem z zazdrości znienawidziły. Jedna z nich pisze w swoim pamiętniku: „Poślubiłam mego męża bez miłości, czułam dlań tylko tkliwą przyjaźń, na którą codzień bardziej zasługuje. Ze wszystkich ludzi, którzy się o mnie ubiegali, król polski był najbardziej troskliwy. Przyjemność, jaką miałam, zabierając go najpiękniejszej kobiecie Warszawy — sprawiła, żem go przyjmowała uprzejmie, nie ulegając mu jednak“.

A więc na złość, na przekór ks. marszałkowej Lubomirskiej (bo o nią chodziło), została ks. Adamowa Czartoryska (która pisze słowa powyższe), metresa Stanisława Augusta. Bez trudności, albowiem ks. generał ziem podolskich był człowiekiem przedziwnie wyrozumiałym. „Przyzwyczał się — cytat z pamięt-

ników króla — widzieć w stolniku najlepszego przyjaciela swej żony, wtenczas niezupełnie jeszcze 22-letniej, że ją często wieczorami sam woził do Zamku i posyłał na górę do króla. Przedtem pytał, czy niema tam ks. strażnikowej, której nienawidziła. Jeśli nie, to odjeżdżał. Do tej intymnej informacji dodaje król rycerską uwagę: „Nad miarę przyjaźni nie się tam nie działo“. Owe przyjazne wycieczki do sypialni królewskiej, to tylko jeden drobny epizod w bujnym życiu erotycznym Izabeli z Flemingów Czartoryskiej, która potem stała się Sybillą puławską i jedną z najświatlejszych matron swego czasu.

Marszałkowa Lubomirska tak wielkich przeobrażeń nie przechodzi. *Madame etiquette sans peur ni reproche*, Pentesilea nadwiślańska, jedna z pierwszych w Polsce westalek rokoka, wśród chytrych najchytřejsza, z magnatek najbogatsza. Nawet olimpijczyk Goethe znalazł ją tak interesującą, że aż o ośm dni przedłużył pobyt w Karlsbadzie. Podziwiana i wielbiona w Wersalu, z królami żyje w przyjaźni i prze-raża wprost ludzi sprytem do intryg. Jej celem życiowym jest upodobnić się do markizy de Pompadour, którą składem twarzy nieco przypomina. Z kuzynkiem Stasiem łączy ją sentyment od dziecka, dlatego wyprawili go w podróż. Co dalej było, dość trudno; w li-stach pani Geoffrin są przejrzyste aluzje do „tragedji“, której król jest sprawcą. „Zrobiła sobie to prawo codziennie, o którejkolwiek godzinie, a najczęściej wieczorem bywać u króla“. Nie dopiąwszy celu, przejdzie do obozu najcięższych wrogów majestatu, choć trudno wiedzieć, co ją popchnęło: miłość zawiedziona, czy tylko ambicja?



MARTEAU LUDWIK: GENERALOWA GRABOWSKA

Były dalej trzy Sapieżyny. Joanna ze Sułkowskich, wojewodzicowa smoleńska, zawróciła królowi w głowie „wesolutką zalotnością jeszcze wówczas, gdy był 20-letnim mizantropem; rzuciła go po dwóch miesiącach i odjechała”. Magdalena z Lubomirskich, kanclerzyna litewska, trzymała się dłużej. Wysokiego rodu, niewysokiej opinii. Powiadano, że podobna do Karola Radziwiłła. Tamten do każdego szlachcica mówi: „Panie kochanku”, ona zaś każdego za kochanka bierze. Kajetan Węgierski napisał o niej: „Z rozpuszczonemi włosy i twarzy wyzutą, podobna Magdalenie życiem, nie pokutą”. Pokutnica dziwnego autoramentu molestuje króla przez lat kilka, ale jej sprawy są niczem wobec tortur, zadawanych mu przez trzecią Sapieżynę, wojewodzicową mściławską. Trzeba wziąć do rąk pamiętniki współczesne, choć wystarczy jeden cytat z wiarygodnego Koźmiana, który powiada: „...Widziałem tę najślawniejszą w Polsce pieniaczkę zapaloną i czuchrającą sobie włosy, rozognionym wzrokiem i mściwem spojrzeniem pożerającą każde słowo przeciwnego sobie mecenasa, miotającą się na krześle, przerywającą mowę głośno i pomyślałem sobie, że z takich kobiecych poczwar starożytni musieli brać wzory do malowania furyj, harpij i meger“.

Autor tych soczystych określeń spotkał wojewodzicową w r. 1787, wodzącą się po sądach i trybunałach Rzeczypospolitej. Z kim i o co? Z wszystkimi i o wszystko. Oskarżała sędziów, prymasa, sądy całe przed trybunałem, nawet króla samego. Miała sto pozwów i sto procesów. Rozwodziła się i żeniła syna, prawowała się o obrazę honoru, o dzierżawę, sukcesję i wakansy, o sprawy barskie i targowickie. Ale gło-

wnem zatrudnieniem wojewodzicowej mściśławskiej był jej brat: Ksawery Branicki, oś zasadnicza wszystkich interesów i talizman stosunków. Kupczy na wsze strony przemożnym wpływem hetmana, grozi jego zemstą, lub obiecuje zjednać sympatję. W działalności pierwszego warchoła w Rzeczypospolitej, oraz ducha-dreńczyciela Stanisława Augusta, ta siostra odgrywa bardzo ważną rolę. Długoletni stosunek króla do wojewodzicowej stanowi jeden z najbardziej jaskrawych dokumentów niepojętej zaiste słabości Stanisława Augusta. Tło zasadnicze jest przedewszystkiem finansowe. Sapieżyna wyłudza odeń olbrzymie sumy, a gdy królowi braknie gotówki, to mu sama z lichwą pożyczka. W całej Rzeczypospolitej chwali się sympatją króla, obiecuje na prawo i lewo swą protekcję i sprzedaje ratami wpływ swój u dworu.

Dochowała się do naszych czasów obszerna korespondencja króla z Sapieżyną. Nie sposób czytać ją spokojnie i nie łatwo zrozumieć, że Stanisław August daje się tak zadrećzać lichej, mało inteligentnej intrygantce, że we wszystkim jej idzie na rękę, choć wie równocześnie, jak bardzo „złoczyńna“ i jak dobre robi interesa na królewskiej uprzejmości. Ilekroć chodzi o wakans na urządzie, o donatywę, awans lub starostwo, potrzebne właśnie dla stronnika pani wojewodzicowej, wtedy właśnie sypią się w listach zaklęcia i przysięgi, nie zawsze ortograficznie pisane. Wtedy słów nie żałuje eks-kochanica: „Cała Polska da mi to świadectwo, że Ci szczyrze, Najjaśniejszy Panie, y po męsku służyła. A takim entuzjazmem, że tylko pozwałam jednym serafinom tak czuć do Boga“. Ale król nie ma żółci, cukrowane słówka posyła jej wzamian, nie mówiąc prawdy wprost, prosi grzecznie,

żeby nie wichrzyła, a ostatecznie spełnia prośbę, o którą nastawała. Jest nią srodze znudzony. Obrzydła mu do reszty, ale nie potrafi się zdobyć na gest *de l'amant bourri*.

Przez długich lat dwadzieścia, bo od wstąpienia na tron aż do Sejmu czteroletniego, rządzi królem owa tajna policjantka Salderna. Załatwia sprawy i sprawki posłów rosyjskich, wyżebruje sobie miesięczną pensję w kwocie 200 dukatów, a tak, jak pierwiej zamęczała sprawami brata, tak później zanudza króla swym synem. Ten syn, to jest Kazimierz Nestor Sapieha, człowiek tęgiego charakteru i wielkich talentów, który byłby niewątpliwie stanął pośród pierwszych ludzi Sejmu czteroletniego, gdyby go nie zwichnęło wychowanie matki.

Obok trzech Sapieżyn, dwie Lubomirskie. Jedna, z domu St., umiała się jakoś zawoalować wobec potomności, druga szczyci się przeszłością godną — zeszytowego romansu. Hadikówna rodem, córka austriackiego generała, poślubiła rozgłośnego bandytę i cynicznego rabusia, który nazywał się Marcin Lubomirski. Przymknięty za łupiestwa i mordy siedział kolejno w więzieniach Kamieńca, Munkacza i Budy. Tam razu pewnego wypuszczony na spacer, poznał córkę generała. Papa jej zlakomił się na fortunę, Lubomirski zyskał wolność. Węgierce wcale przypadło do smaku rzemiosło mężulka, więc jeździ z nim razem na wyprawy bandyckie, arcy przedsiębiorcza. Choć *femme d'esprit et assez jolie*, znudziła się szybko Lubomirskiemu, więc ją rzuca, tem bardziej, że zakochał się w tym czasie w wojewodziance Stempkowskiej. I wtedy to szafirowe oczy Hadikówny zaciekają na krótko króla.

O ileż milsza, jak romantyczna, czuła i prze-smutna zarazem jest historia Jedwiżki Ciechanowskiej z puszczy brzeskich. Po tragicznych przejściach panieństwa i pierwszego małżeństwa, po homeryckich iście bojach i najazdach w rodzinie, gdzie coś stu ludzi poległo, przybywa Jadwiga ze Strutyńskich Ciechanowska za czasów barskich do Warszawy. Z królem znali się jeszcze z Wołynia z lat dziecińczych. Wrosła na kobietę dorodną, „oczy miała błękitne, włosy obfite, gładką rączkę i małą nóżkę“. Życia jeszcze nie zaznała wśród ponurych Litwinów, tedy całym pędem temperamentu kokietuje królewskiego Adonisa. Król, ujęty rączką, nóżką i wspomnieniami młodości, rzuca bez namysłu Sapieżynę, spędza u tej często wieczory, nawet listy gorące wysyła. Jedwiżka radaby równie gorąco odpowiedzieć. Ale cóż? W puszczach dzikich nie uczono miłosnej epistolografji! Tedy używa się starego sposobu z Cyrana de Bergerac: listy płomienne pisze z rozmachem jakaś francuzica, pani Blanmenil.

Ani przypuszcza miła szlachcianeczka, że sielanka skończy się rychło. Pewnego dnia zbudzi się starościna opeską z 200.000 złp. intraty rocznej, oraz małżonką rajfura królewskiego, „hrabiego“ Manuzzi. Ten usłużny fagas, jeszcze z czasów petersburskich, mało zwracał uwagi na stworzenie, które wola królewska uczyniła jego żoną, mało też interesował się synem swoim (Stanisław mu także było), kontent tylko z miljonowej fortuny. Prawie z sobą nie żyli. Pani Manuczyna, zgola nieciekawa praktyk swego męża, zmarła wkrótce potem w 42-gim roku życia, mąż ożenił się niebawem z inną, a król, we wdzięcznej pamięci, kazał portret jej zawiesić obok pięciu innych konterfektów

swoich kochanek. Taka jest historia Jedwiżki Ciechanowskiej. Zwyczajna, nieprawdaż!? Tak bardzo zwyczajna!...

Niewięcej szczęścia, za to mniej skrupułów, miała w kilkanaście lat później krajczyna z Ossolińskich Potocka, blondynka i czarnobrewa, zapalona demokratka w szafirowym kołpaczku i kontusiku z bortą sobolową. Zdetronizowana z chwilą pojawienia się na horyzoncie gen. Grabowskiej, pogromczynie wszystkich metres, opuściła z irytacji Warszawę. Wogóle większość faworyt królewskich nie bierze sobie zbytnio do serca rozłąki z kochankiem. Śnać były na to przygotowane. Tak więc nie rozpacza nad miarę ani pani Elżbieta Rożańska, ani pani Dahlke Ciecierzyska (którą gorszą się ludzie, gdy chodzi w barwach domu królewskiego), ani też mieszkająca stale na zamku pani Schmittowa, prześliczna starościna brodnicka.

Pamiętacie jeden z najwdzięczniejszych portretów Grassi'ego? U stóp greckiego obelisku młoda i urocza mateczka, przytulona do czarnowłosego dziewczątka, które powiewa wiotkim szalem. Dziecko owe, to księżna Dorota kurlandzka, która około r. 1780 olśniła urodą Warszawę, a zakochał się w niej cały dwór i chyba połowa Sejmu czteroletniego. Pomimo sprzeciwu i płaczu pani Grabowskiej król uległ wdziękom księżniczki, a żonę uspokoił — brylantami. Amory starego króla przeniosła ks. Dorota ponad inne także i dlatego, że potrzebowała jego pomocy w zawikłanej sprawie dynastycznej.

Jeszcze wspomnieć się godzi o narodowościach obcych. Jest markiza Lucchesini i br. Schitter, z domu Camona, Greczynka, której pogrzeb spotka król, opusz-

czając Warszawę. Jest smężna Angielka, miss Hariett, wychowanka poła angielskiego (jej córka, generałowa rosyjska, ogłosi drukiem pamiętniki o tej miłości). Jest pani Camelli i wiele innych. Zresztą cała falanga miłośnic bezimiennych, lub znanych pod pieśzczośliwym imieniem, albo z inicjałów. Przypuszczacie zapewne, że same starały się o tę dyskrecję? Gdzietam! Wszystkie niezawodnie zmartwione były tym brakiem rozgłosu.

Dostojnym i wysoko urodzonym metresom despekt zrobilibyśmy extraordinaryjny, stawiając je obok awanturnic, jakimi, niestety, lekkomyślny amant również nie gardził. Tedy dystans musi być uczyniony pomiędzy temi amatorami „ekspensowanemi“, a tamtemi „gratyskowemi“. Więc z należnem lekceważeniem wyliczamy „fryjerki“: śpiewaczkę Tomatisową, primadonnę Bonafini, modelkę Malczewską, żydówkę Czajkę i jakieś różne inne, źle urodzone istoty, zaobserwowane na Zamku przez pamiętnikarzy. Królową heter jest wszelako markiza Lulli. Zgoła pospolita i niewybredna wyzyskiwaczka omota 60-letniego króla i zdawało się nawet, że zachwieje pozycją pani Grabowskiej. Mała, pękata blondynka, z nieodstępną ciotką, o ładnych, piwnych oczach i smagłej cerze, ubrana już modnie, bo w negliż grecki — mięsza się do wszystkiego i na chwilę chwyta ster rządu w chylącym się do upadku zupełnego dworze. Podobno Targowica jej głównem dziełem, a wywiezie z Polski miliony i brylanty. To też w r. 1794 przypadkiem tylko uniknęła śmierci z rąk tłumu.

Nareszcie koniec przerażającego rozmiarami rejestru. Z ulgą przejdziemy do ustępu, który nam ob-

wieści finale rozpustnych zabaw, a da poznać — króla małżonka.

4. ŻONA.

Zaczął już był ostatni król Rzeczypospolitej utracić wigory młodości, bliższy coraz wieku owego, w którym, jak mówi brzydko Szekspir, „ambra i ka-lafonja ludziom z oczu ciecie“, gdy na Matyska przyszła kreska: *mariage de conscience*.

Do innego szczęścia jakoś nie miał, choć prób nie brakło. Już w r. 1760 swatano go z Radziwiłówną, potem z Potocką, wojewodzianką kijowską. Po elekcji plany snują się górniesze: marzy mu się księżniczka Orleańska, ale Ludwik XV., rzecz prosta, nie chce ani słyszeć o panu Poniatowskim; potem Panin proponuje bezskutecznie jakąś księżniczkę, aż z Portugalji, co królowi za małe; z kolei przyjdzie „kosz“ habsburski od Krystyny austriackiej, oraz daremne wysiłki księżnej marszałkowej, by wyswatać króla z jakąś inną duchessą francuską. Dopiero w latach późniejszych zorjentował się król Jegomość, że dwory zagraniczne, z łatwo zrozumiałych względów, nigdy na małżeństwo nie zezwolą. Tron monarszy Jadwigi, Marysienki i Barbary Radziwiłówny nie zobaczył w XVIII. wieku królowej polskiej. Ani śmiały podnieść oczu tak wysoko metresy, ani ważyła się pomyśleć żadna o splendorach, choćby morganatycznego związku. Żadna, z wyjątkiem jednej. Stało się tak, jak z ową damą dworu Ludwika XIV., co to zapytana, kędy wchód do jej alkowy, odrzekła: „Przez ołtarz, Najja-

śniejszy Panie!" Generałowa Grabowska powiedziała tak samo i wkrótce *il matrimonio secreto* stało się faktem. W jednej z księzek króla znaleziono po śmierci metrykę ślubu. Podobno dawał go tajemnie w r. 1785 ks. biskup Albertrandy (jeśli nie kanonik Wargocki) w kaplicy Jezusowej katedry św. Jana. Zrazu trzy osoby wiedziały o rzeczy, ale rychło potem cała Polska.

Jakim cudem udało się tej kobiecie dopiąć celu, do którego daremnie parły damy stokroć możniejsze? Bez cudu i bez walorów szczególniejszych. Jednej ze swych bohaterek, pani Elecie Torlotto, przypisuje Anatol France władzę dziwną przeto, iż „od jędrnej i słodkiej okrągłizny jej piersi dobrze pęczniała koszulka“. Zdaje się, że i pani generałowej urok czaru fizycznego i głębia syntymentu dały zwycięstwo, bo pozatem ani szczególnie piękna, ani tak bardzo sprytna. Z ludzi, co ją znali, nikt o szczególniejszych talentach nie wspomina. Z rodu senatorskiego ongiś w Rzeczypospolitej, Szydłowskich, ma wojewodzianka płocka w chwili ślubu z królem lat trzydzieści pięć. „Piękność z rodzaju pulchnych, z gładko zaokrąglonemi kształty, jak to lubiał król Jegomość“, tak świadczy wierny dworak, a Dominik Magnuszewski zapisze wedle opowiadań Bacciarellego: „Miała śliczne, siwo-błękitne oczy, czarne sploty, którym wymownie grecko-sarmacki nosek przewodniczył, oraz dołek na podbródku. Bywało, że król pieszcząc się tym noskiem, mawiał: „Ty będziesz miała dwóch mężów, albo dwóch kochanków, Elżusiu!“ A znali się oddawna, skoro Heyking już w r. 1763 widywał stolnika u starych Szydłowskich. Niedługo potem filar dysydentów polskich, generał Grabowski, popełnił wielkie *scandalum*: ożeniwszy

się z panną, chociaż katoliczką. Z generałem król w wielkiej był zażyłości, („bardzo lubię go“), ani spodziewając się, że wkrótce im obojgu rozwód pośle i panią na dwór sprowadzi. Zaczęło się, jak z każdą inną, ale rychło wszystkie w kąt poszły, wobec tego najsilniejszego z pantofelków, który przez lat dwadzieścia, do końca utrzymał się przy władzy. Ta właśnie, nie żadna inna, gorycze losu sercem słodzić potrafiła, ta jedna tylko niedoli jego stała się aniołem jasnym.

Dwadzieścia długich lat, gdy amory inne ledwie tydzień żyły! Zaprawdę, musiała być wielką skłonność i uczucie króla. A jej wpływ? Nie można powiedzieć, że wpływ ten był dobry. Ale to pewna, że mógł być jeszcze gorszy. Pani Grabowska nie należy do rzędu najbardziej bezwstydných natur kobiecych w epoce rokoka. Znamy inne o większem sobkostwie i bezwzględności. Przebiera wprawdzie miarę Ochocki, czyniąc z pani Elżbiety idealistkę, wznoszącą się wysoce ponad *genre* epoki, ale też i o szczególnie złych postępkach nie słyhać. Wyzyskuje swą świetną pozycję, to prawda, lecz nie sięga cynizmu markizy de Maily, ani księżny de Chateauroux, ani też pani de Pompadour. A i wśród jej poprzedniczek widzieliśmy fircynelle potworniejsze. Mniej zachłanna o władzę niż inne, w polityce słabo interesowna. Podobno zbliżyła do króla Ignacego Potockiego, lecz czemuż bez rezultatu? Stosunkowo mało nienawidzą jej inne damy u dworu, choć mówią, że kapryśna i uparta, w każdym razie o całe niebo lepsza od potwornej Lulli. Warszawa stawia na równi obie te kobiety, mówiąc, że „jak kręglem grają umysłem królewskim przeciw sobie“, a trefniś uliczny, głupi Jacuś, coś o tem

posłyszał i ciągle podśpiewuje: „U mojego króla Grabina i Lulla, Hulaj-że, Jacusiu, bo Warszawa hula“.

Starzeje się tymczasem szybko król Jegomość, przepędził wszystkie metresy i z dniem każdym więcej słucha żony. Gdybyż umiała umocnić wiotkie sprężyny jego duszy, gdybyż potrafiła utrzymać na owej drodze dobrej, którą poszedł w dniu 3-cim Maja! Nie umie. Przynagła jeszcze do uległości, nie przeciwiała Targowicy, a potem, przerażona, wprost namawia do abdykacji. Jej rola w Grodnie i nad Newą nie świadczy, że miała więcej od innych godności.

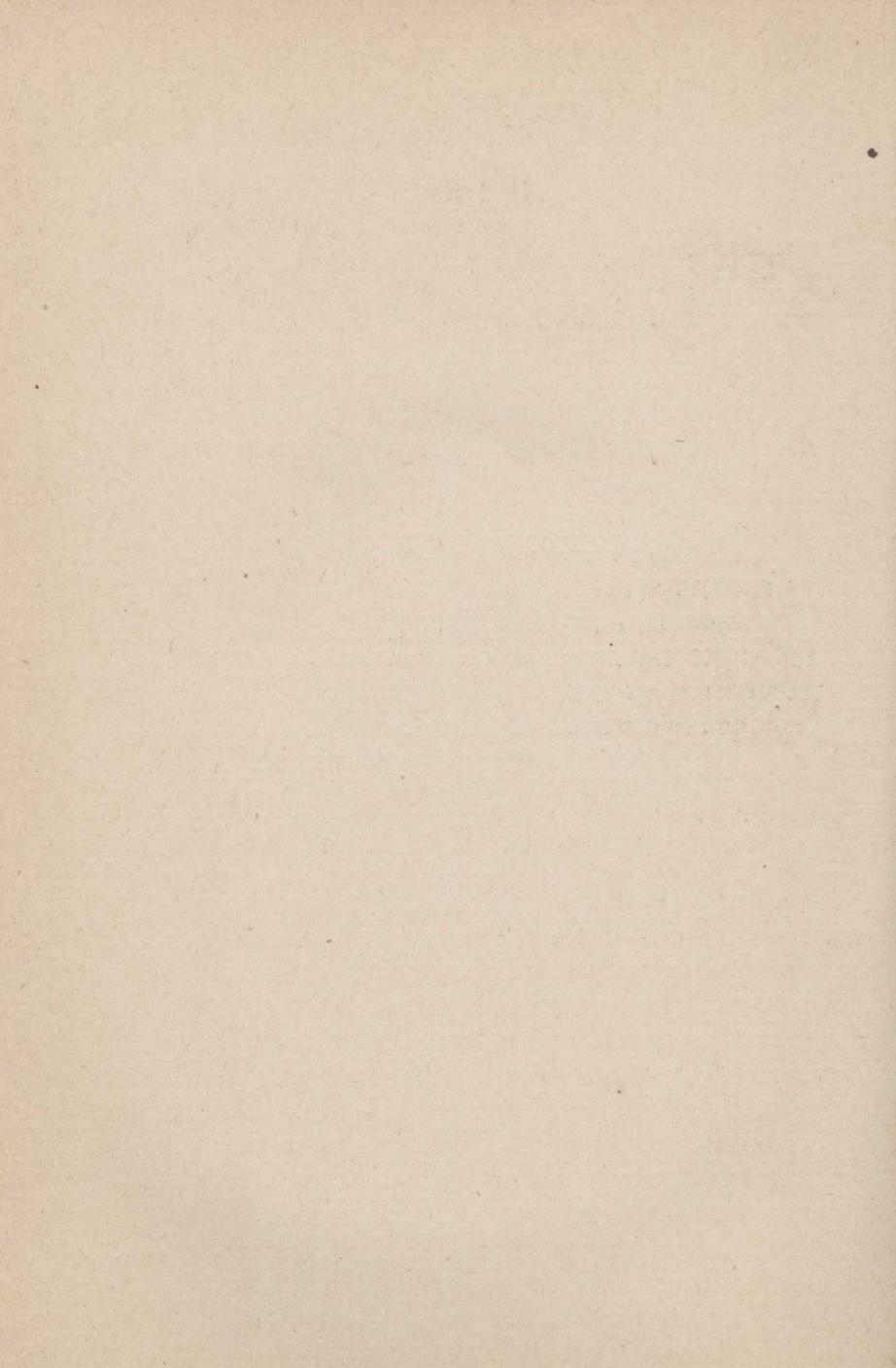
Podupadła bardzo. Sievers w r. 1793 zapisuje, że „ospowata i mocno malowana“. Przytyła i zgarbiła się. Towarzyszy królowi na wygnanie, a gdy umarł w Petersburgu, wraca do Warszawy, gdzie jeszcze trzynastcie lat żyć miała. Wiecznie zabaw spragniona, urządziła z pasją „żywe obrazy i sceny fantastyczne“. Żonę swą i dzieci (a było ich pięcioro) uposażył król nieświeźnie. Zapisał „małe starostwo Dembe, czyniące ledwie 8.000 złp. intraty rocznej, portret swój, oraz.. parawan z chińskiej laki“. Podobno miała o to pretensję do testamentu króla pani generałowa, a zaśię do niej ma dziś historia pretensję: że wiele mogąc, nie wzniosła się ani przez chwilę ponad rolę potrzebującej dukatów metresy!...



ZMIERZCH ROKOKA.

„...O Sławo ! Po tobie
W najgrubszej nam chodzić przystało żałobie !“
St. Trembecki.

„Królu, jeszcze lat dziesięć spokojnego bytu,
Przyszlibyśmy do rządu, siły i rozkwitu !“
M. Mołski.





ecz chociaż tak wiele ludzi przesunęło się przez karty opowiadania, przecież jeszcze nie wszyscy, wcale nie wszyscy. I dziwno nawet, że właśnie o personach świetnych i najczcigodniejszych, nie było w książce

mowy. Bo gdzież pan Kościuszko i książę Józef, gdzie Staszic mądry, bolesny Rejtan, ognisty Niemcewicz, gdzie loty orle Wielkiego Sejmu? Wszakże brak podkanclerzego Kołłątaja i stuku laski marszałkowskiej Małachowskiego nie słyszać! W owym samym czasie żyją przecież i działają w Rzeczypospolitej ludzie wcale inni: ci, co się po znaku tajemnym poznają — pierścień z datą 3 maja i napisem: *fidis manibus* we środku — ci, co reformę Sejmu Wielkiego i Ustawę Majową gotują, ludzie źle ubrani i niegrzeczni, o obcych, mieszczańskich często nazwiskach: jakieś Dekierty i Meiery, Kilińscy i Kapostasy. W owym samym czasie poprowadzi ktoś pod Racławice kosynierów spoconych, a mocnych, a kto inny nocą z obozu epistolę buntow-

niczą napisze do króla! Gdzież to wszystko? Nie spotkaliśmy ich w toku opowiadania, bo na galach i asamblach u dworu nie bywali, nie mieli czasu. Pani de Genlis zaliczyłaby ich w swym słowniku etykiety dworskiej do rzędu tych, którym nie godzi się udzielać zaszczytnego *droit au tabouret*. Bo oni to właśnie zepsuli całą zabawę...

Długo zatykał uszy Wersal polski na wieść, że na Sejmie Wielkim, tym samym Sejmie, który z początku zdawał się elegantkom niczem innym, jak tylko wspaniałą rewją lekkomyślności — urodziła się jakaś Polska nowa. Jaka? Nie wiedzieć dokładnie, ale w każdym razie gardząca pudrem, katagonem i wodą angielską. Co gorsza, Polska przybrana napowrót w kontusz niezgrabny, lub plebejską czamarę! Nagle obróciły się wniwecz owoce długich lat fryzjerskiej pracy i nanic wszystkie krucjaty w obronie *bon ton'u*! Nagle stało się coś przerażającego. Historycy epoki upatrują w różnych zjawiskach chwile przełomowe, eleganci rokoka widzieli ją tylko w jednym fakcie. Było to w owym dniu wiosennym roku 1789, gdy w czasie śniadania u ks. generałowej Czartoryskiej uderzono w kotły i bębny, a ksiązę Nestor Sapieha strój cudzoziemski zrzucił, ostrzygł bez litości pukle włosów srebrzystych i frak aksamitny na kontusz odmienił. Równocześnie dwudziestu młodych ludzi z Weysenhofem i Matuszewiczem na czele odprzysięgło się tupetów i talonów różowych, szamerunków złotych i pantalonów białych, racymorowych. A nie sam jeden Eustachy Sanguszko z wielką tylko nieśmiałością ośmielał się tak pisać do ojca dobrodzieja: „Daruje mnie pan ojciec dobrodziej, że może przeciwko jego chęci idę, po polsku się przebierając, ale uprzykrzyło

mi się Francuza udawać, gdy jestem Polakiem. Suknie za dwa dni już będę miał gotowe i łeb poza ucho podgalam“.

W żurnalach mód wielkie zmiany i w sercach. Stella matutina Polski nowej zgasiła księżycę rokoka. A wielki hetman rokoka, a król Staś, czy padł pod kolumnami walącego się gmachu? Wcale nie! Stanisław August ścisnął mocno dłonie rebeljantów Sejmu Wielkiego. Wszak to wychowankowie jego szkoły, dzieci hasła oświecenia, z korpusu kadetów i z Komisji edukacyjnej wywodzą swój ród. Z tą jeno różnicą, że nie wszystkie jego dogmaty za swoje wzięli, a w życie iść umieją z wiarą w siły narodu i własne. Jakże nie miał pójść razem z nimi? Mimo jadowite przyczinki przerażonych metres, wbrew woli silnej braci, kuzynek, siostrzenic, mimo grózb petersburskich — poszedł. Zrobiło się w Polsce na chwilę jasno i radośnie. Pękła obręcz ambadorskiego uścisku, ujęli się spolem za ręce wszyscy ludzie mocni, rozbłysła uluda *rinascimenta*... Na konstytucję przysiągł król, uwierzywszy z bijącym sercem w spełnienie dwu marzeń, najbardziej niedościgłych. Będzie miał skarb zasobny! (on, co musiał się dotąd u lektorów swoich zapożyczać). Będzie miał armję stutysięczną! (on, co gdy pod Kaniowem chciał Katarzynie wystrzelić na wiwat, armaty nie miał skąd sprowadzić). Lecz cóż, kiedy „giętkie duszy sprężyny“ nakażą królowi cofnąć się wpół drogi i wrócić! Targowica odebrała króla narodowi, a królowi naród. Na pytanie rzucone ongi w liście Woltera: kto jest większym filozofem Stanisław August, król Prus, czy caryca Rosji? — teraz dopiero dała historia dobitną odpowiedź. I został sam. Bez dworu nawet. Bo wtedy skryli się po kątach

wszyscy Polonjusz i coraz głośniej rozbrzmiewał pokrzyk gromki Fortymbrasów. Odbiegli króla Stasia artefeksy i rzeźbiarze, wygodni szambelanowie, tancerki przerażone. Burza wisiała w powietrzu. Prokonsul Igelström wziął rząd w Warszawie. „Straszny czas, straszna podłość — pisał Leon Dembowski — chyba zapomnieć o narodzie. Brat lękać się musi brata, kobiety nawet szpiegami. Nie można pewnym wstać z łóżka“. Pałace opustoszałe zmieniono na kancelarie rosyjskie, znikły z ulic karoce poźłociste. Pani Krakowska z generałową chcą jak najprędzej jechać do Królewca, Trembecki nawet gotów pisać treny Jeremjasza. Na Zamku w piecach nie palą, obiady i asamble ustały, paziów odprawiono i froterów. I po raz pierwszy Amor Łazienek zadrżał przestraszony. Albowiem na ulicach Warszawy deklamowano wiersze w rodzaju tych:

Alboż ten bałwan, co lat trzydzieści
Kraj go swą karmą rozpycha,
Podły z istoty, mądry z powieści,
Nie samą zdradą oddycha?

Umie nieszczęsny zwodzić lud prawy,
To cała jego zaleta,
Iż godzien za swe Tytusa sprawy
Kanonizacji... Kapeta!

Wiosenna nawałnica kościuszkowskiej Insurekcji oczyści docna Rzeczpospolitą z miazm trujących i niemocy, lecz nie udaremni gromu, który Nemezis dziejowa ma w zanadru. Przyjdą chwile ostatnie bytu państwowego, przyjdzie despekt kaźni królewskiej w Grodnie i Petersburgu. A po roku całym bolesnych samoupokorzeń śmierć wybawiciela. Ta przynajmniej

da trochę zadośćuczynienia damom zgnębionym i dwor-
kom. Albowiem „przeniesiony był król umarły z wielką
paradą do pokoju z cyfrą Imperatorowej, pod tronem
koronowany przez cesarza i w tymże stroju przeleżał
dni ośm“.

Ostatni, dziś wiemy już, że na zawsze ostatni
człowiek, co brał na swe skronie koronę Piastów,
ostatni najmądrzejszy i razem najsłabszy z królów
Rzeczypospolitej...

*

*

*

Czyście zauważyli, że ze wszystkich monumen-
tów przeszłości Łazienki królewskie mają, jedyne może,
urok przedziwnej świeżości w sobie, nie patynę ruin,
ale dziewczęcy rumieniec życia? Popatrzcie na niepo-
kalane blaski parkietów w pokojach królewskich, zo-
baczcie purpurę obić adamaszkowych, albo posłuchaj-
cie jak idą zegary. Przed stu czterdziestu laty upla-
sował był imć pan Gugenmus penduły owe na ścia-
nach, i kunsztem swoim w ruch puścił, a oto tykają
posłusznie do dziś! I dalej: wpośród kulis drzewnych
w teatrze na wyspie drży, zda się, do dziś *cantabile*
strofy, nuconej przez śpiewaków króla Jegomości,
a gdyby zagnała otworzyć drzwi Białego Domku, to
chyba napewne stanie w nich fiokowana sylweta damy
wytwornej i rzuci z poza wachlarza ciekawe: *Qui est-là?*
Czy tylko to żywe pozostało: parkiety, zegary i aneg-
dota o dworze króla Stasia? Chyba nie!

Tak samo żywa jest cała puścizna Stanisława
Augusta, tak żywy cały jego program cywilizacyjny,
wszystko nieomal, co zamierzał w dziedzinie oświaty
i wychowania narodowego, w materjach sztuki i „manu-
faktury“. Po całym świecie rozpieczęły kolekcje jego

dział sztuki, w dwudziestu dwu tomach katalogu spisane, przez handlarzy hamburskich i czynowników rozwłóczone. Są w Gatczynie i Petersburgu, w Moskwie i Kijowie, w Berlinie, Dövrze, w Eremitażach i Akademjach. Wszystkie moce świata przysięgły się, by zamierzenia króla dobrego udaremnić i krzewy zasadzone podeptać. A przecie zostały. Nietylko parkiety i zegary, nie same plafony odrapane i okaleczone gzymsy, więcej nadto do dziś żywe trwa.

Bo także ziarna, rzucone w glebę polskiej cywilizacji, bo także wielki program pracy kulturalnej, dotąd w całości niespełniony, bo jeszcze siejba, błogosławiona siejba światła. I ona idzie przed sąd dziejów, świadczyć za oraczem. Tak jak sam chciał i jak mocno ufał. Do przyjaciela pisał przecież w liście:

„Ale najbardziej ufam temu żniwu, które choć po mojej śmierci inszy zbierać będzie z mego jednak zasiewu, gdy przez poprawioną dzieci edukację znajdzie pod ręką swoją kilkadziesiąt tysięcy obywateli oświeconych, od przesądów oddalonych i wcale inaczej do wszelkiego życia usposobionych, niżelim ja ich zastał!”



PRZYPISY.

Wiadomości do opowiadania niniejszego czerpał autor w nieprzebranym materiale drukowanym do dziejów panowania Stanisława Augusta. Przedzierając się przez gąszcz dokumentów historycznych, literackich i obyczajowych, przeglądając wszystkie opracowania syntetyczne i cząstkowe zostawił na uboczu zarówno historję polityczną, jak dzieje oświaty i literatury, a starał się wyzyskać materiał wyłącznie pod jednym, mało dotąd uwzględnianym kątem: kultury towarzyskiej i obyczajowej wieku oświecenia.

Nie było ambicją piszącego wyszukiwanie nieznanych relacyj rękopiśmiennych i prowadzenie studjów archiwalnych już choćby dlatego, że książkę ową kończył w listopadzie 1918 roku we Lwowie, w miesiącu inwazji ukraińskiej. Materiał ogłoszony dotąd starano się wyzyskać w zupełności. Bogata literatura pamiętników była tu źródłem najobfitszem. Od pamiętników króla (w najnowszym petersburskiem wydaniu) poczynawszy, informatorami autora byli następujący pamiętnikarze:

Bogusławski W., Bukar S., Cieszkowski H., Czacki F., Dembowski L., Falkowski J., Grabowski A., Grzegorzewska S., Karpiński F., Kitowicz J., Kossakowski J., Koźman K., Krasieński J., Łubieński F., Magier A., Matuszewicz M., Moszczeński H., Niemcewicz J. U., Ogiński H., Ochocki J. D., Poniatowski St. podskarbi, Potocki L., Rzewuski H. (Michałowski Bartł.), Sagatyński, Sangusko E., Starzeński M., Trembicka A., Węgierski K., Wybicki J., Wodzicki St. i in.

Ciekawych informacji dostarczyły pamiętniki osób obcych, które pozostawały w stosunkach z królem St. Augustem. To: Casanova, madame de Crecquy, księżna Daszkow, Engeström, Harris, Heyking, Katarzyna II, Lauzun, Lehndorf, Vigée Le Brun, Reverdil, Segur, Sievers i in. Równie ważnem źródłem były relacje podróżników: Bernouilli'ego, Biestera, milady Craven, Coxe'a, Fortia de

piles'a, Kauscha, Mehee'go de la Touche, St. Pierre'a, Szulca, Vautrina. Osobno wspomnieć trzeba o relacjach ambasadorów i dyplomatów, a więc Bułhakowa, Gereta, Essena, Repnina, Salderna, Stackelberga i t. d.

Listy współczesne są dalszem źródłem. Ilość listów, które pozostały po epoce oświecenia, idzie w mnogie tysiące. Z wydanych dotąd przez historyków osobno i w czasopismach przeglądają autor korespondencje następujące: Branickiego, Byszewskiej, p. Geoffrin, Glaire'a, Jakubowskiego, Kokcey'a, Kossakowskiej, Krasińskiego, Mniszchowej, Naruszewicza, Radziwiłłowej H., króla Stanisława Augusta, Trembeckiego.

Obok źródeł obyczajowych wykorzystał autor historję polityczną epoki, radząc się prac dawniejszych i nowszych historyków naszych.

W umieszczonych niżej przypisach zawarto tylko część przeglądnętego materiału. Z braku miejsca podano cytaty w niektórych jeno miejscach: tam, gdzie wypadało poprzeć opowiadanie powagą dokumentu, oraz iżby się szczegóły niektóre nie wydały czytelnikowi swawolą beletrystyczną autora, który starał się nie wyjść nigdy poza ramy faktów, mozołnie nieraz z uroczystych dokumentów wyluskanych.

Wszystkim bibliotekom lwowskim, w których pracował, wien jest autor wiele wdzięczności. A najpierw Zakładowi im. Ossolińskich i wszystkim Ossolińczykom z dyrektorem dr. Ludwikiem Bernackim na czele, którego uczynności nieraz nadużywał. Panu redaktorowi Tadeuszowi Czapelskiemu wyraża autor słowa najgorętszej podziękności za serdeczną opiekę nad książką i wiele rad dobrych. Z uznaniem też wspomina starania p. Rudolfa Wegnera około wyglądu zewnętrznego tej książki.

We Lwowie, 24 grudnia 1918.

STANISLAUS AUGUSTUS REX.

Przytoczenia, użyte w tym rozdziale zob.: Szulc Fryderyk. Polska w r. 1798 (wyd. warsz. z r. 1899) str. 334. — List do Bacciarellego: Tatarkiewicz. Budowa pałacu w Łazienkach, Warszawa 1916, 41. — Pamiętniki Stanisława Augusta, wyd. Konopczyńskiego. Warszawa 1915, 64—5. — Sienkiewicz Karol, Skarbiec historii polskiej, t. II, 250 sq. — Askenazy. Wczasy historyczne, 6—7. — S. Goriainow. Notanda historica. (Fragment polski pamiętników króla). Przegląd historyczny. t. X, 122, — Milady Craven. Voyage en Crime et Constantinople. Paris 1826, 123.

DUSZE W STYLU ROKOKO.

Jako materiału porównawczego z życiem obyczajowem ówczesnej Francji, Anglii i Niemiec użyto publikacyj następujących:

A. Gleichen-Russwurm. Das galante Europa. Stuttgart 1911. — Dühren. Englisches Sittenleben. T. 1—2. — Goncourt E. i J. La femme au XVIII siecle. Paris 1905. — Tenże. Histoire de Marie Antoinette. — Tornius. Salons. Leipzig 1917, t. 1—2. — Fischel-Boehn. Die mode im XVIII. Jahrhundert. München 1909. — Pechel Rudolf. Rokoko, das galante Zeitalter, Berlin 1913. — Lord Chesterfield. Briefe an seinen Sohn. (wyd. Gleichen-Russwurma). — Hausenstein Wilhelm. Rokoko. Französische u. deutsche Illustratoren des XVIII Jhrh. München 1918. — Taine Hipolit. Francja przed rewolucją, przekład Chmielowskiego i Grabowskiego. Warszawa 1881. — Chłędowski, Rokoko we Włoszech. Warszawa — Kraków 1915.

O PIĘCIU BRACIACH I O PANI KRAKOWSKIEJ.

O rodzicach Stanisława Augusta zob.: Kantecki Kl. Stanisław Poniatowski. Poznań 1880. — Konopczyński. Polska w dobie

wojny siedmioletniej I, 284 i nast. — Bernoulli. Reisen, t. V, 138. — Kołłątaj H. Stan oświecenia. Poznań 1841, 59. — Madame de Crequy. Souvenirs. T. IV, 49.

Książę eks-podkomorzy: Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich, 63, 132. — Falkowski. Obrazy I, 102—4, 153. — Bartoszewicz. Żywyoty znakomitych mężów III, 163—264. — Coxe. Reisen I, 129. — Kalinka. Ostatnie lata St. Augusta II, 412. — Tomkowicz. Z dworu St. Augusta, Kraków 1882 (odb. z Przegl. polsk.) II, 79 — Listy Mniszchowej. Roczniki Tow. hist.-lit. w Paryżu 1866, 178. — Smoleński Wł. Książę eks-podkomorzy i Truskolaska. Przegląd historyczny, Warsz. 1915, 327—8.

Prymas Michał Poniatowski. Czapelski Tadeusz. Paż księcia prymasa. Lwów 1892. — Sievers. Pamiętniki. Poznań 1865 (passim). — Coxe W. Seisen I, 134. — Ochocki J. D. Pamiętniki I 98—9. — Mottaz. Maurycy Glaire i St. Poniatowski. Warszawa 1901, II, 87. — Kraushar A. Dzieje pałacu prymasowskiego. Przegląd historyczny, t. VII, 330—1. — Goriainow. Notanda. Przegląd hist., X, 265. — Gotkowski Wł. ks. Spustoszenia kościelne ks. prymasa Poniatowskiego, Kraków 1918, str. 17. — Smoleński Wł. Ostatni rok Sejmu Wielkiego, 380.

Pani Krakowska. Kraszewski. Polska w czasie 3-ch rozbiorów (wyd. II.) I, 245, 401. — Engeström. Pamiętniki, 42, 58. — Karpiński. Pamiętniki, 198. — Kraszewski, Krasicki 230. — Sienkiewicz K. Skarbiec II, 377. — Coxe W. Reisen, I, 155. — Heyking. Aus Polens u. Kurlands letzten Tagen. Berlin 1897, str. 287. — Kossakowski J. biskup. Pamiętniki. Warszawa 1891, 141, 173. — Starczewski. Moźnowładztwo polskie. Kijów 1916, II, 235, 254. — Geoffrin. Corrépondance, 133. — Ségur L. F. Memoires ou souvenirs. Paris 1890, str. 300. — Askenazy Sz. Listy Izabelli Branickiej. Biblioteka warszawska, 1894, III, 395. — Matuszewicz M. Pamiętniki. Warsz., 1876, IV, 313. — Bernoulli, V, 54—62. — Lehn-dorf E. A. H. Dreissig Jahre am Hofe Friedrich des Grossen (Aus den Tagebüchern). Gotha 1910. Nachträge; II, 75, 285. — Starzeński Michał. Na schyłku dni Rzeczypospolitej. Warszawa 1914, 7.

Pani Zamojska: Kraszewski. Polska, I, 146—7. — Dębicki L. Puławy, I, 388—9. — Listy Mniszchowej I. c. 187 i nast. 229.

Książę podskarbi. Pamiętniki jego ogłosił dr. Józef Korzeniowski (Revue d'histoire diplomatique. Paris 1896). — Chłę-

dowski K. Rokoko we Włoszech. Kraków 1915, 365 7. — Niemcewicz J. U. Żywoty znacznych w XVIII wieku mężów. Kraków 1904. 84. — Coxe W. Reisen I, 99. — Liske. Cudzoziemcy w Polsce, 223—5.

DZIEŃ KRÓLA POLSKIEGO.

Pamiętniki Antoniego Magiera. Archiwum domowe Wójcickiego. Warsz. 1856, 1 i nast — Sagatyński. Pamiętnik byłego paza St. Augusta. (Poznań 1845), 55, 75. — Kraushar. Dwa szkice z czasów panowania St. Ag. (Pamiętnik Reverdila), I, 42 sq. — Michałowski Bartłomiej. Pamiętniki III, 63—4. — Opis sypialni: Marcinkowski. Inwentarz zamku warsz. Przegląd historyczny, t. VI i nast. — Chrzanowski I. Z dziejów satyry polskiej w XVIII w. (wiersz Niemcewicza). — Wójcicki. Warszawa i jej społeczność, Warsz. 1877, str. 147. — Kitowicz. Pamiętniki. Lwów 1882, III, 137. — Szulc. Polska w r. 1793, str. 320 sq. — Zaleski Br. Żywot Adama Czartoryskiego, str. 173.

Opinie podróżników: Bernoulli (zob. Liske, Cudzoziemcy, 222). — Coxe. W. Reisen I, 131. — Craven, Voyage en Crime et Constantinople, Paris 1826, 123. — Casanova. Memoiren, VI, 22—3. — Engeström. Pamiętniki, 46—54. — Heyking. Aus Polens letzten Tagen, 80. — Moszczeński. Pamiętniki (Poznań 1868), 71. — Łubieński Feliks. Pamiętniki, 61. — Kossakowski. Pamiętniki, 71. — Kalinka. Ostatnie lata St. Augusta, I, 74—7. — Archiwum wróblewskie. Pamiętnik damy polskiej z XVIII w.. t. 1—3. — Goraiński. Notanda historica. Przegląd historyczny, X, 264. — Kraszewski. Polska w czasie 3-ch rozbiorów (wyd. II-gie), I, 146. — Łoś W. Kosztowne śliwki. Gazeta Lwowska, 1878, nr. 60. — Rzewuski Leon. Kronika podhorodecka, 101. — Bartoszewicz Jul. Pano wie niemieccy na dworze St. Augusta, 18. — Kraushar. Książę Repnin i Polska, passim. — Listy Mniszchowej. (Rocznik Tew. hist.-lit. w Paryżu, 1866), str. 225. — Niemcewicz J. U. Żywoty znacznych mężów w XVIII w. Kraków 1904, 23—28. — Sołowiew. Geschichte Falles von Polen, 52. — Wójcicki. Cmentarz powiązkowski, III, 60, 112.

NA ZAMKU I W ŁAZIENKACH.

Opis zamku: Korespondencja króla z p. Geoffrin (ed Mouy) Paris 1878, str. 163, 167, 206, 263 i w. i. — Korzeniowski Józef

Katalog rękopisów cesarskiej biblioteki w Petersburgu (Archiwum do dziejów oświaty i literatury, t. XI, 373, — Lauterbach Alfred dr. Styl Stanisława Augusta. Warszawa 1918. — Tenże. Warschau Leipzig 1918. — Tatarkiewicz. Materiały do historii zamku warszawskiego). Warszawa 1916 (odbitka ze sprawozdań Tow. naukowego warszawskiego). — Tygodnik ilustrowany, 1904, nr. 1. — Marcinkowski, Inwentarz zamku z r. 1769. Przegląd historyczny t. X, 133 sq. — Kraushar Aleksander. Stara Warszawa. Warszawa 1914. — Opis pokoiów wedle: Fortia de Pilles: Voyage de deux Français en Pologne. Paris 1796. T. V (przekład polski Kraushara w „Ognisku” 1904, nr. 4, str. 95 sq); Szulc. Polska, 201, 330; Heyking, 354, Tomkowicz. Z dworu St. Augusta. T. II, passim.; Engeström. Pamiętniki, 45; Batowski. Katalog zbioru gem. St. Augusta. Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne, 1902, IV. — Lauterbach. j. w. — Naruszewicz. Oda na pokój marmurowy (w „Poezjach” wyd. Chmielowskiego). — Dębicki Puławy I, 34.

W Łazienkach: Kitowicz. Pamiętniki (Lwów 1882), II. 199, III, 111. — Zugh. Ogrody warszawskie (przekład w „Ateneum” Kraszewskiego). — Tygodnik ilustr. 1866, t. XIX, 126, 1897, 701. — Kłosa 1867, 110, 178, 1872 (XV), 227. — Biesiada literacka 1877, III. — Magier. Wspomnienia. Wędrowiec 1904, I. 343. — Thugut. Przewodnik po Warszawie. — Opis karuzeli wedle druku współczesnego (por. Kraushar. Okruchy z przeszłości). — Bogusławski. Dzieła I, 71—72. — Przyłęcki St. Dyaryusz pobytu króla w Puławach. Warszawa 1866. — Bogatyński Wład. dr. Pomnik Jana III. w Łazienkach. Gazeta lwowska 1916, nr. 95 i 96. — Poza tem materiały bibliograficzne zebrane w źródłowej rozprawie: Tatarkiewicz. Budowa pałacu w Łazienkach. Warszawa 1915.

WŚRÓD DWORAKÓW I DWOREK.

O parfilowaniu zob.: Goncourt. La femme du XVIII siècle, str. 129. — Gleichén-Russwurm. Das galante Europa. Stuttgart 1911. 373. — Morawski. Ze studiów nad kobietą polską. (Przegl. hist. 1911). — M. R. Ostatnia wojewodzina wileńska. Lwów 1896, 218.

1. W urzędzie marszałkowskim. Kalinka. Ostatnie lata panowania St. Augusta, I. 231—2. — Sozański A. Spisy imienne dygnitarzy za Stanisława Augusta. — Wydatki dworu St. Augusta. Tygodnik ilustr. 1866. — Dembowski. Wspomnienia. I, 86. — Kitowicz. III, 113. — Dębicki. Puławy I, 150—67. — Kraushar. Dwa-

szkice I, 105. — Taine. Francya przed rewolucyą, 103. — O Komarzewskim i Karasiu: Bartosiewicz J. w „Życiorysach znakomitych ludzi“. — O Aleksandrowiczu: Sagatyński. Pamiętnik 41. — O Ogrodzkim: Wzmianki w pamiętnikach króla; Encyklopedia Orgelbranda (t. V.). — Moszczeński. Pamiętniki, 99. — Tretiak. Krasicki jako prezydent Trybunału. — O Rzewuskim: Michałowski I, 181. — Magier (Archiwum domowe), 18. — Kitowicz I, 284. — Wodzicki. Pamiętniki, 213. — Ochocki I, 141. — Kossakowski. Pamiętniki (indeks). — Dembowski I, 13. — O służbie: Magier I. c. — Korzon. Wewnętrzne dzieje III, 16 sq. — Kossakowski. Pamiętniki 194. — Dębicki. Puławy I, 117. — O Paziach: Sagatyński I. c. — Niemcewicz. Żywy, Krak. 1904, 28. — O szambelanach: Michałowski I. c. III. 184—5; Bartoszewicz. Dziennik Warszawski 1885, nr. 301. Pełowski, Galiciana, 82.

2. Pan Ryx i pan Tremo. O Tremonie: Tomkowicz St. Z dworu St. Augusta II., 88. — Biblioteka ordynacji Krasińskich, t. VII, 105. — Mycielski. Książę panie kochanku, 33. — Siemieński. Ostatni rok życia St. Augusta. — Poniatowski St. Souvenirs (ed Korzeniowski w Revue d'histoire diplomatique). Askenazy S. Napoleon a Polska I. 123. — Ryx: Listy polskie Jana de Witt. 286 sq. — Wójcicki. Cmentarz powązkowski, II, 144 — Kitowicz, III, 112. — Michałowski, III, 80. — Niemcewicz. Żywy; 31—2. — Publicationen aus den preussischen Staatsarchiven, t. XXII (pamiętniki Catt'a). Bogusławski. Dzieła, I.

3. Faworyci. O Naruszewiczu: Bukar. Pamiętniki (wyd. Bibl. dzieł wyborowych); 20. — Niemcewicz. Żywy, 12. — Heyking, 289, 283. — Koźmian A. E. Wyciągi piotrowickie, 6 sq. — Koźmian. Kaj. Pamiętniki, I, 41. — Ochocki. Pamiętniki, I, 420. — Michałowski I. c. III, 178. — Poza tem bibliografja zebrana w „Historji poezji polskiej“ Pilata (wyd. Bernacki, t. IV). — O Braniczku: Kraszewski. Polska w czasie 3-ch rozbiorów, I, 40, II, 41—6. — Smoleński. Ostatni rok sejmu wielkiego, 56. — Niemcewicz. Żywy, 64—6. — Kitowicz, I, 1—9. — Casanova VI, passim. — K. M. Morawski. Dwie rozmowy St. Augusta z Braniczkiem. Kwartalnik historyczny, 1910, 121 sq. — O Radziwille „Panie kochanku“: Cieszkowski. Pamiętnik anegdotyczny z czasów St. Augusta (s. v.). Niemcewicz. Żywy, 78—80. — Ochocki. Pamiętniki, I, 65, II, 38, 46. — Brüggén. Polens Auflösung, 303. — Papiery Ambrożego Wejły. Ateneum (Kraszewskiego). Oddział V,

t. VI (1845), 171—225. — O hetmaie Ogińskim: Heyking. 111—113; Kraszewski. Polska I, 194, 410; Poliński. Dzieje muzyki polskiej, 154; Węgierski. Pisma, wyd. Estreichera, str. 11—12; Lehnsdorf. 30 Jahre am Hofe Friedrich d. Gr. Nachträge, II, 224—5. — O Czaplicu i Turkule. Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich, 29. — Kalendarz Jaworskiego na rok 1858. — Encyklopedia Orzelbranda (s. v.). — Obiad czwartkowy. Wyjątek z listu. Przyjaciel ludu, 1838, 113—152. — O pannie Bacciarelli: Rastawiecki. Słownik malarzów (s. v.) — Raporty Essena cytowane u Hermana Geschichte des russ. Staates. L. VI. (Anhänge) oraz Sołowiew. Geschichte Falles v. Polen 156 sq. — O Byszewskim: Rolle J. Szkice hist. Serja V, 314 sq. — O Badenim: Grzegorzewski. Pamiętniki, 65—72.

4. W Pętach intrygi. M-me de Genlis. Dictionnaire de l'etiquette. Paris 1818, t. I (index). — K. M. Morawski. Pamiętnik Stanisława Lubomirskiego. Kwartalnik historyczny, 1909. — Frederic II. Oeuvres, II, 24. — Wizyta pani Geoffrin: Correspondance de M-me Geoffrin (passim). — Goriainow. Notanda historica. Przegl. hist. X, 271. — Geret. Polen, Berlin 1870, 17. — Kraushar. Dwa szkice (pamiętniki Reverdila). — Lehnsdorf, 30 Jahre, Beiträge II, 197. — Niemcewicz. Pamiętniki, 116. — Sprawa pani Dogrumowej. Potocki. Listy Jana de Witt, 31. — Dembowski. Wspomnienia, I, 112. — Smoleński. Dzieje narodu polskiego, III, 87. — Kraushar. Drobiazgi historyczne, Petersburg 1891, I, 243.

5. Suwereni króla. Raumer. Beiträge Cz. IV, t. II, 446. — J. Harris. Tagebücher u. Briefwechsel. Grima 1848 (cytat u Kraushara. Repnin i Polska). — Sołowiew. Geschichte Falles von Polen, 118. — Kraushar. Repnin i Polska (passim). — Geret. Polen, 80, 105, 103, — Kraszewski. Polska, I, 48, 84. — Sievers. Pamiętniki, 112. — Bukar. Pamiętniki, 109. — Kalinka. Ostatnie lata, I, 53. — Poniatowski. St. August. Memoires. Petersburg 1914, 657. — M. R(adziwiłł). Ostatnia wojewodzina wileńska, 21. — Siemieński. Ostatni rok życia St. Augusta, 11.

6. Gala albo asambła. Słownik Lindego. T. II. (s. v. gala). — O Czackim: Grzegorzewska Sabina. Pamiętniki, 33; Moszczeński. Pamiętniki, 87—88. — Tańce: Czerwiński A. Brevier der Tanzkunst. Leipzig 1880. — Bukar. Pamiętniki, 50. — Liske A. Cudzoziemcy w Polsce. 243. — Sienkiewicz K. Skarbiec II, 360. — Moszczeński. Pamiętniki, 69. — Karty: Chłędowski K. Rokoko we

Włoszech, 70—3. — Geret. Berichte, 23. — Krasicki. Dzieła (wyd. lwowskie) I, 123. — Brüggén, 309. Wodzicki. Pamiętniki, 143. — Nachrichten über Polen. Graz 1793, 142 — Opis turnieju poetów Potocki Leon (Benawentura z Kochanowa). Świącone w pałacu Potockich. (Biblioteka dzieł wyborowych nr. 837), str. 47—9. — Rozmowy: Wodzicki, 146. — Taine. Francja przed rewolucją, 138. — Dębicki. Puławy I, 250. — Plater. Podróż króla do Kaniowa. — O lożach masońskich. Heyking, 227—8; Lehnsdorf. 30 Jahre. Nachträge II, 55; Kalinka. Ostatnie lata, I, 84. — Smoleński. Przewrót umysłowy (index). — Jankowski Wł. W loży masońskiej. — List Jakubowskiego: Bibl. ordynacyi Krasieńskich, VII, 160.

W MALARNI KRÓLA JEGOMOŚCI.

Fournier-Sarlovez A. Les peintres des Stanislas Auguste II Paris 1907, passim. — Rastawiecki E. Słownik malarzy polskich, t. I—II. — Tenże. Słownik rytowników polskich. Olszewski Marjan. Dzieje malarstwa polskiego. Kraków 44 sq. — Mycielski Jerzy. Sto lat dziejów malarstwa polskiego. Kraków 1898. — Szulc. Polska, 290. — Hausenstein W. Rokoko. München 1908. — O Bacciarellim: Rastawiecki I, 40 sq; Wójcicki. Cmentarz powązkowski I, 125; Fournier-Sarlovez. Les peintres, s. v.; Magnuszewski Dominik. Z pracowni Bacciarellego malarza. Tygodnik literacki poznański, 1840, III, 364; Korzeniowski Józef. Katalog rękopisów petersburskich (indeks); Rozmaitości Kor. warsz. 1819, nr. 40, str. 104.

Akademja sztuk pięknych: Rastawiecki. Słownik, I. 313; Tatarkiewicz. Akademia sztuk pięknych za St. Aug. Przegląd historyczny, 1916.

O Norblinie: Batowski Z. Norblin (monografia w wyd. „Nauka i Sztuka”. — T. Rutowski. Norblin (odb. ze „Sztuki”). — Fournier (index). — Mycielski I. c. (index).

Bellotto; Ettinger. Bellotto w Warszawie (broшуra rosyjska). — Kraushar. Tygodnik ilustr. 1904, nr. 1.

O Kucharskim: Geoffrin. Correspondance 108, 120, 126. — Mycielski. Andrzej Kucharski. Kraków 1898. — Fournier-Sarlovez. Les peintres (index).

O Chodowieckim: Dr. E. W. Bredt. Chodowiecki zwischen Rokoko u. Romantik. München 1908.

O królu i p. Vigé Lebrun: M. Vigé-Lebrun. Souvenirs. Paris, Ollendorf, 1894, 184—188.

Por. nadto; Fortia des Piles. Voyages. (Przedkład w „Ogni-sku“) I. c. 109 sq.—Kranshar. Dwa szkice, I, 69.—Korzon. Dzieje wewnętrzne Polski, III, 28. — Kurjer warsz. 1904, nr. 240.

Nareszcie źródłowa praca prof. Władysława Tatarkiewicza: Rządy artystyczne Stanisława Augusta. Warszawa 1919. Studium oparte na materiałach rękopiśmiennych, w Petersburgu.

O CUDZOZIEMSKIEJ SZARAŃCZY.

Casanova: Memoiren, VI, str. 30—51. — Rydel Lucjan. Książę Denasów. Kraków 1898. — Askenazy. Lauzun (Wczasy historyczne). — Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski, III, 24. — Obrazy z życia, I, 195. — Moszczeński. Pamiętniki, 120. — Michałowski Bartł. Wspomnienia, II, 142—3.

Corticelli: Bartoszewicz J. Panowie niemieccy na dworze St. Augusta. Warszawa 1852. — Heyking, 259.

Frieße: Konopczyński Wł. Przedmowa do polskiego wyd. pamiętników króla, XIV.—Smoleński. Publicyści anonimowi (s. v.)

Mehée: Askenazy. Napoleon a Polska, I, 44, 168.

Reverdil: Pamiętnik jego ogłoszony u Kraushara: Dwa szkice z czasów St. Augusta. Warszawa, 1904, I.

Lafontaine: Wójcicki. Cmentarz powązkowski, III, 110.

Piatolli: Kraszewski. Polska, II, 18 — Brüggén. Polens Auflösung 280—1. — Szulc. Polska, passim. — Dębicki. Puławy, I, 56, 298. — Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich, 140. — Za-leski Br. Żywot Adama Czartoryskiego, 226. — Dembiński. Źródła do dziejów drugiego rozbioru Polski.

Kokcej: Sienkiewicz K. Skarbiec, II, 353 sq.

OBIADY CZWARTKOWE.

Archiwum domowe Wojciechowskiego. Warszawa 1856. (Pamiętniki Magiera). — Obiad czwartkowy. Wyjątek z listu. Przyjacieli ludu 1838, 113—152. — Hoffmanowa Kl. Obiad czwartkowy. Ustęp z nieznanych pamiętników. Dzieła. Warsz. 1876, t. IV. — Smoleński Wł. Towarzystwa uczone i literackie w XVIII w. (Dzieła, t. III). — Wybicki J. Pamiętniki (wyd. Mościckiego), II, 45—46. — Dembowski L. Wspomnienia. Petersburg 1900, I, 77, 93. — Listy króla do Naruszewicza w „Wyciągach piotrowickich“ A. E. Ko-

zmiana. Wrocław, 1842, 5—17. — Zob. także: Tornius W. Salons, Leipzig 1917, t. 1—2.

O Krasickim: Bartoszewicz. Znakomicie mężowie, III, 34. Matuszewicz. Pamiętniki, IV, 280. — Kraszewski. Polska, I, 423. — Wójcicki. Warszawa i jej społeczność, 15. — Niemcewicz. Żywoty, 15. — Ustęp z listu króla: rkp. w zbiorach dr. Ludwika Bernackiego. — Lehnendorf I. c. Nachträge II, 315.

O Trembeckim: Woroniecki E. St. Trembecki jako słowianofil. Biblioteka warszawska, 1913, 267 i nast. — Biegeleisen Henryk. Listy Trembeckiego. Ateneum, 1897, IV. — Ochocki. Pamiętniki, IV, 277—80. — Niemcewicz. Żywoty, 119. — Tomkowicz. Z wieku St. Augusta, II, 3, 15, 16, — Michałowski B. Pamiętniki, II, 170. — Wójcicki. Cmentarz powązkowski, I, 245.

O Węgierskim i Bielawskim: K. Estreicher w przedmowie do lwowskiego wydania „Pism”. — Hoffmanowa. Obiad czwartkowy I. c. zresztą zob. Pilat. Historia poezji polskiej, t. IV.

Nadto por.: Dembowski. Pamiętniki, 225. — Wybicki, Pamiętniki, 105. — Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich. 12, 332. — Żywoty, 17—9, 48, — Kraszewski. Polska, I, 110, II, 49. — Kołłątaj. Stan oświecenia, 127. — Bartoszewicz, Żywoty, III, 129—150. — Pawiński A. Michał Groell. Warszawa, 1890. — Wójcicki. Życiorysy znakomitych ludzi. Tom II. 193.

SA MAJESTÉ L'AMOUR.

1. Mąż wszystkich żon. Kraushar. Dwa szkice I. c. I, 69 nast. — Moszczeński. Pamiętniki, 80. — Szulc. Polska I. c. 252 nast. — Korzon. Wewn. dzieje Polski, wyd. II, t. III, 31—34. — Mottaz. St. August i Maurycy Glaiere. II. 79.

2. Przekleństwo życia. Memoiren der Kaiserin Katharina II. ed Boehme. Leipzig 1912, II. 194, 208—10, 261, 310. — Poniatowski. Pamiętniki I, 163 i nast. — Raumer. Beiträge IV, t. II, 446, — Naruszewicz, Dyaryusz podróży do Kaniowa. — Plater, Podróż do Kaniowa. Lehnendorf. Dreissig Jahre... Beiträge II, 292—3. — Kalinka, Ostatnie lata I, 71 sb., 305 sq.

3. Amory gratyskowe i ekspensowane. Ks. generałowa Czartoryska, Goriainow. Notanda I. c. X, 129. — Kraushar. Książę Repnin i Polska, I, 308. — Zaleski Br. Żywot A. Czartoryskiego, 141—4, 159. — Moszczeński. Pamiętniki 84. 91. 92. — Herman, Gesch. des russischen Staates, VI, 512.

Marszałkowa Lubomirska: Geoffrin. Correspondance l. c. 309

Joanna ze Sułkowskich Sapieżyna: Pamiętniki króla (wyd. Konopczyńskiego), I, 142. — Magdalena z Lubomirskich Sapieżyna: Kraszewski. Polska, l. c. I, 146. — Potocki L. Święcone w pałacu Potockich, l. c. 44, 151. — Pamiętniki B. Michałowskiego III, 61. — Sapieżyna z Branickich: Korespondencya z królem w rkp. Ossol. (archiwum sapieżyńskie). — Matuszewski M. Pamiętniki IV, 301. — Kraszewski. Polska, l. c. I, 275. — Zabłocki. Pisma, wyd. Erzepkiego, 220, 224, 230. — Michałowski B. Pamiętniki, III, 132, 157. — K. M. Morawski. Dwie rozmowy. Kwart. hist. 1910, 130.

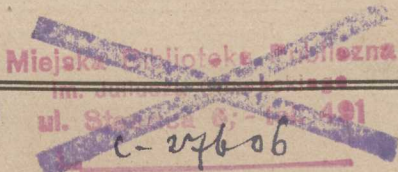
Z Hadików Lubomirska: Majbaum Wacław. O tron Stan. Augusta, Lwów, 1916, 71—94. — Engeström. Pamiętniki, Poznań 1873, 19. — Michałowski. Pamiętniki III, 62.

Starościna Opeska: Rolle (Antoni J. dr.). Szkice, tom V, 314 i nast. — Dembowski. Pamiętniki, I, 218. — Matuszewicz. Pamiętniki, IV, 305. — Pamiętniki, króla (ed. Konopczyński) I, 331. — Michałowski, Pamiętniki, III, 96. — Lehnsdorf. Dreissig Jahre, l. c., Nachträge II (indeks).

Krajczyna Potocka: Potocki L. Święcone, l. c., 43, 131. — Michałowski, l. c., II, 148—50.

Ks. Dorota Kurlandzka, miss Harriet i in.: Heyking. Aus Pölen u. Kurlands letzten Tagen, l. c., 343—4. — Brüggén l. c., 300. — Fournier-Sarlovez, l. c. (spis ilustracyj). — K. Wł. Zieliński. W Łazienkach. Wędrowiec 1888, str. 588. — Kraszewski Polska, l. c., I, 33. — Ochocki, l. c., III, 106—7.

Żona: Wójcicki. Cmentarz powązkowski, III, 4. — Tenże. Warszawa i jej społeczność, 15. — Moszczeński, Pamiętniki, 73. — Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich (wyd. Kaczurby), 25, 28, 166. — Trembicka. Memoires, I, 195—7. — Starzeński. Na schyłku dni Rzeczypospolitej, l. c., 24. — Gumplowicz. Korespondencya St. Augusta, 75. — Ochocki J. D. Pamiętniki, III, 348. — Ostatnia wojewodzina wileńska, 40. — Heyking, l. c., 70. — Sievers, 41. — Dembowski. Pamiętniki, 202, 208. — Michałowski. l. c., III, 62, 192. — Falkowski, Obrazy, I, 157. — Korzon. Dzieje wewnętrzne, III, 33.



gDh-1854



Miejska Biblioteka Publiczna
w Tarnowie

Dział Starych Druków



0241-001854-00